



JACEK DĄBAŁA

Ryzykowny pomysł

*Wszystko w tej książce jest fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwa są przypadkowe.
Jacek Dąbala*

Jacek Dąbała

RYZYKOWNY POMYSŁ



Rozdział pierwszy

Pamiętacie Johna Travoltę w „Gorączce sobotniej nocy”? Przystojnego i pięknego. Jestem do niego podobny. Z pewnymi wyjątkami. Ja mam brzydką twarz i nie umiem tańczyć. Jakoś to jednak nadrabiam. Udaję, że szybko kojarzę i często się uśmiecham. Na szczęście niektóre kobiety to uwielbiają. Wystarczy pomylić psią mordę z popielniczką i natychmiast można się wprowadzać.

Jak każdy inteligentny Polak wróciłem do domu nad ranem. Zostawiłem samochód przed domem i zmęczony wtoczyłem się do windy. Pięć minut później włączyłem automatyczną sekretarkę i zrobiło się przyjemnie. Najpierw usłyszałem głos mamy, która pytała, czy przyjdę w niedzielę na obiad. Nie przyjdę, to jasne. Potem odezwał się szef reportażu z telewizji i zapytał, co z moim pomysłem na film. Nic. Na razie nie ma komu go ukraść. Nagle dotarło do mnie, że trzeciego głosu w ogóle nie rozpoznaję.

- Halo, dzień dobry. Mówi Joanna Lizucka. Ja w sprawie guamu... Pani Marzeno, znów muszę zniknąć. Trochę mi szkoda, bo teraz wyglądam naprawdę ekstra... Zadzwoń później, wpadłabym się pożegnać. Do widzenia.

Jedno było jasne: pani Marzena to na pewno nie ja. Ktoś pomylił numer i zostawił mi swój głos na pamiętkę.

Siedziałem na kanapie i bezmyślnie gapilem się przed siebie. Salon w moim mieszkaniu przypominał wystawę w sklepie z meblami. Było na co popatrzeć. W rogu stały kolumny, pod ścianą telewizor i sprzęt muzyczny, a na środku kanapa i dwa fotele. Była jeszcze sypialnia, ale tam nie lubiłem wchodzić bez wsparcia. Wstałem i poszedłem do lodówki. Kto by pomyślał, że zeschnięty żółty ser może człowieka tak zahipnotyzować? Zamknąłem lodówkę i wróciłem do automatycznej sekretarki. Odsłuchałem ją jeszcze trzy razy. Nie było wątpliwości, że pani Joanna Lizucka chciała zniknąć, interesowała się jakimś guamem i podobno była ekstra. Zaintrygowała mnie. Nigdy nie słyszałem o znikaniu przy

pomocy guamu. W dodatku, jak wynikało z jej słów, robiła to nie pierwszy raz. Sprawdziłem numer, z którego dzwoniła. Warszawski. Przynajmniej oszczędzę na kosztach połączenia. Zasnąłem na siedząco i jak większość fajnych facetów obudziłem się kilka minut po jedenastej.

- Dzień dobry... Pani Joanna Lizucka? Dzwonię od pani Marzeny w sprawie guamu. Teraz pracujemy razem... - kłamałem przebrzydłe. - Od poniedziałku przyjmujemy w nowym miejscu. Tak, tak, w nowym... Przy Alejach Jerozolimskich niedaleko „Reduty”... Budynek dopiero oddali i nie ma jeszcze numeru. Pani Marzena prosiła, żebym się z panią umówił przy wejściu do „Reduty” i pokazał drogę... Dzisiaj o trzynastej odpowiada pani?

Odpowiadało. Pani Lizucka nie nabrała żadnych podejrzeń. Byliśmy umówieni. Moja mama nie po chwaliłaby mnie za to kłamstwo. Cóż, podobno dobry dziennikarz nie powinien mieć wyrzutów sumienia. A ja chciałem być dobrym dziennikarzem. Kto mógł wtedy przypuszczać, że wziąłem sobie na głowę ciężar większy niż prezydent Stanów Zjednoczonych

Wykąpałem się, ogoliłem, założyłem garnitur w miedziane paski i udałem się na śniadanie do pobliskiego hotelu. Gdyby ktoś pytał, to zawsze noszę garnitury i krawaty. Na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, kiedy do człowieka uśmiechnie się szczęście. W hotelowej toalecie wypłukałem zęby, poprawiłem włosy i zrobiłem kilka min do lustra. W samochodzie spryskałem się ładnym zapachem i ruszyłem na spotkanie z panią Lizucką. Warszawa o tej porze wydawała się wielkowiejska i do wzięcia. Jak panna lub rozwódka.

Jeżeli kobieta mówi o sobie, że jest ekstra, to zwykle mogą być trzy możliwości: albo naprawdę taka jest, albo wyszła od psychoterapeuty, albo po prostu kłamie. Pani Lizucka nie mieściła się w żadnej z możliwości - była tak piękna, że słowo „ekstra” wydawało się przy niej nie na miejscu. Od razu ją zlokalizowałem. Wysoka, szczupła, z uwodzicielsko rozwianymi rudymi włosami. Żywa reklama zmysłowości. I te usta. Istne czerwone maliny. Stała przy wejściu do „Reduty” i wyraźnie próbowała mnie odnaleźć wzrokiem. Nie było to możliwe.

Gdybym stał tyłem, to owszem, ale na jej nieszczęście stałem przodem, a inteligencja, niestety, jest niewidzialna. Kobieta odczekała piętnaście minut i z irytacją ruszyła w stronę parkingu. Postawiłem kołnierz płaszcza i ruszyłem za nią. Urodzony komisarz. Śledziłem ją i sprawiało mi to wielką przyjemność. Gdyby ludzie wiedzieli, jak przy tym skacze adrenalina, na pewno śledziliby się dzień i noc. Joanna Lizucka jeździła granatowym alfa romeo. Domyślałem się, że ruszyła prosto do tajemniczej pani Marzeny. Dojechaliśmy do Marszałkowskiej i po chwili spaceru stałem przed zwykłym gabinetem kosmetycznym. Rudowłosa piękność zniknęła w środku. Przeszedłem na drugą stronę jezdni i udawałem, że czytam gazetę. Stary filmowy numer. Od czasu do czasu patrzyłem nerwowo na zegarek. A minuty płynęły. Po trzech godzinach dotarło do mnie, że coś tu nie grało. Do gabinetu weszło co najmniej dziesięć kobiet, ale żadna z wychodzących na pewno nie była Joanną Lizucką. W końcu zdecydowałem się zajrzeć do środka. Gabinet, jak gabinet, ani duży, ani mały. Trzy łóżka, ciąg szafek pod ścianą i długi stół ze wszystkim, co człowiek może na siebie nałożyć. Dwa łóżka były zajęte.

- Słucham pana? - Kobieta, która to powiedziała, musiała być panią Marzeną. Miała wysportowaną sylwetkę, czarne, kręcone włosy i cerę błyszczącą jak lakierki tancerza. Na oko dałbym jej trzydziestkę albo czterdziestkę. No i ten biust. Przypominał koronę Himalajów. Krótko mówiąc, pani Marzena wyglądała naprawdę dobrze.

- Szukam pewnej kobiety - odezwałem się nieśmiało. Ot, prawdziwy mężczyzna chce poznać panią. - Nazywa się Joanna Lizucka. Weszła tutaj, ale nie zauważyłem, kiedy wyszła...

- Przykro mi, proszę pana, ale nie znam nikogo takiego - odpowiedziała ładną polszczyzną pani Marzena. Ani grama zdenerwowania.

- Czy rozmawiam z panią Marzeną? - upewniłem się, nadal z tym psim, niepewnym wyrazem twarzy.

- A kim pan jest?

- Dziennikarzem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Tyle musiało jej wystarczyć. - Pani Lizucka nagrała się u mnie na

automatyczną sekretarkę. Odprowadziłem ją tutaj, czekałem pod drzwiami, ale nie pojawiła się...

Dwie kukły na łóżkach drgnęły. Odniosłem wrażenie, że dużo by dały, żeby mnie teraz zobaczyć. Niestety, na ich twarzach leżały maski, pod którymi kłębiły się chemiczne wynalazki. Pani Marzena podeszła do mnie i z uwagą zaczęła przyglądać się moim policzkom. Z uwagą to za mało powiedziane, raczej podejrzliwie i z wyraźnym niesmakiem.

- Ma pan przesuszoną skórę - stwierdziła rzeczowo. - Naczynka też można pozamykać. Zapisać pana?

- A mogę zamówić guam? - zaryzykowałem i wygrałem. Pani Marzena odwróciła się trochę zbyt gwałtownie i usłyszałem:

- Guam? Chce pan poprawić sobie krążenie?

- Nie wiem - odparłem, tracąc chłopięcą nieśmiałość. Chyba sobie ze mnie żartowała. Teraz byłem facetem z mordą buldoga. - Joanna Lizucka o to panią prosiła...

- No, dobrze - westchnęła. - Porozmawialiśmy, ale teraz muszę się brać do pracy. Klientki czekają.

Powtarzam panu raz jeszcze, że nie znam żadnej pani Lizuckiej i nikt taki tutaj nie wchodził.

Co było robić. Na jej oczach wszedłem bez słowa do toalety, rozejrzałem się i wyszedłem. Sprawdziłem też, czy nie było stamtąd drugiego wyjścia. Niestety, wszystkie okna i drzwi wychodziły na ulicę. Miałem do czynienia z prawdziwą architektoniczną ślepą kiszka.

- To chyba jakieś czary - mruknąłem i opuściłem gabinet.

Niech przynajmniej wie, że ja wiem. Było po piątej. Wtedy uświadomiłem sobie, że wykazałem się inteligencją wprost z opery mydlanej. Pobiegłem na parking i oczywiście nie znalazłem tam granatowego alfa romeo. Ślad się urwał. Na szczęście zapisałem numer rejestracyjny. Jednego byłem przynajmniej pewien: pani Marzena coś ukrywała, a niejaka Joanna Lizucka zniknęła. Coś jednak miałem. Wystukałem numer komórki Henryka Wrony, znajomego policjanta z wydziału śledczego. Najpierw próbował mnie zbyć, później chciał się dowiedzieć za dużo, w końcu zgodził się sprawdzić, o co

prosiłem. Coś za coś. Obiecałem, że umówię go na obiad z jakąś gwiazdą filmową. Jako scenarzysta popularnego serialu byłem dostatecznie wiarygodny. Historia z guamem tak mnie wciągnęła, że za wszelką cenę musiałem poznać adres tej kobiety. Policjant zadzwonił po dwudziestej pierwszej. Ustalili wszystko. Najbardziej pomogła informacja o samochodzie, bo Joann Lizuckich było kilka. Miałem ją.

- Panie Arturze, nie wiem po co to panu, ale wykonałem dla pana misterną robótkę. - W ten sposób zaczynają rozmowę tylko ludzie szczerzy jak złoto. - Samochód nie należy do niej. Właściciel, Andrzej Rosa, mieszka w Konstancinie. Zadzwoniłem do niego i podałem mi adres pana znajomej. To na Bielanych. Dziwne, ale chyba się ucieszył, że dzwoni do niego policjant. Podał mi nawet jej telefon komórkowy...

No i proszę, za jednym zamachem miałem dwa adresy i telefon do pana Rosy z Konstancina. A mówią, że policja nie pomaga ludziom i jest skorumpowana. Za takie słowa karałbym widokiem barchanowych gaci na drugiej randce.

Sączyłem wino kupione na Burakowskiej i zastanawiałem się, co zrobić. Chyba za krótko, bo w sumie nie wyszedłem na tym najlepiej. Zerwałem się, wybiegłem z mieszkania, wskoczyłem do mojego mini i ruszyłem na Bielany. Było normalnie dopóki nie wysiadłem z samochodu i nie ruszyłem do bloku z numerem 8. Zanim nawiązałem z kimkolwiek kontakt wzrokowy, poczułem pod nosem kawałek szmaty i straciłem przytomność. Ktoś postarał się, żebym nie przeszkadzał pani Lizuckiej żyć własnym życiem. Na chwilę umarłem.

Rozdział drugi

„Brak krwaka i pęknięcia czaszki...”. Neurochirurg, który w ten sposób określił stan mojego zdrowia, musiał chyba znać moją rodzinę. Postawił mnie na nogi, mimo iż jego poczucie humoru przypominało warczenie psa. Sprawdziłem to i więcej nie będę. Ze szpitala wyszedłem po trzech dniach. Okazało się, że załatwiła mnie chemia i uderzenie głową o podłogę. Po drodze zająrzałem na komendę, gdzie zgłoszono napad na mnie. Wyjaśniłem młodemu posterunkowemu, że nic nie pamiętam, niczego nie widziałem i nie wiem kogo podejrzewać. Policjant przytomnie zdziwił się, że mnie nie okradziono. A było co brać: trzysta dwadzieścia złotych i piętnaście euro. Karta kredytowa też nie wzbudziła zainteresowania. Zasugerowałem, że może ktoś chciał poćwiczyć sztuki walki i trafiło na mnie. Niektórzy ludzie dla sportu zrobią wszystko. Policjant pokiwał głową i nasza znajomość umarła śmiercią naturalną.

Najpierw pojechałem na Bielany po samochód. Stał tam, gdzie go zaparkowałem. Przy okazji odwiedziłem blok nr 8 i zadzwoniłem do mieszkania pani Joanny Lizuckiej. Oczywiście otworzył mi ktoś obcy i nieufnie poinformował, że wynajął to mieszkanie poprzedniego dnia. Anonimowy sadysta najwyraźniej zadbał o to, żeby wykończył mnie brak informacji. Kobieta zniknęła. Co było robić, pojechałem do siebie, wziąłem chłodny prysznic, zmieniłem ubranie i włączyłem nastrojowy jazz. Mama znów zapraszała mnie na obiad. Trzeci raz. Nie było wyjścia - teraz musiałem pójść. Inaczej mogła pojawić się u mnie z garnkami i dobrą radą. To ostatnie mogło nawet zabić. Oddzwoniłem, że przyjdę. Potem wyjąłem cyfrową kamerę i wykonałem kilka próbnych ujęć. Jak na dziennikarza były zupełnie znośne. Niestety, tylko znośne.

Potrzebowałem pomocnika. Do Radka Sity zadzwoniłem dlatego, że wydawał mi się najgłupszym operatorem, jakiego znałem. Mało mówił, mało kojarzył i tak naprawdę nie powinien pracować w telewizji. Nigdzie nie powinien pracować, powinien służyć za przykład błędu ewolucji. Jedno,

na czym się jako tako znał, to filmowanie. Jego zdjęcia, jakby na to nie patrzeć, były wyraźne i do kupienia. Umówiłem się z nim na telewizyjnym parkingu przy Woronicza.

- Siema. - Byle kto tak się nie witał. Radek wyciągnął w moim kierunku swoją wielką płetwę. - Wchodzę w ciemno...

- To coś innego niż myślisz - zacząłem ostrożnie. - Płacę z własnej kieszeni i muszę wiedzieć, ile chcesz?

- Zawsze tak mówisz - zaśmiał się Radek i usadowił obok mnie w samochodzie. Oczywiście nigdy tak nie mówiłem. Od razu sięgnął do radia i zmienił stację. Na krótko, bo przecież były jeszcze inne.

- Nie wiem, jak długo to potrwa, ale chcę nakręcić każdego, kto wchodzi i wychodzi z pewnego salonu kosmetycznego... - wyjaśniłem. - Ważne, żeby kręcić od chwili otwarcia aż do zamknięcia. Wszystkich bez wyjątku. Im wyraźniejsze zdjęcia, tym lepiej.

- Skąd mam to kręcić? - Radek zadał kapitalne pytanie. Słuchaliśmy już czwartej stacji.

- Z samochodu - odparłem. - Najlepiej twojego i tak, żeby nikt niczego nie zauważył. Twoja i moja kamera wystarczą. Kiedy pojemność będzie się kończyć, zadzwonisz i przyjadę. Przerzucę wszystko na dysk i odwiozę ci kamerę z powrotem. Interesuje cię to? Radek zrobił minę i już wiedziałem, że całe życie marzył o takim zadaniu.

- Wchodzę w to. - Za takie odpowiedzi w szkole stawiali szóstkę.

- Ile chcesz? - przeszedłem do konkretów. - Od dziesiątej do osiemnastej codziennie. Do odwołania.

- Pięćdziesiąt za dzień, dobrze będzie? - Pokiwał wyczekująco głową. Mógł tak odpowiedzieć, bo pracował na zlecenie. Jego rozciągnięty sweter błagał o proszek do prania, ale nie miałem wyboru - Radek był do takiej roboty najlepszy. Każdy inny chciałby za dużo wiedzieć.

- Nie wiem, czy z tego powstanie film - dodałem dla porządku. Radek mruknął coś pod nosem i dobrał się do umocowania radia. Najwyraźniej chciał wiedzieć, jakimi metodami brytyjscy mechanicy zakładają w samochodach

sprzęt grający. Zachowanie godne pochwały.

- Nieważne. Czuję, że na coś wpadłeś... Może na takiego nie wyglądam, ale nie jestem głupi - zakończył efektowną szarżą. - Kiedy zaczynamy?

- Jutro. - Wyciągnąłem do niego rękę na pożegnanie. Była już najwyższa pora, bo zaczynałem się dusić. Dziwne, że tylko ja, bo obaj mieliśmy nosy. - Przyjedź do mnie pod dom i pojedziemy cię zainstalować. Bądź o dziewiątej.

Kiedy parkowałem przed moim rodzinnym domem na Mokotowie, przyszło mi do głowy, że z powodu guamu powinienem oddać mój dyplom magistra dziennikarstwa. Guam kojarzył mi się wyłącznie z kosmetycznym błotem lub kisiem, a to o wiele za mało. Zasługiwałem, co najwyżej, na zdjęcie z kolegami ze szkoły podstawowej i jeden kompot więcej.- Nareszcie interesujesz się czymś dla kobiet. - Mama spojrzała na mnie tak, jakby chciała zapytać, co mi się dzisiaj śniło. - Może jednak doczekam się wnuków...- Mamo, nie żartuj - jęknąłem. Poczulem się poprawny politycznie. Niedobrze. - Dlaczego uważasz, że guam ma coś wspólnego z wnukami? Mama naląła mi zupę z wazy i uśmiechnęła się przebiegle. Była urologiem, ordynatorem oddziału, od czasu do czasu tak się uśmiechała.

- Chciałabym, żeby miał - odparła, pokazując mi wzrokiem, że mam jeść. I jadłem. Ja, trzydziestopięcioletni kawaler, jedynek, laureat trzech nagród dziennikarskich i autor dwóch popularnych seriali telewizyjnych. Samowystarczalny i dość bogaty. Jadłem tak potulnie, jakbym się bał, że za karę założą mi cewnik o średnicy rurki z kremem. Zastanawiałem się, co wspólnego może mieć guam ze znikaniem ludzi?

Z „ekstra wyglądem” mógł mieć, ale ze znikaniem? Gdyby nie napad na klatce schodowej na Bielanach i rozbita głowa, pomyślałbym, że mi odbiło. Sławny scenarzysta dostaje nagle świra. Kapitalny numer, prawda?

Drugie danie niemalże połknąłem. Mama obserwowała mnie spod oka i cierpliwie udawała, że u nas w domu zawsze jadało się tak szybko. Deser zjadłem prawie odruchowo. Chciałem mieć to za sobą i wrócić do siebie.

- Mam rozumieć, że z Anią rozstaliście się na dobre? - Było to jedno z nokautujących pytań mamy. Udałem, że zbieram się do odpowiedzi. Wstałem, założyłem płaszcz i podszedłem do drzwi wyjściowych.

- Na dobre - odparłem najprościej jak potrafiłem. Ania była ulubienicą mamy i miała mi być podporą na stare lata. Poza tym pracowała w tym samym szpitalu, co mama. Na szczęście na innym oddziale.

- Szkoda, lubiłam tę dziewczynę. - Mama zbliżyła się, stanęła na palcach i pocałowała mnie w policzek. - Tylko uważaj na siebie... Wracałem do siebie i oczywiście nie uważałem. Jechałem za szybko, nie rozglądałem się na boki ani do tyłu, i w dodatku słuchałem głośnej muzyki, co podobno każdego kierowcę bardzo dekoncentruje.

Kiedy wysiadałem z samochodu, znów zdarzyło się coś dziwnego. Zderzyłem się z Cyganką z małym dzieckiem. Odbiłem się, tracąc oddech, ale przeprosiłem. Kobieta wyglądała niesamowicie: - chustka, chustka i jeszcze raz chustka. Przytrzymała moją rękę, spojrzała na dłoń, a potem głęboko w oczy. Oświadczy się! Przestraszyłem się nie na żarty.

- Spełni się twoje marzenie. - Powiedziała to pięknie zachrypniętym głosem. Odetchnąłem.

- Na twoim miejscu ja bym się jednak bała...

Cyganka zabrała dziecko i oddaliła się ode mnie

z szybkością pociągu TGV. Pomyślałem, że doznała urazu, bo nie wspomniała o forsie. Spróbowałem wyobrazić sobie moje marzenie. Było ich tak dużo, że nie mogłem znaleźć tego najważniejszego. Miałem wrażenie, że kobieta w rodowej chustce powiedziała mi coś ważnego, a ja nie byłem na to przygotowany. „Marzenie”, „ja bym się bała” - co za pomysł? Cyganka chyba mnie nie polubiła.

Kto normalny położyłby się po czymś takim do łóżka? Była to ciężka próba charakteru. Opadłem w płaszczu na kanapę i prawie natychmiast zasnąłem. Na szczęście, bo inaczej musiałbym spać przy zapalonym świetle. Może nawet w objęciach misia, którego mama kupiła mi na osiemnaste urodziny. Sierściuch był nie do ruszenia.

Rozdział trzeci

Punktualnie o dziewiątej Radek Sito włączył kamerę i zaczął nagrywać osoby wchodzące do salonu kosmetycznego pani Marzeny. Siedzieliśmy w jego dwudziestoletnim garbusie i było bardzo przyjemnie. Prawie, jeśli wiecie co mam na myśli. Każdy robił swoje: on kręcił, a ja myślałem. Oczywiście grało radio, w którym znana pani redaktor rzucała się na polityków i usiłowała im poprzegryzać gardła. Taki miała styl. Dobrze wiedziałem, że krwi z tego nie będzie, ale mimo to słuchałem. Cuda, cuda działy się w moim kraju, a ja o niczym nie wiedziałem. Tak przynajmniej wynikało z rozmowy. Nie zdążyłem się załamać, bo palec Radka zmienił stację. Muzyka. Wiedziałem, że nadeszła pora, żeby zostawić kamerzystę samego.

- Chcę mieć każdego bez wyjątku - przypomniałem. - Jeżeli kogoś zabraknie, to gównem z programu...

- Nie martw się. - Radek pokazał wielką foliową torbę tuż za moimi plecami. Leżała na tylnym siedzeniu garbusa. Były w niej kanapki i termos. Gdyby ludzie na świecie w ten sposób pracowali, słowo „urlop” miałyby inne znaczenie, to pewne.

- Jak zauważysz coś dziwnego, nie zapomnij mi powiedzieć - dodałem, zbierając się do wyjścia.

- Co niby mam zauważyć? - pytanie było przytomne. Złaziło się z szelestem torby, z której kamerzysta wyjął pierwszą kanapkę. A jakże, w papierze i z kiełbasą. Poczulem od razu. Mocna polska broń.

- Spróbuj zapamiętać, kto tam wszedł i już nie wyszedł, albo kto wyszedł, ale tam nie wchodził - wyjaśniłem zgodnie z zasadami logiki. Radek łypnął na mnie znad kanapki i spuścił wzrok. „Nie, nie, przyjacielu, nie kręcimy pogrzebu, po prostu rejestrujemy - chciałem go pocieszyć. - Nic nie musisz rozumieć”. - Dasz radę - dorzuciłem po chrześcijańsku i wysiadłem z samochodu.

Potem nie działo się nic ważnego aż do chwili, gdy znalazłem się w wannie. Wykręciłem numer właściciela

samochodu, którym poruszała się Joanna Lizucka. Dobrych ludzi poznaje się po tym, że siedzą w domu. Ten siedział.

- Pan Andrzej Rosa? - zapytałem.

- A kto mówi? - Gość chyba usłyszał plusk wody, bo głos mu zadrżał.

- Artur Brandt - odparłem. - Chciałbym się z panem spotkać i porozmawiać o pani Joannie Lizuckiej... Jestem dziennikarzem i przygotowuję program o pomyłkach telefonicznych... - No i niech mi ktoś powie, że noszę łeb od parady. Rosę chyba zatkało. Chrząknął ze cztery razy i w końcu wyszeptał:

- Trochę dziwny temat... Poza tym nie bardzo rozumiem, co się dzieje, bo wczoraj dzwonił do mnie jakiś policjant i też pytał o Joannę Lizucką... Epidemia jakaś? - zakończył wspaniałym retorycznym pytaniem.

- Tak, wiem. Prosiłem policję o pomoc w dotarciu do pani Lizuckiej - odparłem zgodnie z prawdą. - Czy możemy się spotkać? Ta pani przez pomyłkę nagrała się na moją sekretarkę... - wysiliłem się na tyle niebezpiecznie, żeby zainteresował się mną proktolog.

- Może pan przyjechać do Konstancina? - Ryba złapała hak. Mogłem i bardzo tego chciałem. Dlatego po niecałych dwóch godzinach byłem w samochodzie i mknąłem do Konstancina. Miałem szukać willi z tujami na wielkim ogrodowym tarasie.

Zaparkowałem mojego mini na działce wartej więcej niż mogłem sobie wyobrazić. Dom i otoczenie rzeczywiście przypominały spadek po jakimś wielkim cwaniaku. Kiedy zatrzymałem się blisko drzwi wejściowych, poczułem się mały jak hotelowe mydełko. Modernistyczna architektura, zielone trawniki i strzeliste pnie sosen robiły wrażenie. Zadzwoiłem i w drzwiach pojawił się niski mężczyzna około sześćdziesiątki. Raczej gruby i nieapetyczny. Mógłby reklamować hot dogi albo bar mleczny.

- To ja - przedstawiłem się najbardziej tajemniczo jak umiałem.

- Andrzej Rosa - odpowiedział mężczyzna i zaprosił mnie do środka. „Tylko nie bądź zawistny” - upomniałem siebie w

imieniu milionów zwykłych ludzi. Usiedliśmy na sofie w pobliżu telewizora art déco. Gospodarz uprzejmie postawił kawę i przystąpiliśmy, że tak powiem, do harowania. Najpierw on mnie z bara, potem ja jego.

- Od dwóch dni nie mogę się skontaktować z Joanną Lizucką - zaczął pan Rosa. Bardzo konkretnie. Chyba spieszył się na pociąg. - Dzwonię na jej numery telefonów, ale nikt nie odpowiada. Nawet samochodu mi nie oddała. Nie wiem, jak mam panu pomóc...

- Proszę mi o niej opowiedzieć - zaproponowałem. - Każdego, kto chociaż raz pomylił się i nagrał na obcą sekretarkę, trzeba jakoś przedstawić, jakoś z nim porozmawiać... Staram się dowiedzieć o takich osobach jak najwięcej - kłamałem chyba niezbyt przekonująco, bo Andrzej Rosa dziwnie na mnie popatrzył. Miałem wrażenie, że rzuci we mnie popielniczką. Przełknął kawę bez siorbnięcia i przestał się hamować:

- Dobrze, powiem panu to, co wydaje mi się ciekawe. Joannę poznałem dwa lata temu. Po prostu weszła do mojego gabinetu i powiedziała, że chciałaby dla mnie pracować. Pokazała dyplom historyka sztuki i przyjąłem ją...

- Co pan powie? - wyrwało mi się dość głupio.

- Jestem rozwodnikiem, dzieci mam dorosłe i lubię ładne dziewczyny. - Pan Rosa zachowywał się konkretnie, jak stryżek na szyi skazańca. - Dlatego dałem jej pracę.

- Była pana asystentką?

- Tak. To piękna i miła kobieta - stwierdził. - A jak wyglądała jej pomyłka?

- Powiedziała, że chce położyć sobie guam - wyjaśniłem. Oczy mojego gospodarza nawet nie drgnęły. Najwyraźniej słowo to w ogóle go nie zdziwiło..Od czego jednak byłem dziennikarzem. - Wie pan, na czym to polega?

- Tak, kobiety używają tego, żeby poprawić sobie urodę. - Jakbym słyszał własną matkę. Gnój jeden, zdenerwował mnie. Nie powiedziałem mu, że jego kochanka wyprowadziła się z wynajmowanego mieszkania i mówiła o „zniknięciu”. Ten człowiek nie zasługiwał na litość. W dodatku wychował się w

komunistycznych czasach i na pewno miał różne grzechy na sumieniu. Inaczej nie byłby taki bogaty. No i ta Joanna Lizucka. Przyłapałem się na zazdrości. W takim stanie mężczyzna gotów jest wyrwać zupę bezdomnemu. Wtedy zadzwonił telefon. Rosa odebrał i pomachał mi ręką. Zdrowy, teatralny gest. Domyśliłem się, że rozmawiał właśnie z nią. To znaczy ona mówiła, a on słuchał.

- Jest tutaj pan z telewizji i chciałby się z tobą zobaczyć... - Zamilkł nagle. Teraz już mi nie machał. Łypał na mnie. - Tak, kręci program o pomyłkach telefonicznych i... - Miałem przed sobą twarz wroga. Ten mężczyzna na pewno już do końca życia będzie miał przetrącony kręgosłup. A tak dobrze mu szło. - Nie mówisz poważnie - ściszył głos. - Nie żartuj... - Odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie ponurym wzrokiem. - Niech pan już idzie.

- Spotka się ze mną? - Teraz powinien mnie zdzielić czym popadnie. Skrzywił się tylko i pokazał mi ręką drzwi.

- Nie wiem, co pan jej zrobił, ale dowiem się... Powiedziała, że odchodzi ode mnie i odłożyła słuchawkę - podsumował nerwowo mój gospodarz.

Wracałem do Warszawy i zastanawiałem się, czy uderzenie w głowę nie pozbawiło mnie rozsądku. Instykt dziennikarski instynktem, ale czegoś na początek musiałem się złapać. Na razie znalazłem sobie wiernych przyjaciół: kłopoty.

Andrzej Rosa nie wyglądał na kogoś, kto łatwo pogodzi się z utratą kochanki. Na szczęście jednak miałem cel. Musiałem jak najszybciej zabrać od Radka Sity kamerę i przerzucić nagranie na dysk komputera. Kiedy wsiadałem do jego samochodu, kamerzysta rozglądał się za jedzeniem. Torebki po kanapkach leżały porozrzucane na siedzeniach, a termos ział pustką. Dramat.

- Masz coś do zarcia? - przywitał mnie, prawie omdlewając. Miałem, podałem mu cztery bagietki, trzy serki waniliowe i pęto kielbasy. Niech wie, że jest na świecie ktoś, kto się o niego troszczy.

- Zauważyłeś coś dziwnego? - Obserwowałem, w jaki sposób mój współpracownik zaczął rozprawiać się z bagietką i

kielbasą. Pokręcił głową, że nie. Zabrałem więc kamerę i pojechałem do swojego mieszkania. Przerzucanie nagrania na dysk trwało beznadziejnie długo. Potem odwiozłem Radkowi sprzęt i wróciłem do mieszkania. Jadłem banana i przyglądałem się osobom wchodzącym i wychodzącym z salonu pani Marzeny. Wyobraziłem sobie, jak wyglądałaby ulica, gdyby nie takie różne panie Marzeny. Widok owłosionych nóg tysięcy kobiet zniszczyłby niejedno ludzkie życie. Potrzebowałem więcej zdjęć. Tajemnica guamu zaczynała nie dawać mi spokoju. Zastanawiałem się, czy nerwowe zachowanie i zniknięcie rudowłosej Joanny miało związek z salonem kosmetycznym. Trzymałem sznurki, na których nie mógłbym uwiązać nawet ratlerka. Właścicielka salonu nie chciała mówić, Joanna Lizucka zniknęła, a ja o mało nie zostałem warzywem po uderzeniu głową o podłogę.

W końcu wziąłem się za zarabianie pieniędzy. Musiałem napisać trzy odcinki serialu i przekazać je producentowi. Nie byłem jedynym, który pracował w ten sposób. Pisało nas ośmiu. Dlatego niektóre odcinki przypominały kudły na piersi Turka - każdy kłaniał się w inną stronę.

Rozdział czwarty

Przez kolejne dwa tygodnie wpatrywałem się w ekran komputera i modliłem o cud. Potrzebowałem dowodu, że w salonie kosmetycznym pani Marzeny dzieje się coś dziwnego. Dzień po dniu Radek Sito kręcił film, a ja przeglądałem zdjęcia. Ludzi, którzy odwiedzali salon było dużo, o wiele za dużo, co utrudniało zapamiętywanie. Notowałem na kartce różne spostrzeżenia, ale do satysfakcji pisarskiej było mi daleko. No bo co można powiedzieć o kobiecie, która wchodzi do salonu ubrana w żakiet, a wychodzi w bluzce? Na pewno, że utrudnia robotę. Często dopiero na zbliżeniach odkrywałem, że mam przed oczami tę samą osobę. Salon odwiedzali także mężczyźni. Różni - mali, wysocy, starzy, młodzi i nijacy. Sam kwiat, prawie prezenterzy telewizyjni.

Mój pokój przypominał hotel po wizycie wrogo nastawionej drużyny piłkarskiej. Wokoło leżały ubrania, kasety, butelki po winach, opakowania po chipsach, pizzach, chińszczyźnie i kurczakach. Tyle dobrego, że ze zdenerwowania nie wyprułem bebeczków z kanapy i foteli. Od czasu do czasu miałem telefony i chyba to mnie naprawdę uspokajało. Mama, redakcje, producenci, reżyserzy, a czasami jakaś aktoreczka o botoksowych ustach chcieli wiedzieć, czy czegoś mi nie brakuje. O tak, brakowało mi szczęścia. Nie mogłem dobrać się do miodu. Moje podejrzenia okazywały się nic niewarte. Nawet Radek zaczynał mieć dość. Ostatnio powiedział mi, że od tego podglądania odechciewa mu się jeść. Niewątpliwie imają się go myśli samobójcze.

Drgnęło czternastego dnia. O drugiej w nocy, kiedy byłem już nieźle wstawiony po wypiciu dwóch win, zauważyłem, że do salonu weszła staruszka w kapelusiku i w ogóle z niego nie wyszła. Porobiłem zbliżenia wszystkich klientów w tym dniu i okazało się, że mam coś jeszcze. Z salonu wyszła kobieta, która wcześniej tam nie wchodziła. A dworzec kolejowy to przecież nie był. Kobieta, czy raczej dziewczyna, miała nieprawdopodobnie piękną twarz i mogła mieć najwyżej

dwadzieścia pięć lat. Powiększyłem obraz staruszki i dziewczyny, porównałem z innymi zdjęciami, ale niczego mądrego nie wymyśliłem. I tu wkroczyła na scenę piracka kopia pewnego programu. Po chwili wiedziałem już, że staruszka odwiedziła panią Marzenę tydzień wcześniej. Wtedy jednak, co za ulga, po piętnastu minutach wyszła z salonu o własnych siłach. Teraz, biedactwu, najwyraźniej już się nie udało.

Położyłem się spać około czwartej i oczywiście nie zasnąłem do siódmej. Potem wstałem, wziąłem prysznic, ogoliłem się i starannie ubrałem. Tyle przynajmniej mogłem dla siebie zrobić. Zabrałem ze sobą odbitki zdjęć obu tajemniczych kobiet i ruszyłem na spotkanie z Radkiem. Chciałem go przekonać, że znalazł cel w swoim życiu i powinien kręcić dalej. Co najmniej przez następne dwa tygodnie. Pierwszą nie spodzianką była nieobecność Radka w samochodzie. A było w pół do dziesiątej. Od pół godziny powinien mieć włączoną kamerę. Po raz drugi zdziwiłem się, kiedy stwierdziłem, że samochód był otwarty. Wyglądało na to, że mój kamerzysta poczuł się w Warszawie bezpiecznie i dał temu wyraz. Kiedy nie pojawił się przez następne dwie godziny, wiedziałem, że coś jest nie tak. Zadzwoiłem do niego do domu, ale nikt nie podniósł słuchawki. Sprawdziłem dokładnie wnętrze samochodu. Niestety, kamery nie znalazłem. Panel do radia tkwił za to w schowku i wołał o rękę złodzieja.

Można powiedzieć, że poczułem się samotny i niechciany. Na policję nie miałem po co dzwonić. O tej porze drzemali. Poza tym nie wiedziałem, co miałbym im powiedzieć. Temat był tak niewiarygodny, że nadawał się raczej do „Archiwum X”, a nie do referowania na normalnym posterunku. Wyobraziłem sobie, jak tłumaczę jakiemuś mundurowemu, iż w salonie kosmetycznym pani Marzeny znikają i pojawiają się różne kobiety. Ot, tak sobie, raz-dwa: baba jest, baby nie ma. Już widziałem ten wzrok i pełne zrozumienia potakiwanie. Rozejrzałem się po ulicy, przespacerowałem się wzdłuż raz jedną, raz drugą stroną, i uznałem, że pora na dociśnięcie pani Marzeny. Wszedłem więc do jej salonu, zatrzymałem się przy

wejściu i skinąłem na powitanie głową. Prawie jak świętej pamięci aktor John Wayne, co zrobiło dobre wrażenie. Kosmetyczka zostawiła klientkę na łóżku i podeszła do mnie z obiecującym ruchem bioder. Nie ulegało wątpliwości, że seks mógł mieć na imię „Marzena”.

- Dzień dobry. - W taki sposób pienił się proszek do prania. - Nie daje mi pan spokoju. Mówiłam już panu, że nie rozumiem o co chodzi...

- Wychodzi na to, że będę musiał się powiesić - odparłem. - Mam dwa zdjęcia, które chcę pani pokazać. Poznaje pani te kobiety?

Klientka na łóżku westchnęła, co miało oznaczać, że moja audyencja powinna dobiec końca. Obrzuciłem wzrokiem „to coś” i poczułem niesmak. Dziewięćdziesiąt kilogramów i figura świnki Piggy. Twarzy nie widziałem, bo była zakryta maską. Domyśliłem się, że miałem do czynienia głównie z charakterem i intelektem. „I niech tak zostanie” - uznałem. Pani Marzena przynajmniej cieszyła oko. Obejrzała zdjęcia staruszki i młodej piękności z filmu Radka, po czym uśmiechnęła się tajemniczo.

- Chce mnie pan poderwać? - szepnęła i zrozumiałem w jednej sekundzie, co oznacza silnik nowej generacji. - Kończę o szóstej. Ostatecznie możemy pójść na kawę i porozmawiać. To jak?

- Będę punktualnie - odpowiedziałem równie cicho i wyszedłem z salonu. W ustach pani Marzeny „to jak?” zabrzmiało obiecująco. Plus nasze cztery łydki, oczywiście.

Radka nadal nie było. Ogarnęło mnie głupie uczucie. Wokoło tętniło życie, zatrzymywały się i ruszały samochody, chodzili ludzie, otwierały się i zamykały dziesiątki drzwi, a ja naprawdę zaczynałem denerwować się o swojego kamerzystę. Gdyby poszedł coś zjeść, to do tej pory powinien wrócić. Poza tym jeszcze mu nie zapłaciłem. Znów miałem ochotę pojechać na policję i o wszystkim im opowiedzieć. Jednak była to tylko ochota praworządneho obywatela. Ten drugi, niepraworządny, chciał robić coś zupełnie innego. I wygrał. Pojechałem do telewizji i zacząłem pytać o Radka. Nikt go nie widział od dwóch tygodni. Czyli wszystko wyglądało normalnie.

Sekretarka, panna Ilona Vogler, zwana na korytarzach „Matką”, zauważyła moje rozdrażnienie i przytomnie podała mi adres Radka. Uznałem, że mam sobie szybko pójść. Wykrzywiłem twarz w uśmiechu i posłusznie ruszyłem do wyjścia z gmachu telewizji. Po drodze spotkałem kilka osób z tak zwanej starej gwardii - jedna powitała mnie podskokiem w mini mimo dawno ukończonych czterdziestu lat, druga pocałowała w policzek, jakby miała to wpisane w geny, a trzeci podał mi rękę z tym wyrozumiałym wyrazem twarzy redaktora bez libido. No i pojawił się nagle mój przyjaciel, zresztą jedyny, jakiego miałem, Roman Czomski. W telewizji pracował prawie od urodzenia - teraz był szefem redakcji reportażu i filmu dokumentalnego. Rasowy wyże- racz w tej branży. Gdybym chciał policzyć jego układy, musiałbym wpaść na matematykę Uniwersytetu Warszawskiego.

- Fajnie wyglądasz - powitał mnie, co oznaczało w jego języku: „będziemy mieli pogrzeb?”.

- Węszę - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - o właśnie zgubiłem ślad...

- Mogę pomóc? - I za to właśnie go lubiłem. Konkretny jak wlew paliwa.

- Jeszcze nie - uspokoilem go. - Ale jak dobrze pójdzie, to dam ci znać.

- Ty mówisz poważnie - stwierdził z grobową miną.

- Mam coś, o czym nikomu się jeszcze nie śniło. Muszę to tylko sprawdzić...

- Nie wdepnij - ostrzegł mnie. Uśmiechnął się, poruszał mi hipnotycznie palcami lewej dłoni przed nosem i odszedł. Za to też go lubiłem.

Jechałem na ulicę Jana Pawła II do włoskiej restauracji i zastanawiałem się, w jaki sposób odnaleźć kobiety ze zdjęć. Nie byłem pewien, czy pani Marzena zechce ze mną współpracować. Wszedłem do restauracji i zamówiłem spaghetti z pieprzem i masłem. Danie dobre dla każdego, pod warunkiem, że jest głodny. Poszukałem wzrokiem znajomych, ale o tej porze wszyscy ciężko pracowali. Bez takiej pracy waliły się państwa, ginęły narody i wypaczał sens życia. Rozumiało to

każde dziecko i niektórzy dorośli. Ja wołałem jeść i patrzeć na młodą kelnerkę. Jej spojrzenie informowało mnie, że jest zdecydowana i nigdy nie wróci do rodzinnej wsi.

Po jedzeniu postanowiłem pojechać do siebie i przespać się. Na osiemnastą musiałem być w formie. Nigdy nic nie wiadomo. Nacisnąłem pilota, mój mini mrugnął, wsiałem i straciłem przytomność. Co za przyjemne uczucie. Zaczynałem się przyzwyczajać. Dopiero potem boli głowa i chce się pić. Ocknąłem się w jakiejś piwnicy. Wyglądała nawet, nawet. Pomalowana, ze stołem bilardowym, fotelami i barkiem długim jak wspomnienie po pierwszej dziewczynie. Siedziałem w fotelu i dochodziłem do siebie. Pomacałem głowę, ale nie stwierdziłem żadnych obrażeń.

To się nazywało stracić przytomność w dobrym stylu. Cham pewnie miałby łeb rozbity rurką. Przede mną siedział facet - a jakże - w czarnej czapce z dziurami na oczy i usta. Elegancki inaczej, czyli nowobogacki. Dałbym głowę, że umiał grać w polo i fotografował się z królami. Na rękach miał sygnety, które wyglądały na rodowe. Najwyraźniej gość lubił nosić przy sobie dwa herby naraz. Za nim, ubrany znacznie biedniej, ale też mną zainteresowany, stał wielki chłop z dłońmi większymi od okładki albumu. Światło było skąpe - paliła się tylko jarzeniówka nad barem.

- Mam z panem kłopot, panie Arturze - odezwał się podwójny arystokrata. - Zainteresował się pan tematem, który należy do mnie. - Miał miły głos.

- Gdzie jestem? - Uwielbiamy stawiać takie pytania, to jasne.

Mój rozmówca rozejrzał się wokół i zgodnie z prawdą odpowiedział:

- W piwnicy. Jesteśmy w piwnicy, panie Arturze.

- Kim pan jest? - zapytałem bez nadziei na odpowiedź. Myliłem się.

- Biznesmenem. Tak można powiedzieć. - Piękna kwestia. Następny ruch należał do mnie.

- I czego pan ode mnie chce?

- Proszę nie denerwować mojej przyjaciółki. To nie jest

temat dla pana - wyjaśnił elegant.

- Ona mnie nie interesuje...

- W ogóle?

- Ona w ogóle. - O naiwności! Facet jadł mnie palcami jak chciał. Nie byłem związany i prawdę mówiąc zbierałem się do wyjścia.

- Proszę nie wstawać, odwieziemy pana. - Teraz mój gospodarz prawie pogłaskał mnie po głowie. - A więc ustalmy. Nie ma tematu „Marzena”. Rozumiemy się?

Jasne, że tak. Rozumieliśmy się, jak szpadel grabarza z ziemią.

- Chcę nakręcić film... - Odważnie zaatakowałem mur obojętności. Wtedy facet podniósł rękę do góry, a stojący za nim goryl podał mu kamerę. A dokładniej: podał mu kamerę Radka Sity. No i mamy pierwszego trupa, pomyślało mi się szybko.

- Czas zdjęciowy już się skończył - zdecydował za mnie mężczyzna. Chyba mnie lubił. Wiadomo, że decydowanie to ciężki kawałek chleba. - Zwracam panu kamerę, oddaję kamerzystę i proszę brać się do pracy.

Ładnie budował zdania. „Zwracam”, „oddaję”, „do pracy” - wspaniała mapa charakteru. Poza tym „oddawał mi kamerzystę”. Wzór dobrego wychowania. Pewnie dlatego pokiwałem głową i wstałem. On też wstał. Pokazał mi ręką kierunek. Nacisnął jakiś przycisk w ścianie i przez chwilę wydawało mi się, że na taką okazję czekał od urodzenia. Dopiero teraz zauważyłem, że z tyłu piwnicy znajdowało się olbrzymie akwarium. Rozejrzałem się i wykazałem niezdrową ciekawość. Goryl szedł za mną. Zjadł tyle sterydów, że jego oddech przepalał mi marynarkę. Elegant z sygnetami odsunął zasłonę leżącą na akwarium, po czym pochylił się i podniósł do góry coś, co przypominało fragment grubej gałęzi. Zbliżył to do światła i zrobiło mi się niedobrze. Pan Śmiertelny Strach błyskawicznie się ze mną zaprzyjaźnił. Miałem przed oczami odrąbaną ludzką rękę. Dłoń z palcami i przedramieniem. Nawet w mdłym świetle widać było zakrzepłą krew. Mężczyzna bez słowa włożył kończynę do akwarium i na własne oczy

zobaczyłem, jak ryby zaczęły ją szarpać. Wytrzymałem tylko dzięki sztuce filmowej. Dobrodziejka przyzwyczajała mnie do tej chwili przez całe życie. Ale i tak było mi niedobrze. Po chwili ręka zniknęła. Na dnie akwarium pozostały tylko ogryzione kości. Miałem nadzieję, że nadal jestem nieprzytomny.

- Widział pan kiedyś coś takiego? - Pytanie zabrzmiało najzupełniej poważnie. Ot, ktoś mnie pytał, czy smakował mi deser.

- Chciałbym wiedzieć, gdzie jest mój kamerzysta? - To się nazywało wziąć się za siebie. Mój gospodarz objął mnie ramieniem. Na początek. Klepanie po plecach jeszcze bardziej zbliżyło mnie do tego człowieka.

- Siedzi w swoim własnym samochodzie - wyjaśnił. - I proszę pamiętać. Pani Marzena dla pana umarła. - Odwrócił się do mnie tyłem i zaczął wodzić palcem po szybie akwarium. Poczulem, że na mojej głowie znalazł się płócienny worek, a usłużna ręka popchnęła mnie do przodu.

- Mój asystent odwiezie pana na miejsce - usłyszałem ten sam głos. Don Corleone mógłby brać u niego korepetycje. Od tej chwili postanowiłem uważać na wszystkich asystentów.

Kiedy wysiadłem z samochodu, odczekałem przepisowe dziesięć sekund i zdjąłem w głowy worek. Tak, jak kazał asystent. Znów stałem przed włoską restauracją na ulicy Jana Pawła II i mogłem skorzystać z mojego samochodu. Jak wolny człowiek. Najpierw chciałem zadzwonić do mamy i usłyszeć jej głos, potem zacząłem się śmiać jak głupi, wreszcie wsiadłem do samochodu i poczułem, że chyba jednak nie zostałem dobrze przygotowany do życia. Moje spodnie były mokre, a przecież nie skakałem przez kałuże. Potem zobaczyłem kobietę, która zatrzymała się przed wystawą sklepową i rozmawiała przez telefon komórkowy. Niby nic, a jednak mnie wzięło. Była tak ładna jakby ktoś uszył ją na miarę. Mój typ. Kiedy mnie mijala i wsiadała do niebieskiego subaru imprezy, nasze oczy spotkały się i wiedziałem już, że lepszej chwili na autoprezentację nie mogłem sobie wymarzyć. Widocznie Bóg chciał, żeby dostrzegła we mnie człowieka i udało się. Miałem szczęście, że nie rzuciła mi piąta na od- chodne. Pa, pa, moja niespełniona

miłości.

- Bo się zaplujesz, ty zboczeńcu - usłyszałem nagle tuż obok. No i proszę, elegancka staruszka w kapelusiku pogroziła mi laską. Musiała wiedzieć, co chodziło mi po głowie, kwoka jedna.

Zadzwoiłem do Radka Sity, modląc się w duchu o jego zdrowie. Już po kilku słowach wiedziałem, że był zdrowy jak koń. Rozmawiał ze mną z pełnymi ustami.

- Gdzie ty byłeś? - zacząłem, nie włączając silnika.

- Jak to, gdzie? W domu. Spałem... - A więc jednak choroba Radka nie ominęła.

- Spałeś? Miałeś kręcić film...

- No i kręciłem...

- Wiesz, jaki dzisiaj dzień? - Musiałem rzecz doprowadzić do końca.

- Wiem. Piąty maja - odpowiedział Radek. Kiedy on się tego nauczył? „Maja”, a nie „maj”.

- Szósty, bracie. Jest szósty maja - naprowadziłem go. Pomilczał kilka sekund, mlasnął i nic. - Przespałeś prawie dobę...

- Taaak? - zdziwił się, ale żarcie robiło swoje. Kiedy żarł, zapominał o wszystkich smutkach świata. Jedna dobę w tę, czy w tamtą, nie robiła mu różnicy. - Niezły numer, co?

- Na razie kończymy ze zdjęciami. - Moja decyzja była nieodwołalna. - Jutro ci zapłacę i oddam kamerę. Cześć.

A teraz do domu, do wanny, do łóżka. Oczywiście powinienem to zrobić, ale nie zrobiłem. Zachowałem się tak, jakbym miał nie dwa, a trzy herby. Żałowałem tylko, że już nie rozdawano córek. Dostałbym najładniejszą i cesarstwo.

Rozdział piąty

Umyty i odświeżony czekałem na przepustkę w Komendzie Głównej Policji. Podinspektor Henryk Wrona najwyraźniej się do mnie przyzwyczał. Kiedy zadzwoniłem i poprosiłem o spotkanie, rzucił wszystko i przystał nawet na moją godzinę. Była za dwie siedemnasta. Strażnik sprawdził moją legitymację i kiwnął głową, że mogę wejść. Gdyby nie dobre wychowanie, z łatwością mógłbym ich puścić z dymem. Po drodze mijałem osoby ważne i ważniejsze. Przyglądały mi się krótko, ale nadzwyczaj intensywnie. Spróbowałem odpowiedzieć takim samym spojrzeniem, ale wprowadziłem w ich szeregi tylko zamęt. Policjant w stopniu komisarza zaczął się za mną oglądać. Dygnąłem wdzięcznie bioderkiem. Niech ma, neandertalczyk jeden. Głowę daję, że z chęcią by do mnie wygarnął. Na gębie miał wypisaną specjalność: szpicel.

Podinspektor Wrona wyjrzał na korytarz i pomachał do mnie. Odmachałem i to mnie całkowicie zakonspirowało. Kiedy ścisnął mi dłoń i zapraszał do swojego pokoju, miałem wrażenie, że świat o nas zapomniał i w końcu znalazłem właściwego człowieka do zwierzeń. Miejsce pracy podinspektora przypominało rysunek ze szkoły podstawowej. Był stolik, cztery krzesła, biurko, lampka, telefon i zakurzone radio. Nie było żaluzji, szafy i miłego wrażenia. Ktoś bardzo się postarał, aby nie zepsuć policjantom dobrego smaku. Podinspektor wskazał mi krzesło, sam usiadł za biurkiem i przepisowo jęknął:

- Panie redaktorze, co pana do mnie sprowadza?

- Da mi pan ochronę? - zapytałem z grubej rury. Podatnik płaci, podatnik ma.

Podinspektor zapalił papierosa i wypuścił dym nosem. Piękna filmowa sztuczka. Sam nie paliłem, mogłem sobie tylko popatrzeć. Po moim pytaniu podinspektor zajął się swoimi paznokciami. Ogólnie nie wyglądał zadowolająco: niski, grubawy, z łysinką, w swetrze, jeansach i tanich butach. Prawie niewidzialny. Kiedy już obejrzał swoje za długie paznokcie,

przeszył mnie spojrzeniem.

- Ktoś panu groził? - raczej stwierdził niż zapytał.

- Całkiem niedawno - odparłem. - Ktoś mnie uśpił, porwał, przepisał w jakiejś piwnicy i na koniec zafundował przedstawienie. Na moich oczach wrzucił ludzką rękę do akwarium z piraniami.

- Groził panu, czy nie? - Podinspektor powtarzał się. W innych okolicznościach uznałbym go za nudziarza.

- Nie wprost. Raczej poinformował, że już nie zajmuję się pewnym tematem. Mam o nim zapomnieć. To groził mi, czy nie? - Tym razem przeszedłem samego siebie.

- Może tak, a może nie - stwierdził sprytnie policjant. - O jakim temacie pan mówi?

- Chcę zrobić film o klientach salonu kosmetycznego. Wybrałem sobie jeden i nawet umówiłem się z właścicielką...

- Nazwisko? - Był cudowny. Lepszy niż Clint Eastwood i Michael Douglas.

- Marzena Ziolo - odpowiedziałem najlepiej jak umiałem.

- Może to jej facet? - podpowiedział mi podinspektor. W pokoju czuło się adrenalinę.

- Raczej nie. Porywacz kazał mi się do niej nie zbliżać. Mam zapomnieć, że Marzena Ziolo istnieje i ma jakkolwiek salon kosmetyczny - wyjaśniłem. Musiało mu to wystarczyć. Chyba zwietrył, że nie chcę mu powiedzieć wszystkiego, bo stał się oficjalny.

- Proszę to zgłosić. Oczywiście porywacze byli w maskach... - stwierdził. - A z tą ochroną to niech pan nie przesadza. Gdyby chcieli pana sprzątnąć, już by pan nie żył. Jest dobrze, redaktorze, jest bardzo dobrze. Jakby co, to niech pan dzwoni.

- Umówiłem pana z gwiazdą serialu „Całowanie na śniadanie”. Tą, która gra Marysię... - dorzuciłem. - W środę o piętnastej w „II Poppo”.

- Naprawdę? - pytał poważnie i otrzymał poważną odpowiedź.

- Naprawdę. Zapamiętał pan?

- No jasne. Strasznie się cieszę - sapał z wrażenia.

Pomógł mi. Każdy przyzna, że taka rozmowa

stawia człowieka na nogi. Nie łudziłem się, że zechce mi od razu jeść z ręki. Chodziło raczej o poinformowanie, że ktoś się do mnie dobierał. Tak na wszelki wypadek, aby dziecko знаło swojego ojca.

Wyjechałem spod Komendy Głównej w naprawdę dobrym nastroju. Miałem za sobą podinspektora Wronę z Wydziału Śledczego i wiarę w społeczną sprawiedliwość. Plus dobry garnitur, wszystkie zęby, miejsce do spania i sporo znajomych. Na pewno nie był to czas na umieranie. Włączyłem Radio Pin i popłynęła muzyka. Smętne dźwięki saksofonu, trochę pianina, skrzypce, szmerząca perkusja i nie byle jaki głos zrobiły swoje. Na spotkanie z panią Marzeną jechałem z nadzieją w sercu. Podinspektor Wrona miał rację - było dobrze. W końcu to nie moją rękę ogryzły ryby. W pobliżu salonu kupiłem kwiaty

i tak uzbrojony wszedłem do środka. Pani Marzena chyba wzięła prysznic, bo wyglądała jak po urlopie. Uśmiechnęła się, włożyła na siebie jasny płaszcz i odebrała mi kwiaty. Musiała wiedzieć, że je przyniosę, bo wazon z wodą już stał w pogotowiu. Zamykanie salonu nie trwało dłużej niż minutę. Potem wsiedliśmy do mojego mini coopera i pojechaliśmy na Foksal. W czasie jazdy pani Marzena odsłoniła kolana i spory kawałek ud. Czułem, że patrzy na mnie z nadzieją, ale nie dałem się za szybko zmiękczyć. Kierowałem i niezobowiązująco szczerzyłem do niej zęby. Nie od rzeczy będzie dodać, że wcześniej spryskałem się próbką wody kolońskiej, którą trzymałem w schowku. To zawsze działało.

Wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy do restauracji. Ja nie pytałem, czy ona chce, ona nie mówiła, że nie chce. Pełne porozumienie. Przy stoliku atmosfera stała się jeszcze przyjemniejsza. Postanowiłem ją podtrzymać i zapytałem:

- Czy zna pani człowieka, który nosi dwa rodowe sygnety na palcach?

Kobieta spoważniała. Wydeła usta i przyglądała mi się jakbym kosztował parę milionów dolców.

- Może znam - odparła.

- Zabronił mi się z panią spotykać - dodałem. - Powiedział, że mam na ten temat szlaban. Co pani na to?

- Jeżeli tak mówił, to go nie znam - ucięła pani Marzena. Jej spojrzenie wwiercało się w moje i nie powiem, żeby to było nieprzyjemne. Trąciła mnie kolanem pod stołem i wgryzła się w mocno przysmażony pierożek.

- Powie mi pani prawdę? - zagailem jak przy ognisku.

- Jaką prawdę? - Jej dekolt śpiewał zupełnie o czym innym.
- Jest pan bardzo interesującym mężczyzną. Zapytam pana o coś. Czy naprawdę wierzy pan w ten pomysł ze znikaniem ludzi w moim salonie?

- Wierzę - odpowiedziałem zgodnie z moim sumieniem. - Mam zamiar nakręcić o tym film i zrobię to.

- Boże, co za uparciuch z pana - westchnęła romantycznie pani Marzena. - No dobrze, przekonam pana, że w moim salonie nie kryje się żadna tajemnica. Ma pan te zdjęcia?

Podaliśmy jej zdjęcia dwóch kobiet z filmu Radka Sity. Starej i młodej. Popatrzyła na mnie z politowaniem i położyła zdjęcia na stoliku. Była tak pewna siebie, że poczułem się najgłupszym uczniem w klasie.

- Ta staruszka była u mnie dwa razy. - Pani Marzena najwyraźniej miała dość moich domysłów. - Pytała o zabiegi, które likwidują plamy na skórze. Wysłałam ją do dermatologa...

- Nie mogła jej pani wysłać, bo za drugim razem w ogóle nie wyszła z pani salonu - przerwałem.

- Da pan za to głowę? - zaśmiała mi się w twarz. - Na jakiej podstawie twierdzi pan, że nie wyszła?

- Mam film - odpowiedziałem. - Dzień po dniu, godzina po godzinie. Od chwili otwarcia aż do zamknięcia. Ta kobieta nigdy nie opuściła pani salonu.

- Daję panu słowo, że opuściła. - Takie odpowiedzi nawet z ministra finansów robią przyjaciela. - Cała i zdrowa. Jest pan pewien, że na filmie wszystko widać? Że żaden samochód nie zasłonił wejścia do mojego salonu? Czy taka staruszka nie mogła wyjść i zmieszać się z przechodniami zupełnie niezauważona? - Pani Marzena najwyraźniej się rozkręcała. Co za temperament, stwierdziłem z satysfakcją. - Czy pan myśli, że ja układałam w salonie ludzi pod podłogą? Przychodzą do mnie i

rozpływają się w powietrzu... Aha, zapomniałabym, nie przychodzą, a jednak wychodzą... - drwiła ze mnie i niebezpiecznie pochyliła twarz w moją stronę. Miała skórę, która prosiła się o tysiąc pocałunków. - A ja jestem czarownicą, tak?

- A ten facet z sygnetami? - odpowiedziałem ogniem.

- To ktoś, kto jest o mnie zazdrosny - odbiła pani Marzena. - Jest tak cholernie zazdrosny, że sama się go boję. Ale co mam zrobić? Poskarżyć się policji?

Mam męża, dzieci, rodziców... Z takim człowiekiem trzeba spokojnie. Ubzdurał sobie, że rzucę męża i do niego odejdę. Sam pan widział, że jest trochę stuknięty... Coś jeszcze? - Po ostatnim pytaniu każdy normalny człowiek zacałowałby te kobiety na śmierć. A ja nic.

- A ta młoda? Nigdy do pani nie weszła... - nacierałem, ale już znacznie słabiej. Właściwie już nie nacierałem, lecz wycofywałem się. Rzeczywiście mogło być tak, jak to wszystko przedstawiła. Mój film skurczył się do rozmiarów kina moralnego niepokoju. Kelner postawił przed nami kolejne talerze.

- Młoda weszła i wyszła. Na pewno coś ją zasłoniło i nie ma tego na filmie. - Pani Marzena znów otarła się o mnie nogą. Gdzie ten mąż, gdzie te dzieci, gdzie rodzice? Na szczęście był jeszcze most Siekier- kowski - ostatnia posługa. Gotowy przyjąć każdego samobójcę. Przekonała mnie. Na filmie pojawiały się samochody dostawcze i parę razy zasłoniły wejście do salonu. I w takich właśnie momentach dawał o sobie znać mój charakter. Byłem bardziej dociekliwy od korespondenta wojennego.

- Mogę się z tymi kobietami spotkać? - Teraz, ze strachu, pani Marzena powinna zacząć błagać mnie o życie. Ona jednak wessała ustami pasemko cienko pokrojonego ogórka i szepnęła:

- Oczywiście. Jeżeli znajdę ich telefony.

Pani Marzena dotknęła mojej dłoni. Trudno uwierzyć, ale tak było. Cofnąłem rękę, a ona najspokojniej w świecie sięgnęła po filiżankę zielonej herbaty.

- Ma pan na mnie ochotę? - To niewinne pytanie padło już

na ulicy. Zanim wsiedliśmy do mojego mini. Pięknie, nie ma co.

- Mam dziewczynę - odpowiedziałem głosem robota. Uciekaj, synu, uciekaj, słyszałem w uszach krzyk matki, ale nie mogłem wykonać nawet jednego kroku. Patrzyłem na moją rozmówczynię i wiedziałem, że jej chuć urosła nagle do rozmiarów bagietki.

- A ja męża - odpowiedziała szeptem. - Proszę o numer telefonu... - Poprosiła i dostała. - Zadzwoń i podam panu numery do tych klientek. Gdzieś powinny je mieć... Tylko błagam, niech pan nie opowiada głupstw, dobrze? Do widzenia, panie Arturze. Wrócę taksówką...

Odwróciła się i po chwili widziałem już tylko jej włosy. Miałem dziwne wrażenie, że rozmawiałem z kimś nieobecnym. Pani Marzena przypominała mi kogoś, kto dawno zmarł, a mimo to nadal potrafił zachować zmysłowość. Sytuacja podejrzana i kwalifikująca do wizyty u psychiatry. Obserwowałem odchodzącą kobietę z daleka i musiałem przyznać, że poruszała się lepiej od człowieka gumy. Sprawa guamu rozsypywała się jak domek z kart. Popatrzyłem w twarze przechodniów, ale nie zobaczyłem w nich niczego, czego bym już nie widział: radość, szczęście, dostatek i satysfakcja. Musiałem ich szybko dogonić. Inaczej moje scenariusze staną się smutne.

Rozdział szósty

Do gabinetu psychiatry wszedłem ukradkiem i z poczuciem niższości. Na wszelki wypadek wolałem sprawdzić, czy przypadkiem nie jechałem na rezerwie. Doktor Joachim Linde przyjął mnie miło, ale z dystansem. Samym swoim wyglądem przypominał, że człowiek jest śmiertelny. Poznałem go przed dwoma laty w czasie realizacji programu o dziecięcych depresjach. Usiadłem na kozetce i opowiedziałem mu całą historię. Kiedy skończyłem swoją opowieść, stwierdził krótko:

- Nie widzę objawów choroby. Ktoś najwyraźniej nie chce, żeby pan ten film zrobił.

- A te znikające i pojawiające się kobiety?

- Proszę je sprawdzić. Wziąć telefony od właścicielki salonu i sprawdzić - doradził mi. Miał ciekawą twarz: długą i przypominającą skocznię narciarską. - Ja bym się skontaktował z jakimś detektywem. Przynajmniej będzie pan pewny, że ktoś wykona swoją robotę. Pan potrzebuje ochrony, a nie psychiatry. Takie jest moje zdanie.

- Ulżyło mi - odparłem. - Do widzenia, doktorze.

Nigdy nie przypuszczałem, że bycie normalnym to taka przyjemność. Jechałem do telewizji i rozpierała mnie energia. W końcu, ilu lekarzy mówiło swoim pacjentom, że są zdrowi? Zajechałem na parking przed blokiem F i zadzwoniłem do pani Marzeny.

- Salon kosmetyczny, słucham - usłyszałem ten wymarzony głos.

- To ja... - W ten sposób Amerykanie przedstawiali się Wietnamczykom. Na pewno skutecznie, bo zostałem rozpoznany.

- Podyktuję panu tylko jeden - odezwała się pani Marzena. - Telefonu do tej staruszki nie zapisałam, przepraszam... Musi panu wystarczyć numer tej młodszej. Nazywa się Barbara Szopa. Mogę dyktować?

Zapisałem, podziękowałem i chciałem się rozłączyć. Ona jednak miała inny plan.

- Spotkamy się? - zapytała.
- Chętnie, ale na razie muszę popracować - odpowiedziałem.

- Okej. Proszę o mnie nie zapominać - pożegnała mnie bez cienia urazy. Mamie by się spodobała.

W telewizji odnalazł mnie prawie natychmiast Radek Sito. Owszem, jadł pączka. Jego luźny brzuch podskakiwał pod jeszcze luźniejszym swetrem, a rozdeptane adidas przypominały placki kartoflane. Spodnie imitowały biodrówki, czyli w kroku zwieszane były nisko nad podłogą. Optycznie - najdłuższy tułów świata. No i włosy, wyzelowane i poskręcane w różnych kierunkach. Wiedziałem, że Radek dostał się w ręce tak zwanego wizażysty.

- Kręcimy dalej? - zadał logiczne pytanie.

- Na razie nie - odparłem. - Musimy trochę odczekać...

Na korytarzu, jak spod ziemi, wyrósł Roman Czomski. Łypnął na Radka i skinął głową. To znak, że telewizyjny korytarz chciałby się nami nacieszyć bez świadków. Poklepałem więc kamerzystę po ramieniu i podszedłem do Czomskiego. Korytarz był w swoim żywiole. Po drodze mijali nas różni bardzo ważni ludzie. Niektórzy byli sławni, inni nimi zarządzali. Wystarczyło, że ci drudzy nie dali tym pierwszym programu i sława umierała. Szybko, jak świąteczna kaczka. I te kochane spojrzenia. Nawet, jeżeli mnie znali, patrzyli tak, jakbym niósł siekierę. Na szczęście byłem w łaskach i moje nazwisko pojawiała się w serialach, inaczej musiałbym odstać na tym korytarzu własną śmierć. Roman łaskawie kiwał głową tylko nielicznym. Nawet najnowsi dyrektorzy wiedzieli, że żaden układ im nie pomoże, jeśli mój przyjaciel weźmie ich na celownik. Tak to działało, chociaż sam diabeł nie zmusi nikogo, żeby to potwierdził. Szliśmy więc i nie było nam pod górę.

- Lepiej wyglądasz - ocenił mnie Roman. - Kłopoty minęły?

- Rozkręcam się, ale nadal nie mam niczego konkretnego. Niby coś się dzieje, ale nie mam pewności...

- Jaja sobie robisz, prawda? - Roman chyba dostrzegł we mnie człowieka.

- Mówię poważnie. Zaraz zadzwonię do jednej babki i

dowiem się, czy dobrze myślałam...

Weszliśmy do gabinetu Romana. Tutaj dopiero psychiatra miałby pole do popisu. Dyplomy, pamiątki, puchary, zdjęcia, książki, segregatory, taśmy, dwa magnetowidy, dwa telewizory i oczywiście nowy komputer. Roman zamknął drzwi i pokazał mi fotel. Opadliśmy obaj w czułe objęcia wytartego obicia.

- Kto to? - rzucił wprost.

- Piękna i młoda - odparłem. - Ale nie wiem, czy przypadkiem nie urodziła się kilka dni temu...

- Taaak? - Wiedziałem, że w oczach przyjaciela urosłem. - Lubisz dzieci?

- Dziewczyna jest pełnoletnia, ale nie wiadomo skąd się wzięła. - Moje tłumaczenie mogło przemówić do komisji śledczej. Tam z pewnością by mnie zrozumiano.

- No to dzwoń. - Roman podał mi telefon służbowy i zapalił papierosa wbrew przepisom. - Oszczędzisz dwa złote.

Wystukałem numer komórki Barbary Szopy i skupiłem się. Sam nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Gdybym wyjechał ze znikaniem i pojawianiem się w salonie pani Marzeny, dziewczyna mogłaby mnie od razu skreślić. Cóż, nie pozostawało nic innego, jak romantyczny adorator. Jeżeli, oczywiście, panna Barbara nie otrzymała wcześniej instrukcji z salonu.

- Halo? - Co za głos. Na końcu pojawiło się nawet dające do myślenia „ou”.

- Dzień dobry. Mówi Artur Brandt. Czy rozmawiam z panią Barbarą Szopą? - Ludzie, co za nazwisko. W dodatku musiałem je zapamiętać. Równie dobrze mogła nazywać się Stodoła albo Kurnik. - Dostałem ten telefon od pani Marzeny...

- Wszystko wiem - przerwała mi panna Barbara. - Spotkajmy się i rzecz panu wyjaśnię. Lubi pan stawiać kobietom kolacje?

Poczułem, że mój portfel zaczyna żyć własnym życiem.

- Jak każdy - odpowiedziałem, obserwując mimo woli twarz Romana. Nawet nie udawał, że nie słuchał. On po prostu sycił się moimi słowami. - Gdzie to ma być?

- A więc w „Marriocie”? Na samej górze jest...

- Doskonale - teraz ja jej przerwałem. - O dwudziestej?
- Niech będzie - zgodziła się i dodała: - Jak pana poznam?
- Ja panią poznam - wyjaśniłem, wyobrażając sobie nasze poznawanie się. Na końcu, oczywiście, ośmioro dzieci.

Wyłączyłem słuchawkę i oddałem Romanowi. Palił papierosa, spoglądał w okno, na mnie, na ściany, czyli myślał. Do gabinetu zajrzał jakiś blady jegomość z plikiem scenariuszy w rękach. Przeczący ruch głowy Romana i facet zniknął. Współczesna odmiana kamerdynerów. W każdej telewizji świata było ich więcej niż filmów dla dorosłych. Najgorsze, że biegali z tymi scenariuszami przez całe dni tylko po to, żeby je krytykować. Niezły myk, prawda? Nosi się pod pachą zdechłego kota i wszystkim się o tym opowiada.

- Zadzwoń, jakby co? - upewnił się Roman.
- Jeśli temat wypali, to zadzwonię. - Skinąłem głową. - Znasz jakiegoś prywatnego detektywa?

Weszła sekretarka Romana. W wieku „w sam raz”. Znów te wszechwiedzące oczy. Uprzejmość starannie kontrolowana, czyli dla mnie „morze miłości”.

- O, pan Artur. Jak miło pana widzieć - zaszczę- biotała. - Zrobić panom kawy? To do podpisu. - Położyła przed moim przyjacielem plik kartek. Uśmiechnął się, co miało oznaczać „na razie nie, ale dziękuję”. Pani odpowiedziała nam obu czymś na kształt uśmiechu i wyszła. Byłem pewny, że zna rozmiar rajstop i nazwisko fryzjera co najmniej połowy ludzi w tym budynku.

- Dobry jest Piotr Malicki - poinformował mnie Roman. Skąd on to wiedział? - Pomagał mi przy rozwodzie.

A więc zabrałem ze sobą numer telefonu detektywa Malickiego, pożegnałem telewizyjne korytarze i ruszyłem do mojego mieszkania. Miałem wrażenie, że wymyka mi się temat życia. Kiedy wyobrażałem sobie niemożliwe zmiany wyglądu w salonie kosmetycznym, ogarniało mnie gorączkowe podniecenie. Rozum podpowiadał mi, że to humbug, a wrodzony optymizm, że jednak cuda się zdarzają. Tak więc moja głowa znalazła się w dwóch pociągach naraz. W dodatku każdy jechał w przeciwną stronę. Potrzebowałem faktów,

inaczej zwykle ludzkie poczucie rzeczywistości mogło zrobić mi krzywdę. Instynktownie odnajdowałem w tej sprawie tajemnicę, którą ktoś bardzo chciał ukryć. Dzień nabierał smaku. Wiedziałem, że dziennikarz, który nie reagował na podejrzane sytuacje, nadawał się co najwyżej do patrzenia w okno.

Wbiegłem do budynku, czym zachwyciłem moją sąsiadkę, panią Ryfkę, siedemdziesięcioletnią babcię w zalotnym kapelusiku i ortopedycznych pantofelkach. Zasłoniła oczy przed słońcem i zawołała:

- Dzień dobry, panie Arturze. Widzę, że coś się kręci...

Nie było dokąd uciec. Pani Ryfka stanęła obok windy i lustrowała mnie swoim dojrzałym wzrokiem. Okulary miała nie od parady: oprawki i szkła mogły konkurować grubością z brzuchem zawodnika sumo.

- Dzień dobry, pani - odparłem, starając się nie patrzeć w jej stronę. - Robię, co mogę...

Winda otworzyła się i wsiedliśmy do środka. Naftalina. Nie było wątpliwości, że pani Ryfka Rajzman dzień i noc toczyła krwawy bój z molami.

- Mój syn też robił, co mógł i został stolarzem. Pan ma jeszcze szansę, tylko musi pan nakręcić jakiś dobry film. - W ten sposób właśnie moja wiekowa sąsiadka lubiła podtrzymywać mnie na duchu. Najpierw rzucała jakiś niezobowiązujący tekst, po czym czekała cierpliwie na moją odpowiedź. Odzywałem się, no i łup: trafiony - zatopiony. Pani Ryfka nie знаła innych zakończeń.

Skinąłem jej głową i szybko schowałem się w mieszkaniu. Odruchowo wyjrzałem przez wizjer i zobaczyłem uśmiechniętą przebiegle twarz. Pomachała mi, ćma cholerna. Dobrze wiedziała, że ją widzę. Tłumaczyłem sobie, że jestem rozkojarzony przez pracę i jej zagrywki nie mają dla mnie znaczenia, ale to nie była prawda. Nie muszę dodawać, że pani Ryfka poczuła się pewniej po rozmowie z moją matką. Kiedyś przez przypadek spotkały się w windzie i opowiedziały sobie to i owo. Wystarczyło. Od tamtej pory uważała mnie za młodzieńca, z którym może sobie pożartować. Powiedziała mi

także, że czyta powieści sensacyjne i zna się na zbrodniach. Ostatecznie dobiła mnie, kiedy wyznała, że przez czterdzieści lat pracowała jako sędzia w sprawach kryminalnych.

Wydawało mi się, że już po wszystkim, bo usłyszałem zatraskiwane drzwi. Co za ulga. Wyrząłem i znów mnie miała. Udawała tylko, że weszła do swojego mieszkania. Czekala aż wyrzę i znów machala mi tą swojå łapkå z wielkimi pierścionkami. Sąsiadka przez duęe „S”.

Włączyłem komputer i zacząłem przeglądać zdjęcia sprzed salonu pani Marzeny. Kolejne olśnienie nie podniosło mnie na duchu. Zorientowałem się, że Radek wcale nie filmował bez przerwy. Włączył drugå kamerę dopiero wtedy, gdy pierwsza się całkowicie nagrała. A zatem kobiety po guamie wcale nie musiały znikać lub pojawiać się nie wiadomo skąd. Dwa tygodnie zbierania dowodów na nic. Musiałem wszystko zorganizować od początku. I wbrew pozorom wcale mnie to nie zmartwiło. Nadal trzymałem temat w garści, a sprawa była podejrzana. Świat jest piękny, kiedy człowiek ma coś do zrobienia.

Zadzwoził dzwonek do drzwi. Otworzyłem, ale daleko mi było do „czym chata bogata”. Pani Ryfka uśmiechnęła się do mnie i potrzåsnęła wielkim kluczem do własnego mieszkania. Sukienka, sweter i całe morze pierścionków - oto obraz, który miałem zapamiętać na całe życie.

- Proszę się nie gniewać, ale chciałabym skorzystać z pana komputera - wytłumaczyła swoje najście.

O tak, ostatnio coraz częściej zapraszała się do mnie „na komputer”. Ktoś pokazał jej kiedyś, co i jak, no i zaczęło się. Moja sąsiadka nigdy nie kupiła sobie nawet dyskietki, ale w niczym nie przeszkodziło jej to rozwijać zainteresowań na moim sprzęcie. Najwidoczniej uznała go za wystarczająco dobry. Prawdę mówiąc zastanawiałem się, dlaczego przez ostatnie dwa tygodnie Internet pozbawiony był jej obecności.

- Chorowałam trochę i nie mogłam pana odwiedzać - dodała, po czym ominęła mnie, jak głaz, i powędrowała wprost do komputera. Śledziłem ją wzrokiem w milczeniu. Zamknąłem drzwi i pozwoliłem sobie usiąść we własnym fotelu

w pobliżu pani Ryfki. Włączyła, ponaciskała, poprawiła wysokość krzesła przed ekranem i zaszczyliła mnie swoją uwagą.

- Widzę, że ma pan problem - stwierdziła.

- Mam. Obudzi mnie pani o siódmej? - zapytałem zdechniętym głosem. Pani Ryfka opędziła się ode mnie ręką, co miało oznaczać, że punktualnie o siódmej wykopie mnie za drzwi.

Rozdział siódmy

Wbiegłem do windy w „Marriotcie” i od razu zdobyłem uznanie jadącej ze mną pary. Zapach mojej wody kolońskiej musiał ich zachwycić, bo padli sobie w ramiona i znaleźli czas na oddychanie usta - usta. Zanim wjechaliśmy na górę, kilka razy czułem ich magnetyczne spojrzenie. Wysiadali piętro niżej. Chłopak był wrażliwszy, bo zapytał mnie przy wyjściu:

- Jak się nazywa ta woda? - Odpowiedziałem, a on na to: - Tak nazwę swojego syna...

Szczeniak był za dobrze wychowany. Mnie też mama mówiła, żebym nie wylewał na siebie butelki perfum, ale nie miałem siły wyhamować. A swoją drogą w windzie musiało rzeczywiście ostro walić. Miałem nadzieję, że zapach wywietrzeje trochę, zanim dojdę do barku. Barbarę Szopę zobaczyłem prawie od razu. Siedziała przy oknie z widokiem na „Złote Tarasy”

i paliła papierosa. Jej ręka wykonywała przy tym ruch tak dostojny, że omal nie klęknąłem. Na filmie wyglądała nieźle, ale tutaj przeszła samą siebie. Smukła blondynka z kształtnymi piersiami, w opiętej czerwonej sukience i w szpilkach. Gdyby pożądanie miało głos, ludziom w barku popękałyby bębunki. I ta twarz. Na jej tle moja wyglądała jak nadwozie trabanta. Ona mnie również rozpoznała, bo wstała i wyciągnęła rękę.

Od zakochania dzielił mnie jeden krok. Rozejrzałem się po sąsiednich stolikach, łowiąc aż trzy spojrzenia obcych samców. Odpowiedziałem im zmarszczeniem brwi, co miało ich przekonać, że trafili u mnie na okres rui. Mieli przed sobą wściekłego łosia.

- Jest pan punktualny, to dobrze - oceniła mnie panna Szopa. Miałem pierwszy powód do niepokoju.

- Zamówimy coś do jedzenia? - zapytałem, starając się nie wodzić spojrzeniem po jej ustach.

- Już zamówiłam. Dla pana i dla mnie. - Zanim się spostrzegłem, postawiono mnie w kącie. Drugi powód do niepokoju. - Pani Marzena prosiła mnie o wyjaśnienie panu, że

jestem jej klientką i riiiie powinnam być związana z żadnymi pańskimi podejrzeniami. Rozumiemy się?

Nie było już pożądanego, piękna, a tym bardziej „kroku do zakochania”. Panna Szopa zaczęła mi się kojarzyć z książką przychodów i rozchodów. Pokiwałem głową, że rozumiemy się. Jej uroda i mózg były w stanie permanentnego rozvodu. Moim skromnym zdaniem powinien go udzielić ktoś z ciężką ręką, najlepiej dentysta. Nie skończyła jeszcze:

- Jeśli nie przestanie pan się mną interesować, pozwę pana do sądu. I proszę tak na mnie nie patrzeć!

- Jak? - zdziwiłem się.

- Jak na obiekt seksualnego pożądanego - wygarnęła mi. Wstałem i odszedłem od niej w stronę faceta z rasową południową urodą. On pierwszy wpadł mi w oko jako najgorętszy adorator panny Szopy. Nawet pies nie mógłby się tak zaślinić bez ryzyka utopienia. Pochyliłem się do ucha przystojnego adoratora i szepnąłem:

- Jest twoja, bracie. I jeszcze jedno. Weź ze sobą kalkulator. To ją naprawdę kręci...

Kiedy wychodziłem, kelner niósł właśnie jedzenie. Panna Szopa odprowadziła mnie zdziwionym spojrzeniem i przez chwilę miałem wrażenie, że zacznie na mnie krzyżeć. Obyło się. Doszedłem do windy i w spokoju zjechałem na dół. Oczywiście nie mogłem wiedzieć, że przez cały czas obserwowały mnie jeszcze jedne oczy. Można powiedzieć, że obojętne i bardzo profesjonalne.

Przejażdżka w nocy ulicami Warszawy przypominała drapanie pleców w kąpielni. Zawsze mogło być lepiej. Mieszkałem blisko, więc zrobiłem sobie rundkę po centrum na uspokojenie. Kropił deszcz i jezdnie błyszczały się od świateł. Na Wspólnej obejrzałem sobie panienki, na Grzybowskiej przymiarki budowlane, a na Żelaznej odebrałem telefon od pani Marzeny. Włączyłem zestaw głośno mówiący i zwolniłem.

- Dobry wieczór. Dzwonię, żeby zapytać, czy wszystko się wyjaśniło? - Graj, graj, piękny Cyganie, tak się poczułem.

- Miała pani rację - uspokoiłem panią Marzenę, - Chyba mnie poniosło. Myślałem, że trafiłem na niesamowity temat.

Przepraszam za kłopot. - Kiedy to mówiłem, poczułem się innym człowiekiem. Właściwie mogłem kandydować na prezydenta - moje słowa same robiły się puste. Pani Marzena rozłączyła się, co mogło oznaczać, że zostałem uznany za gościa, który może dobrać się do skóry co najwyżej zakładom garbarskim. Na szczęście zrelaksowałem się. W radiu podali, że pewne panie pogniewały się na pewną agencję reklamową za reklamę telewizyjną, w której ponętna dziewczyna w obcisłej bluzce drga piersiami na korzyść jakiejś firmy. Panie powiedziały, że reklama jest seksistowska i traktuje kobiety instrumentalnie. Ryknąłem śmiechem i głos Barbary Szopy przestał mi szumieć w głowie. Wyobraziłem sobie świat bez tej instrumentalności, świat cudowny jak portrety komunistycznych wodzów. Pełen kaszalotów, którym jest zawsze pod górę.

W poczuciu obowiązku zadzwoniłem do mamy. Zaparkowałem i skierowałem się do mojego bloku. Mama najpierw zapytała mnie o zdrowie, potem o jedzenie, w końcu o narzeczoną, którą powinienem szybko sobie skądś wytrzasnąć. Otrzymałem też pochwałę. Okazało się, że pani Ryfka zadzwoniła do mamy i pochwaliła się, że pozwoliłem jej zostać w moim mieszkaniu i korzystać z Internetu. Kiedy wszedłem do mieszkania, starsza pani pomachała mi ręką, wstała i ruszyła do drzwi. Typowa autorka kryminałów z początku XX wieku.

- Widzę, że randka się nie udała - rzuciła od niechcenia. - Dobranoc.

Co było robić? Położyłem się spać, przyrzekając sobie, że tym razem obserwację przeprowadzę osobiście. Żadnej kamery, żadnego Radka, żadnego komputera. Przyśniła mi się pani Ryfka w kapelusiku i piersi dziewczyny z reklamy. Na szczęście natura zdecydowała, że miałem do tego prawo.

Filozofowie twierdzą, że „sowa Minerwy przylatuje o świcie”. Chodzi o dobre poranne pomysły. Do mnie przyleciała pod prysznic. Akurat wtedy, gdy szampon zaczął mnie szczypać w oczy. Przyleciała i dawaj brać mnie w obroty. Skończyło się na tym, że po założeniu ubrania zapukałem do pani Ryfki. Tak oto zdarzył się cud. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

Śmiem twierdzić, że moja sąsiadka warowała przy nich dzień i noc. Wystarczyło, że poruszyła się u mnie klamka i mogłem obyć się bez spowiedzi. Starsza pani wyglądała jak zawsze - muzealnie.

- Wiedziałam, że w końcu pan sobie o mnie przypomni - zaczęła rozmowę bez powitania. Najwyraźniej kontynuowaliśmy pięćdziesiąt lat naszego pożycia małżeńskiego. Tfu!

- Potrzebuję pomocy w realizacji projektu. - „No, no, panie Arturze, co za wyszukany język” - pogroziłem sobie dla przyzwoitości. - Przez co najmniej dwa tygodnie zamierzam obserwować pewien salon kosmetyczny i zapamiętywać ludzi, którzy tam wchodzą i wychodzą. Dlatego potrzebne mi doświadczone „drugie oko”.

Emerytowana pani sędzia spoglądała na mnie zza swoich grubych szkieł i wietrzyła podstęp.

- Chce pan, żebym z panem podglądała salon kosmetyczny? - wyraziła moją propozycję w formie aż za bardzo retorycznej. Pomyślałem, że mogłem ją rozdrażnić. W końcu, kto chce być uważany za doświadczonego w podglądaniu?

- Jeśli pani ma czas i zechce - odpowiedziałem.

- Czyli mamy łączyć w tę i z potorotem po ulicy i obserwować? - Pani Ryfka zaczynała mi grać na nerwach. Kiedy nie trzeba, to wacha nawet kaptcie sąsiada z parteru, a kiedy trzeba, udaje zajętą. Byłem gotów założyć jej nelsona na szyję i trochę babcię przeturłać. Chyba to wyczuła, bo nagle dodała: - Dobrze, zgadzam się na taką formę spędzenia czasu.

Zawsze szanowałem sędziów, ale po ostatnim zdaniu pani Ryfki, wiedziałem już, że powinienem ich kochać. A więc „taka forma spędzenia czasu” wzięła nas w swoje ramiona. Śniadanie zjedliśmy w mieszkaniu pani Ryfki, a do salonu pojechaliśmy moim mini. Staruszka nie odzywała się, mocno nad czymś myślała. Od czasu do czasu podejrzewałem u niej sztywnienie pośmiertne, ale za każdym razem okazywało się, że to nieprawda. Jej niewielkie zasuszone ciało pulsowało życiem i informowało mnie o tym głośnym kaszlem. W końcu dotarliśmy na miejsce, zaparkowałem jak najbliżej drzwi

wejściowych do salonu i wyszedłem po gazety. Kiedy wróciłem, pani Ryfka spoglądała na mnie wzrokiem matki tuzina dzieci.

- No i na co mamy patrzeć, panie Arturze? - zaczęła z uznaniem. - Gazety kupił pan dla niepoznaki, prawda? Mamy wywiercić w nich dziury i gapić się na te drzwi...

- Raz już mnie zauważyli - wyjaśniłem. - Mój kamerzysta nie uważał i wszystko zepsuł. Chodzi o dyskrecję, bo temat jest naprawdę mocny...

- Co mam zapamiętywać?

- Interesuje mnie każdy, kto wszedł do salonu i w ogóle stamtąd nie wyszedł i każdy, kto wyszedł, ale nigdy tam nie wszedł - powiedziałem. Pani Ryfka zrozumiała bez powtarzania. Znów popatrzyła na mnie z bojaźnią w oczach. Przejrzałem się w samochodowym lusterku, ale nie zauważyłem u siebie żadnych niepokojących objawów. - Pracujemy na zmianę. Raz jedno w samochodzie, raz drugie - zaproponowałem. Dziwne, ale rozkaz został przyjęty w milczeniu.

Pierwszy wyszedłem z samochodu i zacząłem spacerować po drugiej stronie jezdni. Tylko wspaniały warszawski tłok uchronił mnie od zdemaskowania. Osobiście czułem się nagi i przez wszystkich rozpoznany. Ot, aktor niecenzuralnego filmu w ubraniu. Do salonu wchodziło tak wiele kobiet, że po trzech godzinach byłem kompletnie skołowany. Pani Ryfka natomiast nie zdradzała oznak przepracowania. Raz nawet zapaliła papierosa i wydawało się, że uśnie na stojąco. Cóż, też temat, ale nie w tym momencie. Zastanawiałem się, jak długo nasza obserwacja mogła trwać. Tydzień, miesiąc, pół roku? Nigdzie nie było zapisane, że pani Marzena akurat w tym czasie zrobi coś podejrzanego. Nigdzie też nie było powiedziane, że pani Ryfka w tym czasie nie odejdzie do Pana. Kiedy o tym myślałem, minęła mnie kobieta, która kogoś mi przypominała. Wiedziałem, że gdzieś ją spotkałem, ale na tym moja pamięć urywała się. Nieznajoma weszła do salonu, a ja zostałem z wrażeniem, iż ulica, po której spacerowałem, sprzyjała obecności wyjątkowo atrakcyjnych kobiet. Godzinę później zadzwonił mój telefon i poczułem, że mam jeszcze szansę na

nagrodę Pulitzera.

- Dzień dobry panu, mówi Joanna Lizucka. - Jej głos zabrzmiał zasadniczo. - Dzwonię, żeby panu powiedzieć, że jestem cała i zdrowa, ale nie chcę się z panem widzieć. Słyszałam o pana dziwnych poszukiwaniach i dziwię się, że nie szkoda panu czasu. Czy uspokoiliam pana i da mi pan spokój, czy mam zawiadomić policję, że mnie pan nęka?

- Powinna mi pani podziękować za opiekę - wygarnąłem ze szczerego serca. - Wiem, że coś w tej sprawie jest nie tak i zamierzam to wyjaśnić...

- No to proszę to robić beze mnie. - Panna Lizucka prawie plunęła mi w twarz. Fantastyczne uczucie.

- Jak pani sobie życzy - skłamałem. - „Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy...” - wyrecytowałem natchnionym głosem do telefonu.

- Pan zwariował. Do widzenia. - I po sprawie. A mogło być bosko.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że pani Ryfka macha do mnie ręką. Wskoczyłem z samochodu i podbiegłem do niej. Staruszka była podekscytowana. Pokazała mi palcem kobietę w białym płaszczu, która wsiadała właśnie do zaparkowanego na chodniku volvo. Bez przyglądania się zauważyłem, że jej ubranie było dziwnie niedobre, ale figura i sposób poruszania mogły oszołomić nawet Jerry ego Springera.

- Ona... Ona nie wchodziła dzisiaj do tego salonu - wydyszała moja sąsiadka. - Niech ją pan goni, bo mamy dużo szczęścia...

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Zostawiłem panią Ryfkę na ulicy i ruszyłem za volvo. Oto spełniało się moje marzenie o niezwykłym temacie. Z salonu wyszła kobieta, która tam nie wchodziła, a zatem działo się coś bardzo dziwnego. Ruch w południe był tak duży, że nie musiałem się specjalnie ukrywać. Jechałem za samochodem podejrzanej i bezwiednie pogwizdywałem pod nosem. Najpierw zatrzymaliśmy się na Marszałkowskiej. Kobieta wyskoczyła ze swojego samochodu i weszła pospiesznie do sklepu z ubraniami, który nie był najtańszy. Spacerowałem po ulicy i cierpliwie czekałem aż

stamtąd wyjdzie. Oczywiście nie zauważyłem, że ja także znajdowałem się pod czyjąś dyskretną opieką. Bolesnie przekonałem się o tym dopiero później. Biały płaszcz pozostał, ale buty i rajstopy od razu stały się moimi ulubieńcami. Dopiero teraz mogłem w pełni docenić obiekt moich podejrzeń. Jej chód i oczy zwracały w głowie nie tylko mnie. Kilku mężczyzn o mało nie zderzyło się ze sobą. Musiałem coś wymyślić, żeby bez podejrzeń z nią porozmawiać. Przeczuałem jednak, że poza rozmową mogło nam się przydarzyć wiele innych niespodzianek. Jednym słowem - byłem otwarty i postanowiłem ją śledzić.

Następny przystanek: Silver Screen i restauracja „San Marzano”. Weszła tam i zajęła stolik w rogu. W ten sposób mogłem ją osaczyć. Nie miałem jeszcze pomysłu, ale paliłem się do tej roboty. Sami wiecie, że niełatwo zwrócić uwagę pięknej dziewczyny. Co prawda mogłem ją nastraszyć moją firmową miną, ale kto wie, co byłoby potem. Miałem mało czasu. Takie rybki nie jadały dużo. Zamówiła lasagne, wodę bez gazu i kropka. Wycofałem się dyskretnie z restauracji i wyszedłem na ulicę. Pomysł już miałem, teraz potrzebowałem aktorów. Najlepiej z twarzami z obrazów Breughla lub Boscha. Nie trzeba było długo szukać. Na skraju jezdni stało trzech z łysymi łbami i mocno gestykulowali. Ćwiczyli nasze tai-chi. Wspaniałe widok. Jeszcze chwila i poświęcą się dla sportu. Zaproponowałbym skok pod koła, ale czas mnie gonił. Zapytałem więc w cenionym na świecie stylu:

- Chcecie zarobić po stówie?

Gdyby nie chcieli, musiałbym zmienić swój stosunek do inteligencji. Rudy z policzkami w krostach odsłonił wyszczerbione zęby. Kiedyś powiedziałbym, że dostał w nie klingą miecza, teraz nie miałem pomysłu. Pozostali dwaj obejrzelili mnie od stóp do głów, wyrobili sobie zdanie i spojrzeli przytomniej.

- Co trzeba zrobić, szefie? - wycharczał rudy.

- Chcę zgłuszyć jeden towar i odegrać bohatera - wyjaśniłem, patrząc im w oczy. Byli chyba trochę zaskoczeni.

- Nie boi się pan? - zapytał najniższy z nich. Wyglądał źle:

pokierszowana twarz, brak uzębienia i zezowate oko. Idealny bohater opowieści z krypty.

- Nie boję się nigdy - odpowiedziałem, nadal patrząc im z zaciekawieniem w twarze. To ich chyba przekonało, bo rudy znów podjął temat.

- No dobra - rzucił niecierpliwie. - Jak mamy to zrobić? I kiedy wypłata?

- Wypłata zaraz po robocie - odparłem, rzucając wzrokiem na zegarek. - Panienska musi się przestraszyć, a ja...

- Walniesz nas w ryj? - przerwał mi średni. Kolczyk w nosie stawiał go w złej sytuacji.

- Postaram się przestraszyć was. - Po tych słowach wszyscy trzej zaśmiali się. Prawdopodobnie uważali mnie za kibica z Krakowa. - Jak w filmie... Tylko nie zepsujcie tego.

No i poszliśmy na górę do restauracji. Po drodze w korytarzu dałem im połowę forsy. Jeśli mnie dotąd nie polubili, to teraz na pewno. Dopieliśmy naszą improwizację i potoczyło się. Najpierw weszli oni. Rozejrzeli się i od razu skierowali w stronę stolika, przy którym siedziała moja piękność. Udawała, że ich nie widzi. Kiedy już siedli obok niej, objęli ją z obu stron i zaczęli obwąchiwać, dziewczyna chciała wstać. Kelnerzy udawali, że właśnie stracili wzrok.

- Zostawcie mnie! - krzyknęła i zaczęła się szarpać. Wtedy pokazali jej brzytwę. Nie ma chyba urządzenia, które wydawałoby cichszy dźwięk. Szeptali jej do ucha jakieś ważne informacje, a ona, zdrętwiała ze strachu, błagalnie rozglądała się po ludziach. I wtedy wkroczyłem ja - westernowy twardziel. Wyszedłem zza barku i z ręką w kieszeni spodni podszedłem do towarzystwa. Tak jest, tutaj potrzebny był ktoś naprawdę mocny. Ona to wiedziała, oni to wiedzieli i ja to wiedziałem. Kapitalny układ. Zatrzymałem się przed jej stolikiem akurat w chwili, gdy rudy zaczynał obmacywać jej piersi.

- Dobrze, że cię widzę - odezwałem się dość oficjalnie do dziewczyny. - Za pół godziny mamy być u Stefana...

Otworzyła oczy, otworzyła usta i nie wiem, co jeszcze. Rudy podniósł głowę i widać było, że nie namacał się tak, jak należy.

- Czego tu? - warknął groźniej niż tygrys. Grał doskonale.

Gdyby nie nasza umowa, wiałbym jak gazela. Pozostali przyłączyli się do niego i syknęli w moim kierunku mniej cenzuralnie:

- Wyp...

- Wy już wychodźcie. - Nawet Brudny Harry nie mógł mi podskoczyć. Przerazałem sam siebie. Wyjąłem z kieszeni rękę, w której trzymałem gaz paralizujący. Nabrali do mnie szacunku. Brzytwa powoli powędrowała do kieszeni. - A może ktoś chce być sparalizowany? - dodałem z debilnym uśmiechem, celując w rudego.

Wstali i ostrożnie, zasłaniając sobie twarze, skierowali się do wyjścia. „Robercie de Niro! Szkoda, że mnie w tym momencie nie widziałeś”.

- Zaczekamy na ciebie - zagroził mi najniższy. - Masz prze...

- Odprowadzę was na dół - przerwałem ten popis elokwencji. Schodzili przede mną i dogadywali, że aż miło. Ich przekleństwa niosły się echem po całej restauracji. Wspaniała i przekonująca scena ocalenia niewinnej dziewczyny. Na dole dałem im resztę pieniędzy i nasza znajomość dobiegła końca. Każdy był zadowolony.

- Gdyby jeszcze jakaś mała rólka, to wiesz, gdzie nas szukać... - dorzucił z potrzeby serca średni i zniknęli za drzwiami. Nie jest łatwo zarobić na chleb.

Wróciłem do restauracji akurat w momencie, gdy kelner stawał przed śmiertelnie wystraszoną dziewczyną lasagne. Podszedłem na tyle obojętnie, że mogła pomyśleć o mnie wszystko. Zatrzymałem się i wpatrywałem się w nią wzrokiem doktora Freuda. Ba, nawet dotknąłem palcem jej brwi i stwierdziłem autorytatywnie:

- Przepraszam, myślałem, że panią uderzyli. - Kiwnąłem na kelnera. Podszedł jakiś nieswój. Wstyd mu było. - Zawiadomiliście policję?

- Dzwonimy... - odparł jeszcze bardziej załamany. Istniała obawa, że dokona samospalenia.

- To już nie dzwońcie - poinstruowałem go głosem prezesa z największą wizytówką świata. - Szkoda czasu...

- Ale oni powiedzieli, że będą na pana czekać przed

restauracją - przypomniała mi dziewczyna. Jej blond włosy tańczyły we wszystkich kierunkach, a oczy zapowiadały lokalny wyż demograficzny.

- Tak? - zdziwiłem się nie na żarty. To też zrobiło wrażenie. Kelner o mało się przede mną nie rozebrał. - Ja też nie zdążyłem się z nimi nagadać. Jak się pani czuje? - To był sygnał dla kelnera. Idź stąd, bracie, bo będą się działy rzeczy wielkie. Zrozumiał.

- Boże, nigdy tak się nie bałam. - Dziewczyna odnalazła we mnie przyjaciela. Na początek dobre i to. - Może pan ze mną zje?

„Tak, na to właśnie czekałem, myszko ty moja”. Skinąłem głową i usiadłem. Pstryknąłem palcami i pokazałem, że też zjem lasagne. Chociaż nie przepadałem. Czego się jednak nie robi dla ukochanej kobiety.

- Co chcieli? - Opadłem na krzesło i obserwowałem przymiarki dziewczyny do jedzenia. Chyba skurczył jej się żołądek, bo nie szło jej to. Strach strachem, a lasagne szkoda.

- Chcieli mnie gdzieś zabrać - odparła, dziobiąc widelcem w talerzu. - Bałam się, bo mieli brzytwę.

- Proszę jeść - ponagliłem ją, bo stygło. - Wystarczy, że ja się wystraszyłem.

- Gdyby nie pan, to...

- ...nigdy bym pani nie poznał - dokończyłem, uśmiechając się do niej, jak do znalezionej portfelu. Instynkt podpowiadał mi, że na harce jeszcze za wcześnie. Najważniejsze, że przełamaliśmy pierwsze lody. Moja brzydka twarz widocznie nie robiła na niej wrażenia. Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie.

- Jestem Magda - przedstawiła się z pełnymi ustami. Zawahała się, po czym uzupełniła: - Magda Kaszubska. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

- Artur Brandt. - Podali moją lasagne. - Pości- gamy się? - zapytałem, patrząc w talerz. Spojrzała na mnie z wdziękiem. - Kto pierwszy zje...

Na pewno była oszołomiona, bo skinęła głową i ruszyliśmy na całego. Mimo że wychodziła z siebie, nie miała żadnych

szans. Jeszcze w dzieciństwie przećwiczyłem upychanie w ustach wprost z talerza całego drugiego dania. Mecze z kumplami nie mogły czekać, jeśli rozumiecie, o czym mowa. Tym razem zsunąłem do ust prawie całą lasagne za jednym razem. Jak na pierwsze spotkanie Magda Kaszubska miała naprawdę dużo wrażeń. Przestała jeść i obserwowała mnie. Byłem pewien, że pierwszy raz w życiu spotkała naprawdę twardego gościa. Dobrze pamiętałem, co w tych sprawach doradzała mi mama: „Nie zapominaj, że kobiety lubią wesołych mężczyzn. Jeśli będziesz twardy i wesoły, to twoja biedna matka na pewno doczeka się wnuków...”. Panna Magda w końcu roześmiała się, pokazując migdałki.

- Pierwszy raz w życiu spotykam kogoś takiego - wyraziła bardzo interesującą opinię na mój temat. - Nie boi się pan...

- Artur - przerwałem. Byłem bliżej o centymetr, a może nawet o dwa.

- Nie boisz się bandziorów, wyglupiasz się jakbyś miał piętnaście lat... No i nie... - przerwała nagle i zarumieniła się. Taką czerwień gotowy byłem zlizywać ze ściany.

- Co „nie”? - wyrzuciłem z siebie nieznośny ciężar niedopowiedzenia. No i popiłem lasagne wodą z jej szklanki. Zauważyła to, ale nie protestowała. Oj, skąd ja znałem ten wzrok? Cholera, najwyraźniej brała mnie w posiadanie, jak matka, żona lub narzeczona.

- Nie napalasz się na mnie - wyrzuciła z siebie. Teraz musiałem bardzo uważać. Gdybym zaprzeczył, jej ognisko mogłoby zacząć gasnąć, gdybym potwierdził, mogłoby zgasnąć od razu. Więc nie powiedziałem nic. Zastanawiałem się tylko, dlaczego chciała ze mną rozmawiać. Co prawda nie miałem na twarzy krost, blizn i innych fajnych śladów, ale z moim ukształtowaniem nosa, policzków, ust i oczu nie nadawałem się na tego jedyne. Przypominałem skrzyżowanie polskiego opoja z opojem irlandzkim i szkockim. Pewnie dlatego w szkole przeżywali mnie „Morda”. Ale Magda Kaszubska jakby tego nie zauważała.

- Nie napalam się na nikogo - wydusiłem z siebie gorzkie słowa. To ją naprawdę zaintrygowało. Wyobrażałem sobie, że

zaczynała mnie traktować jak wyzwanie. Już ona mnie rozpali, wyczytałem w jej oczach. A pal sobie, pal, pomyślałem. I oczywiście niechący zajrzałem jej w dekolt. Jeżeli kobiece piersi mogły człowieka wykarmić i postawić na nogi, to te dwie bez trudu mogły to zrobić z całą armią. Odezwał się we mnie mały lubieżnik i musiałem mu szybko ukręcić łeb. Nie przeszkodziło mi to jednak w smutnej konstatacji, że rudy miał szczęście, bo był już tam przede mną.

Wyszliśmy z restauracji razem. Moich aktorów nie było już na ulicy albo może czaili się w pobliżu i popijali piwo za ciężko zarobione pieniądze. Magda rozglądała się wystraszona i odruchowo trzymała mnie pod rękę. Nie broniłem się, bo i po co. Myślałem o tym, co ją łączyło z salonem pani Marzeny. Jakim cudem nie weszła do środka, a jednak stamtąd wyszła?

Potem rozstaliśmy się, bo na więcej było za wcześnie. Pojechałem z powrotem przed salon pani Marzeny. Uznałem, że na razie wystarczy obserwacji i powinienem skupić się na Magdzie Kaszubskiej. Po drodze zabrałem panią Ryfkę, która tak się rozkręciła, że wcale nie miała zamiaru wracać do domu. O podobnym poświęceniu czyta się w książkach. W rzeczywistości trudno się do niego przyzwyczaić. Potem na chwilę dopadło mnie wspomnienie tej jedynej z niebieskiego subaru. Pamięć wykręcała mi numer życia, a ja mogłem co najwyżej uważnie się porozglądać.

Rozdział ósmy

Mama zawsze mi powtarzała, że mężczyzna powinien być romantyczny, bo kobiety to lubią. Romantyczny, czyli grzeczny, delikatny, prawiący komplementy, usłużny i z poczuciem humoru. Idealny zestaw do trumny na ostatnią drogę. W życiu zastosowałem te zasady dopiero po trzydziestce. Wcześniej od razu imponowałem uzbrojeniem. Zresztą wszystkie ładne panny, jakie znałem, nie były inteligentniejsze od kury. Robiły dużo, żeby normalny facet myślał o nich w czasie przeszłym. Jeżeli człowiek nie trzymał w zębach stu dolarów, miały kłopot ze zrozumieniem wszelkich treści.

Zadzwoiłem i zamieniłem głos w szmerzący strumyk. Magda Kaszubska nawet się nie dziwiła.

- Jadę do ciebie z kwiatami - oznajmiłem. Oczywiście ani nie jechałem, ani nie miałem kwiatów. - Z niespodzianką... - Kto to wiedział, co to była za niespodzianka? Magda jednak nie zamierzała tanio sprzedać skóry.

- Żartujesz, prawda? - zapytała prawie oficjalnie.

- Chciałbym bardzo - odparłem z westchnieniem cięższym od dziennego urobku górnika. - To nie jest takie łatwe...

- Co masz na myśli? - No, nareszcie. Szczęśliwym trafem słowo „kokietować” było jeszcze w słownikach.

Teraz musiałem potrawę trochę dosolić i trochę dopieprzyć.

- Jak to powiedzieć? - zastanawiałem się. Nieśmiałość miała skrzydła, leciałem. - Po prostu nie mogę sobie znaleźć miejsca...

- No wiesz... - zawahała się. - Za ile będziesz?

- Za godzinę.

- A mówiłeś, że już jedziesz? - Najwyraźniej droczyła się ze mną.

- Bo to prawda. Jadę naokoło - szepnąłem.

Po drodze kupiłem trzydzieści pachnących róż, dwie butelki wina, płytę z muzyką Roda Stewarta i chińskie jedzenie. To ostatnie zgodnie z modą promowaną przez kino. Jak bal, to bal.

Do klubowej marynarki ze złotymi guzikami nałożyłem nawet fular. Niech dziewczyna wie, co do niej czuję. Przed jej drzwiami byłem mniej więcej w godzinę. Nie muszę dodawać, że bardzo pachniałem i miałem umytą głowę. Tylko twarz została ta sama. Drzwi otworzyły się i zobaczyłem to, co przez całe życie chciałem zobaczyć. Kobiętę, która swoją urodą informowała pozostałe, że żarty się skończyły i pora brać się za zmywanie garów. Zaraz za progiem runąłem na jedno kolano. Zabolało, ale tak trzeba. Był to stary numer idealnych latynoskich kochanków. Mój bukiet po prostu zasłonił jej świat.

- O Boże - szepnęła, ale dobrze usłyszałem.

- To ja, Artur - poprawiłem ją.

Potem były świece, chińszczyzna na pięknie zastawionym stole, muzyka, która sączyła się do serca, wino, zapach kwiatów i spojrzenia w oczy. Nie dawały się z niczym innym porównać. Były to spojrzenia jak marzenie. Raz ona na mnie, raz ja na nią, raz ona omdlewa, raz ja rozpędzam mój agregat, raz ona wabi, raz ja uciekam pod stół... Gdyby kobiety i mężczyźni na całym świecie w ten sposób zaczęli, nikt nie mógłby czuć się pokrzywdzony. Do czasu, oczywiście. Toczyliśmy również rozmowę, która - miałem nadzieję - zaprowadzi mnie do celu.

- Myślisz, że nasze spotkanie było przypadkowe? - zagailem, aby raz jeszcze uświadomiła sobie, że ma przed sobą jednego z bohaterów spod Troi.

- Wierzę w przeznaczenie - szepnęła i, jak to kobiety, popatrzyła na mnie śmiertelnie poważnie. No, no, no, żadnej taryfy ulgowej. A co by było, gdybym teraz zemdlał?

- Mieszkasz w Warszawie od dawna? - zapytałem. Pora na konkrety, moja panno.

- Od urodzenia - odpowiedziała bez wahania. - Moi rodzice mają dom w Pruszkowie. Ja skończyłam studia i zaczynam pracę jako „piarowiec”. A ty?

A więc jeszcze jedna miłośniczka łatwego chleba. Miałem wrażenie, że mama otoczyła mnie swoimi ludźmi. Magda miała ładne paznokcie, długie, rozpuszczone włosy i sukienkę w żółto-białe pasy. Sukienka zaczynała się tuż nad biustem i kończyła nad kolanami. Taka większa getra w sam raz do

przesuwania w górę lub w dół. Jej buty także dobrze zapamiętałem: na niskim obcasie z czubkiem dłuższym od nosa Pinokia.

- A ja piszę scenariusze i kręcę filmy dokumentalne - przywaliłem najskromniej jak umiałem. Dobrze pamiętałem, co powiedział mi stary łysy reżyser na początku mojej pracy w telewizji. Pewnego dnia, gdy asystowałem mu przy montażu, odezwał się nie na temat: „Kobietę można poderwać na pięć sposobów. Po pierwsze na pieniądze, po drugie na sławę, po trzecie na inteligencję, po czwarte na urodę i po piątę na miłość”. Dlatego właśnie w moją rozmowę z Magdą wkradł się konkretny wątek: sława i inteligencja. W dodatku za rogiem czaiła się miłość. W moim przypadku forsa i uroda odpadały.

Około pierwszej byliśmy już po dwóch winach i czterech koktajlach. Ona rozmarzona, a ja gotowy na wspinaczkę. Poprosiłem ją do tańca i w płomieniach świec zaczęliśmy robić to, co od lat najlepiej wychodziło Chińczykom, Hindusom i mieszkańcom Afryki. Rod Stewart śpiewał tak słodko, że dywanolożenie wyszło mi lepiej niż kiedykolwiek. Potem zaniósłem Magdę na rękach do sypialni i zasnęliśmy. To znaczy ona szybko zasnęła, a ja wykradłem się do pokoju obok i zacząłem sprawdzać jej dokumenty. Dowód i prawo jazdy znalazłem w torebce. Nie wzbudzały żadnych podejrzeń. Indeks, paszport i książeczka zdrowia leżały w szufladzie biurka. Też urzędowo ostemplowane. Już zacząłem podejrzewać, że znów popełniłem błąd, kiedy natrafiłem na skasowany stary dowód osobisty. Leżał na dnie ostatniej szuflady. Otworzyłem go i przeżyłem déjà vu. Kobieta na zdjęciu miała sześćdziesiąt dwa lata i kogoś mi przypominała. Bardzo niewyraźnie, ale na pewno. Na mój gust była to zaszuszone i smutna twarz wdowy po inteligencie. Nazywała się Janina Piórko, a więc jej świętej pamięci mąż musiał być pisarzem. Usiadłem zupełnie nagi na krześle przy biurku i w świetle lampki wpatrywałem się w zdjęcie w dowodzie. Skąd ja znałem tę twarz? Wtedy przyszło olśnienie. Przypomniałem sobie, że prawdopodobnie ta kobieta weszła do salonu pani Marzeny i już z niego nie wyszła. Zastanawiałem się, co robił dowód obcej kobiety w biurku

mojej kochanki.

- Co robisz? - usłyszałem tuż za plecami. Weszła na bosaka, w samym podkoszulku, spod którego wystawały jej biodra i całkiem niezły kawałek szczęścia.

- Przeglądam twoje rzeczy - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Usiadła mi na kolanach i wpatrywała w dowód Janiny Piórko. - Kto to? - zapytałem.

- Moja ciocia - odpowiedziała. - Już nie żyje. Co jeszcze chcesz o mnie wiedzieć?

- Nic, przepraszam. - Znów byłem małym misiem. - Nie mogłem spać i chciałem cię lepiej poznać...

Zrobiła to tak, że zapomniałem o dowodzie osobistym. Wypadł mi z ręki i sprawy wymknęły się spod kontroli. Ten pokój też stał się świadkiem mojego romantyzmu. Za co ta nagroda, za co? Nie miałem wątpliwości, że trafiłem na prywatne lotnisko w starym dobrym stylu. Wyciągałem z hangaru, co tylko chciałem: dwupłatowce, helikoptery, odrzutowce i samoloty pasażerskie. Lądowałem i startowałem jak szalony. Świst wiatru, huk silników i przekraczanie bariery dźwięku towarzyszyły nam aż do rana. Przy ostatnim lądowaniu o mało się nie rozbiłem. Magda bez słowa wprowadziła samolot do hangaru i dopiero wtedy udało mi się zasnąć. Przyśniły mi się seria i numer dowodu osobistego pani Janiny. Jakaś dłoń tatuowała mi je na łopatce. A mogło być dużo gorzej. Jest przecież wiele innych miejsc, gdzie ludzie robią sobie tatuaże.

Rozdział dziewiąty

Podinspektor Henryk Wrona przyzwyczał się chyba do moich próśb, bo nawet nie jęknął, kiedy wypowiedziałem kolejne życzenie. Przyjął zamówienie jak w pizzerii i po kilku godzinach dostarczył towar. Szedłem akurat Marszałkowską i wymyślałem perypetie moich serialowych bohaterów.

- Janina Piórko żyje. Mieszka na Nowogrodzkiej... - Podinspektor orał mi w piersi rozgrzanym pogrzebaczem. Uświadomiłem sobie, że tam właśnie spędziłem ostatnią noc. W dodatku moja kochanka powiedziała, że jej ciotka nie żyje. Wyobraziłem sobie, że w czasie, gdy ja odgrywałem zakochanego romantyka, biedulka dogorywała gdzieś w szafie. To jednak byłoby w miarę logiczne i wytłumaczalne. Jednak jak wyjaśnić wejście pani Janiny do salonu kosmetycznego? Kiedy tak wędrowałem z telefonem przy uchu, mój wzrok natrafił na atrakcyjną kobietę wchodzącą do Zary. W tym momencie powinienem mieć zmierzone ciśnienie. Nie miałem wątpliwości, że była to Joanna Lizucka. Wbiegłem za nią do sklepu i odnalazłem wzrokiem. Oglądała płaszcz. Nie wiem po co, ponieważ płaszcz miała już na sobie. W dodatku jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Podszedłem do niej i odezwałem się:

- Dzień dobry, pani Joanno.

Dziewczyna drgnęła pod wpływem mojego głosu i powoli odwróciła głowę. W taki sposób robiły to dziewczęta zbyt wcześnie uświadomione. Za wysoko głowa, niesmak na ustach i lekceważący dystans w oczach - broń przeładowana, zaraz wygarnie.

- Do mnie pan mówi? - zapytała nad podziw uprzejmie.

- Tak, do pani - potwierdziłem. - Czy możemy porozmawiać?

- Nie znam pana...

- Pani Joanno...

- Nie mam na imię Joanna...

- Nie? - Teraz chyba ją poniosło. - Nie nazywa się pani

Joanna Lizucka?

- Nie, proszę pana. Nie nazywam się tak.

- A jak?

- Mam wezwać ochronę? - postraszyła mnie. Byliśmy właśnie przy drzwiach sklepu.

- Proszę tego nie robić - zareagowałem. - Po prostu szukam pewnej kobiety i jest pani do niej bardzo podobna. Nie zaznam spokoju, jeśli nie zobaczę pani dowodu osobistego...

- A jeśli odmówię?

- Nie dam pani spokoju - zagroziłem. Wieloletnie prześladowania zawsze robiły wrażenie.

Namyślała się i przyglądała się mojej twarzy. Trochę się bała. W końcu uznała, że trzeba się mnie pozbyć.

- Dobrze, ale zrobimy to po mojemu. Pokażę moje dokumenty policjantowi i on potwierdzi, że nazywam się inaczej. Chodźmy, bo nie mam czasu... - dorzuciła i pospieszenie skierowała się do drzwi.

Jej rozwiane włosy, energiczny krok, smukła sylwetka i wzrost przyciągały powszechną uwagę. Odprowadzały nas zazdrosne spojrzenia innych kobiet i mężczyzn. Niektórzy, gdyby mogli, od ręki zaczęliby nas kamienować. Najpierw małymi kamyczkami, a potem dla pewności granitową płytą.

Dwaj policjanci stali przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej ze Świętokrzyską. Oni także oblizali usta na widok mojej towarzyszki. Dla niej gotowi byli wpakować mi w pewne miejsce cały magazynek. Kobieta uśmiechnęła się do nich i od razu przeszła do rzeczy.

- Dzień dobry, panowie. Mam prośbę. Czy moglibyście przeczytać z mojego dowodu imię i nazwisko? Chcę, żeby ten pan nie miał wątpliwości jak się nazywam...

Policjanci spojrzeli po sobie w stylu: „Co tu się, k... dzieje?”. Byli to jednak zdrowi polscy chłopcy i zgodzili się. Jeden z nich kiwnął głową i wziął do ręki dowód osobisty Joanny Lizuckiej. Podniósł wzrok na mnie i powiedział:

- Ta pani nazywa się Ryszarda Manicka.

Oddali dowód mojej towarzyszce i w napięciu oczekiwali, że z wdzięczności zrobi dla nich striptiz. Ona jednak się oddaliła

najwyraźniej nie mając wątpliwości, że idę za nią. Zatrzymała się koło drzwi do Zary i gwałtownie odwróciła. Gdyby nie instynkt, gotowy byłbym uznać ją za Ryszardę Manicką. No dobrze, możesz mnie ugryźć, zmijo, miałem na końcu języka.

- Zadowolony? - zapytała z irytacją.

- Umówimy się? - Chyba przez całe życie o tym marzyła.

Odwróciła się i po prostu zostawiła mnie na ulicy. Jej rude włosy mogły rozdrażnić nawet najspokojniejszego psa. Pobiegłem z powrotem do policjantów i za drobną opłatą dowiedziałem się, gdzie mieszka. Gdyby wiedziała, jak bardzo się dla niej poświęcałem, z pewnością zaczęłaby dla mnie frymarzyć swoim ciałem. Miałem wrażenie, że moje pomysły prowadzą mnie na sam szczyt.

Zadzwoiłem do Andrzeja Rosy. Gdziekolwiek by był, powinien się ucieszyć. Nie pomyliłem się, mój telefon przywrócił mu wiarę w ludzi.

- Jeżeli nie przestaniesz pan interesować się moim życiem, zawiadomię policję - warknął na dźwięk mojego nazwiska. Z tą policją to niektórzy przesadzali.

- Joanna Lizucka żyje. - Kurdupel z Konstancina przestał gdać i słuchał. - Spotkałem ją w Galerii Centrum i rozmawiałem. Mam jej adres...

- A ja mam nową przyjaciółkę - zasmucił mnie nie na żarty. - Było, minęło... Chciała innego życia, to je ma. Na świecie chodzi tyle tego dobra, że byłbym głupi, gdybym się przejmował jedną panienką.

- Tak łatwo zrezygnował pan z pięknej dziewczyny?

- Szkoda, że nie widział pan mojej obecnej - uciął. - Do widzenia panu...

Bum, trach, pyk, pyk i znów chciało mi się do kogoś zadzwonić Wspaniałe uczucie wolności. Ominąłem żebraków na parkingu i szybko wsiadłem do samochodu. Miałem wrażenie, że myśleli o mnie z szacunkiem, ponieważ długo odprowadzali mnie wzrokiem. Tak patrzy się na kogoś, kto jest nam winien trochę grosza. W drodze do mamy chodziły mi po głowie różne myśli. Oczywiście nadal nie miałem pojęcia, że sprawa guamu zasadniczo różniła się od sprawy chociażby

zakupu batona czekoladowego. Wtedy jeszcze wierzyłem, że działam anonimowo, że moje poszukiwania nikogo nie obchodzą, a sam film może kogoś zainteresować co najwyżej po montażu.

Obiad u mamy odbył się nieco inaczej niż sobie wyobrażałem. Niewątpliwie przypadkiem wpadła Ania, moja ostatnia narzeczona, kardiolog, i - co było do przewidzenia - usiadła przy stole. Najpierw mnie sobie dokładnie obejrzała, tak jakbym nabawił się w ciągu ostatniego miesiąca choroby wenerycznej i brał się właśnie do zarażania. Zanim zdecydowała się usłyszeć mój głos, oczarowała po raz kolejny niedoszłą teściową.

- Pani pierożki z soczewicy są najlepsze na świecie. - O tak, to zdanie wpływało na mamę kojąco. - Próbowałam takie robić, ale nie wyszły mi... - Ania przyklepała komplement łopatą.

- Co tam pierożki, kochanie, w życiu nie to jest najważniejsze - zaśmiała się mama. Okrężały mnie, bestie, chciały wymusić na mnie deklarację utraty niepodległości.

- A co według pani jest najważniejsze? - Jakieś ważne słowa najwyraźniej czekały na start.

- Dom, rodzina, dzieci - odpowiedziała mama. - Bez tego życie szybko się nudzi...

- Muszę już iść - wtrąciłem po przełknięciu dziesiątego pieroga. Dobrze przysmażony mógł człowieka pozbawić instynktu samozachowawczego. Musiałem uważać.

- Oglądam twój ostatni serial i zrobił się jakiś taki smutny. - Ania dobrze wiedziała, co powinienem zrobić, żeby serial stał się wesoły.

- Artur pracuje nad czymś większym - zdradziła mama. - To film o guamie. - Tak oto rodziły się legendy.

- O guamie? - Ania nie umiała grać. Jej kwestia zabrzmiała jak strzał z kapiszona. Obie musiały ten temat przewalkować wcześniej. Teraz miał to być wątek o „dwóch połówkach”, które się odnajdują.

- Tak, ale na razie nad tym pracuję - powstrzymałem ją od dalszych pytań. - Do zobaczenia... Dzięki za obiad...

Wybiegłem, wskoczyłem do samochodu i nawet nie udawałem, że chcę się obejrzeć. Wiedziałem, że obie stały w oknie i machały mi rękami. Nic nie mogłem poradzić, że jedną z nich kochałem bezwarunkowo, a druga należała już tylko do wspomnień. Wykręciłem numer Piotra Malickiego, prywatnego detektywa, i czekałem na odzew. Przez szybę samochodu wlewało się do środka wiosenne słońce. Jaśnie Wielmożny Pan Hormon obudził się i namawiał mnie do spotkania z płcią przeciwną.

- Halo, Agencja Detektywistyczna, Piotr Malicki. - Powitanie jak w filmach: konkretnie i z wdziękiem.

- Mówi Artur Brandt. Możemy się zobaczyć? - przeszedłem do sedna.

- Teraz? - zapytał.

- Jeśli można...

- Czekam na pana - zaprosił mnie naprawdę szczerze. - Wie pan, gdzie jest ulica Żelazna? - Pan Bóg nade mną czuwał, bo to jedno wiedziałem prawie od urodzenia. Potem była jazda w korku i opalanie się przez szybę. Budynek, w którym znajdowała się agencja pana Malickiego, pozwalał przypuszczać, że spędzał w nim noce rewolucjonista Che. Miałem przed sobą tynki w stanie weneckim, drzwi pasujące raczej do muzeum i okna w stylu „dzieci się tutaj bawiły”. Dno. A jednak wszedłem, zapoznając się po drodze z miejscowym elementem, czyli panem Władziem, panem Mieciem i innymi sinymi panami. Dwa złote wystarczyło. Mogłem wejść na klatkę schodową i nawąchać się moczem do wiwatu. Detektyw Malicki musiał mieć ambicje skoro do tej pory zarabiał na siebie i nie stał pod blokiem. Na drugim piętrze rozpoznałem tabliczkę z odpowiednią informacją. Nacisnąłem czarny guzik i rozległ się dzwonek.

Detektyw wyjrzał przez wizjer, odchrząknął i usłyszałem cienki głos:

- W jakiej sprawie?

- Dzwoniłem do pana... Ja od Romana Czom- skiego - zasalutowałem przepisowo. Zdjął z drzwi łańcuchy i pokazał się, bezwstydnik. Było na co popatrzeć. Nosił garnitur w

brązowo-beżowe paski i buty w stylu Humphreya Bogarta. Jego blond włosy były zaczesane do tyłu i słabo wchłaniały żel. Co do twarzy, to można powiedzieć, że została odchudzona zgod nie z modą. Prawdziwy detektyw z powieści kryminalnych z lat trzydziestych. Zaufałem światu i tak oto mi się odwdzięczał. Wszystkimi barwami. Malicki poruszał się, delikatnie mówiąc, po kobiecemu, czym wcale nie wyprowadził mnie z równowagi. Lubilem podziwiać takie stadia rozwoju. Biuro było urządzone ze smakiem i nie pasowało do budynku. Stare meble, stare żyrandole, stare lampki i stare biurko, na którym stały dwie filiżanki w ciąży. Facet zdążył nalać kawę przed moim przyjściem. Jeszcze parowała. To się nazywało pożądać klienta.

- A więc ma pan problem - odezwał się detektyw i wskazał mi miejsce przed sobą. Sam usiadł po drugiej stronie biurka i zapalił papierosa. Oczywiście najpierw zobaczył w moich oczach odmowę: nie palę, ty taki owaki. Słońce świeciło mi w twarz, co uznałem za oznakę profesjonalizmu Malickiego.

- Nie wiem, czy mnie na pana stać - ubezpieczyłem się jak przed ostatnim rejssem. Podał mi cennik i elegancko obserwował. Mógł mnie próbować pocałować, ale nie zrobił tego. Chyba jednak chciał i walczył ze sobą, bo jego delikatne dłonie prawie dyrygowały powietrzem. Opowiedziałem mu zatem całą historię, a on wypalił w tym czasie cztery papierosy i ani razu się nie odezwał. Prawdziwy dyplomata.

- Jak mam panu pomóc? - zapytał cieniem od skrzypiec.

- Czy w salonie pani Marzeny można założyć podsłuch albo kamerę?

Nawet na mnie nie spojrział.

- Musielibyśmy złamać prawo - poinformował bez cienia krytycyzmu. Czekałem w napięciu. - I złamiemy je - dokończył.

- Salon jest chroniony - wyjaśniłem, bo nie mogłem wysłać człowieka na śmierć. - Na drzwiach jest nalepka z nazwą agencji...

- Proszę pana, ja to zrobię - przerwał mi detektyw. - I zobaczymy, co tam się naprawdę dzieje.

- A jak się nie uda... - Moje wątpliwości chyba go rozbawiły. Popatrzył na mnie wzrokiem porannego weselnika.

- Cóż, żeby złamać prawo, trzeba mieć do tego serce. - Tak konkretnie mówiono tylko z ambony. - I ja takie serce mam. Dostanie pan nagranie prosto z salonu. Też jestem ciekawy, co się tam dzieje. Jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. - Po jednej dygotałem w środku jak galaretką. - Kiedy będą materiały?

- Szybko - zapiał. - Dziś w nocy zainstalujemy kamerę i podsłuch.

- Mogę przy tym być? - zapytałem. W końcu to ja zaplanowałem włamanie.

- Zapraszam pana serdecznie - zgodził się z niezwykle miłym uśmiechem. Gdybym posiedział u niego dłużej, mógłbym taki uśmiech sobie poćwiczyć.

- A jak nas złapią?

Tego rodzaju myślenie towarzyszyło każdemu szanującemu się detektywowi.

- Będziemy walczyć - stwierdził po prostu. Jego frontowa postawa gryzła się z tonem wypowiedzi.

Wcale nie poczułem się uspokojony. Zauważył to, bo wziął górne „c”:

- Boi się pan?

No pewnie, że się bałem. Znaleźć się w pierdłu przez salon pani Marzeny nie było moim marzeniem. Czego się jednak nie robi dla filmu?

- A pan? - odbiłem pytanie, ale w ten sposób włożyłem tylko kij w mrowisko.

Detektyw dostał ataku śmiechu. Wstał po chwili i gestem zaprosił mnie na swoją stronę biurka. Zaczyna się, pomyślałem, i odruchowo poprawiłem spodnie na siedzeniu. A jak zechce czegoś więcej? Podszedłem jednak, a on pokazał mi coś, co sprawiło, że zatęskniłem za moim misiem. W szufladach biurka, a było ich cztery, leżały granaty, pistolety i naboje. Szczególnie o tych ostatnich wiedziałem dużo z telewizji. Detektyw pokazywał mi swoje skarby i gwizdał przy tym wesoło „Bolero”. Potem przeszliśmy do pozostałych pokoi i zapoznałem się z resztą arsenału. Samych pistoletów miał ze dwadzieścia. Kiedy pokazał mi trzy miny przeciwpiechotne,

wiedziałem już, że pani Marzena poda mi nawet nazwisko swojego ortodonta. Po półgodzinie zostałem odprowadzony do drzwi i usłyszałem:

- Poproszę o zaliczkę.

Zapłaciłem, zapamiętałem godzinę nocnej akcji w salonie pani Marzeny i już mnie nie było. Miałem zamiar zadzwonić do Czomskiego i pokazać mu, jaki ze mnie wrak człowieka, ale szybko mi przeszło. Jeszcze wtedy wyobrażałem sobie, że detektyw Malicki chętnie odda za mnie życie. Po takim spotkaniu musiałem zająć się czymś normalnym, czyli pisaniem kolejnych odcinków przygód bohaterów powszechnie lubianych. W telewizji nieprawdopodobnie mnie za to cenili. Sceny, jakie wymyślałem, podnosiły oglądalność tak bardzo, że prezesi przyrastali siedzeniami do krzesel. Nigdy nie spotkałem ludzi do tego stopnia oddanych telewizji. Odnosiłem wrażenie, że oglądanie seriali mojego autorstwa stało się celem ich życia i właśnie z tego powodu sekretarki informowały świat, że na Woronicza trwa niekończąca się narada. W ten sposób podbudowany jechałem do swojego mieszkania. Wiedziałem, że po zrealizowaniu filmu o znikających w salonie kosmetycznym kobietach prezesi i dyrektorzy wszystkich stacji świata powieszają sobie w gabinetach moje zdjęcie. Joanna Lizucka, Barbara Szopa i Magda Kaszubska nie umrą, dopóki ich tajemnica nie wyjdzie na światło dzienne. To postanowione.

Rozdział dziesiąty

Zanim zachwyciłem się włamaniem do salonu pani Marzeny, napisałem jeden odcinek scenariusza, zdrzemnąłem się pół godziny i odwiedziłem Magdę Kaszubską. Dziewczyna naprawdę ubrała się z głową: jej szlafrok przypominał rozpostarte skrzydła kondora. Doceniła, że znalazłem dla niej czas.

- Dzwoniłam, ale nie odbierałeś. - Tak mnie powitała, kiedy już Pan Wizytator przestał nas męczyć. Patrzyłem na jej nagie ciało i nie myślałem o niej źle.

- Pracowałem, przepraszam. - Całkiem przytomna odpowiedź. Za pracę trzeba przepraszać. Moja dłoń bawiła się jej biodrem. Magda nie pozwoliła mi dłużej się umartwiać i postawiła wszystko na jedną kartę. „Możesz sobie stawiać, kochana, możesz sobie stawiać, ale i tak prawda zwycięży. Dobry dziennikarz gotów jest umrzeć dla swojego dyrektora programowego”. Potem, zgodnie z poradnikiem dla przedstawicieli handlowych, przyszła pora na rozmowę.

- Możesz mi pokazać swoje zdjęcia? - zacząłem nadzwyczaj intymnie. - Ciekawy jestem, jak kiedyś wyglądałaś... Do kogo jesteś podobna?

Czułem pod palcami, że mięśnie Magdy gwałtownie drgnęły. Wtuliłem twarz w jej włosy i tak sobie leżeliśmy. Nie odwróciła się, lecz wiedziałem, że kombinuje.

- Co ci przyszło do głowy? - zdziwiła się. „Nie kombinuj, mała, dawaj te zdjęcia i niech posiwieją wszystkie bobry świata”. - Nawet nie wiem, gdzie są...

- Nie wstydź się. Chcę po prostu zobaczyć twoje zdjęcia. To takie dziwne? - zapytałem z dobrze udawanym wyrzutem.

- Może jakieś znajdę - zgodziła się w końcu i wstała. Za taki widok każdy normalny facet oddałby przynajmniej jedną pensję. Figura, ruchy i kolor skóry tej dziewczyny uzdrowiłyby nawet ślepego. Wujek Testosteron działał na wypróbowanym paliwie jądrowym. Dobrze, że byłem świeżo po dwóch lotach, bo zapisałbym się na trzeci. I tak oto zacisnąłem pętlę wokół

podejrzanego salonu pani Marzeny. Za chwilę moja kochanka upadnie przede mną na kolana i wszystko wyzna. Pudło ze zdjęciami było wielkie jak telewizor. No i zaczęło się. Nie muszę chyba dodawać, że oglądanie fotografii obcej rodziny przypomina namydlanie stuletniego dziadka. Modlimy się o szczęśliwy koniec. Najpierw zdjęcie z dzieciństwa. Mała dziewczynka z kokardkami, że ho, ho.

- To ja - poinformowała mnie Magda. Siedzieliśmy w łóżku, a dwie lampki po obu stronach robiły co mogły, żeby wzrok nam się nie popsuł. Skłamałbym, gdybym powiedział, że od razu ją rozpoznałem. Potem było jeszcze gorzej.

- O! Tutaj jestem z rodzicami przed maturą - ucieszyła się Magda. Czy w ten sposób namawiała mnie do podjęcia pracy w sklepiku szkolnym? Dziewczyna przed maturą podobna była raczej do sfilcowanej skarpety niż do tej obok mnie. Otworzyłem szeroko oczy i westchnąłem:

- Jak ten czas leci...

- A to zdjęcie ze studiów - dodała. Dziewczyna na fotografii przypominała wielkie zwierzę. Takie rzeczy to ja jeszcze rozróżniałem.

- To nie ty - podsumowałem. - Nigdy nie uwierzę, że ważyłaś tonę...

- Cóż, na wygląd trzeba zapracować - zaśmiała się trochę zbyt rozkosznie. Zanim przyszpiliłem ją kolejnymi pytaniami i prawda wyszła na jaw, zostałem pokonany straszliwym chwytem podkołdrowym. A pół godziny później musiałem wstać, ubrać się i pojechać na spotkanie z detektywem Malickim i jego ekipą. Moje podejrzenia zostały potwierdzone, ale na rzucenie Magdy na deski trzeba było jeszcze poczekać. Teraz byłem już prawie pewny, że w zakładzie pani Marzeny działy się cuda, o jakich się bogom nie śniło.

Dochodziła dwudziesta czwarta, kiedy zatrzymałem się kilka metrów od salonu. Na chodniku stał już bus bez okien. Domyśliłem się, że detektyw szykuje się do zdecydowanego cięcia. Zaczęli około pierwszej. Siedziałem grzecznie w swoim samochodzie, a oni skubali coś przy drzwiach. Miałem wrażenie, że tej nocy alarm w ogóle nie został włączony. Dwaj

ludzie Malickiego włamywali się tak pięknie, że aż chciało się zadzwonić po policję. Detektyw siedział w busie i czekał. Kiedy włamywacze zniknęli w środku, zrobiło się smutno. Robota paliła im się w rękach, a ja czułem, że wkroczyłem na drogę przestępstwa. W końcu nie wytrzymałem i wyszedłem z samochodu. Krokiem niby to niewinnego zbliżyłem się do drzwi salonu. Szyba w busie od strony kierowcy zjechała na dół i usłyszałem cenną poradę detektywa:

- Może pan do nich wejść i popatrzeć. Zastanawiałem się, kiedy się panu zachce... Oni wiedzą, że może pan ich odwiedzić.

- Nie przestraszą się? - zwątpiłem w człowieka. Malicki miał w uchu słuchawkę, a przy ustach mikrofon.

- Nie, dobrze nas słyszą - uspokoił mnie. - Proszę tam szybko wejść, bo skończą i nic pan nie zobaczy... No, chyba że się pan boi...

Bąłem się, ale chciałem zobaczyć, co wymyślili. Wszedłem i w skąpym świetle z ulicy widziałem poruszające się sylwetki. Kamerę zainstalowali w wywietrzniku, a dwa mikrofony pod łóżkiem i na ramie obrazu. Zanim się poczułem jak w domu, pokleпали mnie po ramieniu i dali sygnał do odwrotu. Spocony ze strachu zatrzymałem się na chwilę obok busa.

- Mój człowiek będzie tym zdalnie kierował - wyjaśnił mi detektyw. - O, a teraz chłopaki znów podłączają alarm... Za jakiś czas dostanie pan, co trzeba. Papierosa?

Odmówiłem i szybko wróciłem do samochodu. Ulicą przejechał patrol policji, ale w ogóle się nami nie zainteresował. Taka obojętność była straszna. Wróciłem do domu z poczuciem poświęcenia się na miarę bohaterów afery Watergate. Odsłuchałem nagrania na sekretarce: jedno od mamy, jedno od byłej dziewczyny, Ani, dwa od Magdy, jedno od Czomskiego i jedno anonimowe. To ostatnie zaczynało się od słów niecenzuralnych i na takich samych się kończyło. Ktoś kazał mi odpie... się od Joanny Lizuckiej. Skąd wziął mój telefon? Nie miałem pojęcia. Wyglądało to groźnie, ale nie miałem złudzeń, że powiadomienie policji uzupełni co najwyżej statystyki. Nalałem wody do wanny i zanurzyłem się aż po szyję. Gdyby można było ocenić moją kąpiel w skali dziesięciopunktowej, dałbym dzie-

więć. Z powodu samotności.

Zasnąłem.

Obudziły mnie odgłosy w mieszkaniu. Głupie uczucie - jestem w wannie, woda wystygła, nie wiem, która godzina, i słyszę kroki za drzwiami. Aż dziwne, że nikt mnie jeszcze nie znalazł i nie wylegitymował. Wyszedłem jak najciszej z wody, założyłem szlafrok i uchylilem drzwi. Doleciały mnie odgłosy cichej rozmowy i uderzenia w klawisze komputera. Czyżby jakiś ceniony pisarz wdarł się do mojego mieszkania i w ten sposób kończył swoją powieść? Nie było mi wcale do śmiechu. Skierowałem się do drzwi wejściowych, ale był to głupi pomysł. Zanim cokolwiek zdołałem zrobić, facet wielkości żubra zalepił mi usta taśmą, nogi i ręce skrępował, po czym najzwyczajniej w świecie zaniósł do pokoju. A tam czekali już starzy znajomi: fałszywy gangster-arystokrata i jego ochroniarz. Na podłodze leżał ktoś jeszcze. Chłopak mógł mieć nie więcej niż siedemnaście lat. Gangster ucieszył się na mój widok jakby zobaczył portfel.

- Góra z górą... - otworzył ramiona, ale nie wykorzystał mnie. Odkleił mi taśmę z ust i pokazał, że „facet żubr” ma mnie położyć w fotelu.

- O co chodzi? - wykaszałem, przypominając sobie nagle o Panu Bogu.

- Prosiłem, błagałem, ostrzegałem... - wyrecytował gangster. - I co? I nic. Panie Arturze, dziennikarz nie może wiedzieć wszystkiego, dziennikarz może wiedzieć tylko to, co może - kontynuował z angielską flegmą w oczach. Ubrany był nienagannie, fakt.

- Włamał się pan do mojego mieszkania - stwierdziłem sucho. Miałem wrażenie, że nie była to wizyta „za chlebem”.

- Widzi pan tego chłopaka? - zapytał, siadając w fotelu naprzeciwko mnie. Widziałem aż za dobrze. Biedak wytrzeszczał oczy i prawie umarł ze strachu. - Zabrałem go z ulicy. Szedł, śmiał się, planował sobie życie, a ja go zabrałem tutaj, do pana. Wie pan, dlaczego?

- Nie wiem - odparłem w konwencji pogrzebowej. - Może chce mu pan przedstawić sławnego człowieka? - Stojący obok

dwaj goryle wcale się nie zaśmiali. Humor humorem, ale powinienem być ostrożniejszy.

- Pokażę panu, co dzieje się z człowiekiem, który chce za dużo wiedzieć - wyjaśnił gangster. Ekran włączonego komputera pokazywał twarze osób z salonu pani Marzeny. A więc nagranie Radka Sity stało się dobrem publicznym. Bandzior wszystko wiedział.

- Nie rozumiem, po co on panu - skrzywiłem się jakbym leczył wadę wymowy. Wtedy gangster dał znak swoim gorylom i chłopak dostał dwa kopniaki w brzuch. Gdyby nie taśma na ustach ofiary, to okrzyk przerażenia z pewnością rozwaliby dom.

- Proszę patrzeć - powiedział gangster i rozparł się wygodniej w fotelu. Z kieszeni wyjął cygaro dłuższe od tych, które zwykł palić Ronald Reagan. - Najpierw obetniemy mu uszy...

- Nie może pan karać niewinnego chłopaka tylko dlatego, że nie podoba się panu temat mojego filmu - ryknąłem na niego. Król Lew, wiadomo.

Ciach i ucho chłopaka znalazło się w ręce jednego z goryli. Pokazała się krew, a chłopak zaczął się rzucać po podłodze. Goryl wyjął spokojnie przezroczystą torbę foliową i wrzucił do niej odcięte ucho. Nóż w jego ręce mógł służyć do pasowania na rzeź- nika. Chciałem coś powiedzieć, ale drugi ochroniarz docisnął mnie kolanem do oparcia i ponownie zakleił usta taśmą.

- Teraz przypalimy mu twarz zapalniczką, - Gangster pastwił się nad chłopakiem. W tej chwili gotów byłem wykazać się wielką odwagą. - Jest nowa i dobrze napełniona benzyną.

Oprawcy rzeczywiście zaczęli przypalać chłopakowi twarz. „Facet zubr” zasłonił mi na moment widoczność, ale nie podniósł mnie w ten sposób na duchu. Kiedy po chwili zobaczyłem efekt przypalania, o mało nie zemdlałem. Byłem tak wściekły, że zacząłem się dusić. Gangster zauważył to i własnoręcznie jednym szarpnięciem zdjął mi plaster.

- Jeżeli macie zamiar nas zabić, to zabijcie, ale przestańcie go torturować - zawyłem z bezsilności.

- Możesz go uratować, ale musisz przysiąc, że zapomnisz o pani Marzenie - wysłowił się gangster. W takiej chwili gotów byłem dać głowę, że przez resztę życia będę spłacał kredyt, którego nie zaciągałem.

Wiadomo, sumienie. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, odcięli chłopakowi język, a usta ponownie zakleili. Ścierwa, pokazali mi nawet torebkę. Potem nie odezwali się już ani słowem. Pozbierali zabawki, zabrali nieprzytomnego chłopaka, przecięli taśmę na moich nogach i wyszli. Tak po prostu. Miałem wrażenie, że zaraz obudzę się i rzeczywistość wróci. Niestety, temat „pani Marzena” robił się coraz bardziej niebezpieczny. Komuś bardzo zależało, aby ukreścić sprawie łeb. Zachowanie gangstera i jego ludzi też nie wydawało mi się normalne. Najwyraźniej uznali, że nie zabiją mnie od razu, ale pobawią się ze mną i może sam zrezygnuję z filmu. Miałem wrażenie, że historia mojego dziennikarskiego śledztwa zaczyna przekraczać granice państw i kontynentów. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś pokaleczył na moich oczach niewinnego chłopaka tylko po to, żeby mnie zniechęcić do pracy. Udało mi się podejść do kuchni i sklejonymi rękami wyjąć ze stojaka długi nóż. Trochę wysiłku i znów byłem na chodzie. Nie do zdarcia. Zadzwoniłem na policję i odczekałem, ile trzeba. Potem krótko opisałem zajście. Obiecali zaraz przyjechać. Czekałem na ich przyjazd, patrząc bezmyślnie na plamy krwi na podłodze.

Dochodziła piąta i zaczynało robić się jasno. Kiedy policjanci weszli do mieszkania, powróciła mi wiara w ludzi. Chyba się przejęli, bo przesłuchali mnie od deski do deski i zajęli się zbieraniem śladów. Pierwszy raz w życiu widziałem policję kilkanaście minut po wezwaniu. W dodatku pracowali jak w transie: mierzyli, wachali, smakowali i pokazywali sobie, co się tylko dało. Gdyby pokazali ich w „Wieczorze zbrodni” w Discovery, mieliby we wszystkich barach świata pizzę za darmo. Najstarszy z nich zbliżył się do mnie i prawie poczochrzał za uszkiem:

- Czy wezwać do pana lekarza? Nie jest pan w szoku? Dobrze się pan czuje?

- Nie, wszystko w porządku - uspokoiłem go. Pomyślałem, że prędzej umrę ze zdziwienia niż ze strachu. Obserwowałem tych ludzi przy pracy i nabierałem pewności, że napastnicy zostaną schwytani. Czekałem tylko na sygnał, że są dowody i kat już podłącza kable.

Dzwonek przy drzwiach zachował się jak cham - aż nas poderwało. Wszedł mężczyzna w cywilu z torbą lekarską w ręce. Od razu znalazł się przy mnie. Widocznie skojarzyłem mu się z jakimś pacjentem. Pozdrowił mnie skinieniem głowy i od razu przystąpił do badania. Co za szczęście, że nie chciał mnie operować. Nie wybroniłbym się. Popukał, obejrzał, posłuchał i wstał. Dobrze, że nie zasalutował. Czuję wracające życie.

- Jest pan zdrowy i może pan pracować - orzekł lekarz, podniósł rękę na pożegnanie i wyszedł. A więc otrzymałem oficjalną zgodę na pracę.

- Złapiecie ich? - zapytałem, kiedy policjanci zaczęli zbierać się do wyjścia.

- Na pewno - odparł ten najstarszy. - Daję panu słowo honoru, że nie musi się pan już obawiać.

- Zostawili ślady? - docierałem się jak silnik małego fiata.

- Gdyby każdy bandyta zostawiał tyle śladów, to po paru latach nie byłoby więzień. Mielibyśmy na świecie same kurorty - podsumował filozoficznie policjant. Nie miałem pojęcia o co mu chodziło. Wybierał się na wakacje? - Może pan jeszcze raz sprawdzić, czy coś nie zginęło?

Sprawdziłem i oniemiałem. Wszystko było na miejscu, poza czterema jogurtami malinowymi. Gangsterzy zjedli moje ulubione jogurty. Musieli być nieźle napaleni na desery. Aż dziw, że nie zamówili do tego kielbasy z grilla i piwa.

- Zjedli jogurty... - wyszeptalem z podziwem dla producenta.

Policjant skinął głową i podrapał się po brodzie. Martwił się chyba, czy jogurty były świeże. W każdym razie próbki śliny z plastikowych kubków zostały pobrane. W końcu zostawili mnie samego. Zamknąłem drzwi na zasuwę i łańcuch. Mądry po szkodzie. Co można robić rano o szóstej godzinie? Wybrać sznur, brzytwę czy wybuch gazu? Dopiero teraz zdałem sobie

sprawę z sytuacji. Chłopak prawdopodobnie już nie żył. Jeżeli policjanci szybko nie złapią moich prześladowców, to nieszczęsny film o salonie kosmetycznym co noc będzie mi przypominał o odwadze przodków. Zaparzyłem kawę i pociągnąłem łyk. Nie chciało mi się ani ogolić, ani ubierać. W mojej głowie nadal układał się scenariusz filmu. Mroczny dokument o tajemnicy i zbrodni, która jej strzeże. Dzięki takim produkcjom matka karmią dzieci piersią, a ojcowie nie zostają działkowcami. Zadzwoił telefon.

- Chłopak żyje i prawdopodobnie będzie zdrow - usłyszałem w słuchawce głos policjanta. - Dzwonię, żeby pana uspokoić. A bandziorów namierzamy...

Jeżeli kiedykolwiek jeszcze usłyszę coś złego na temat policji, policja będzie miała robotę, to pewne. Dbali o mnie i nieba mi przychyłali.

- Mogę o coś zapytać? - jęknąłem z podziwu. Pewnie, że mogłem. Głos po drugiej stronie wprost błagał o to. - Czy policja zawsze jest taka sprawna i... kulturalna? - dokończyłem.

- Nie - usłyszałem odpowiedź szczerą jak złoto. - Po prostu oglądam pana serial i znam nazwisko. Wie pan, serial mi się podoba... Nie robi pan z policjantów debili.

- Dziękuję - odpowiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Mama zawsze mówiła, że pokorne cielę dwie matki ssie. A gdybym nie ssał? Gdybym pokazywał gliniarzy przygłupów lub złodziei? Cóż, prawdopodobnie tej nocy mianowaliby mnie najkrwawszym seryjnym mordercą w kraju. Szlachectwo nie do zmycia.

Zdrzemnąłem się. Kiedy otworzyłem oczy, dochodziła jedenasta. Nikt nie zadzwonił i nikt nie zapytał o zdrowie. Jakbym umarł. Ściągnąłem się z łóżka

i na bosaka ruszyłem do łazienki. Po drodze obejrzałem plamy krwi na podłodze. Jak z innego świata. Zza okna przez żaluzje wpadały ostre promienie słońca, a zapach powietrza stawał na nogi całą przyrodę ożywioną. Golenie, mycie, ubieranie, jedzenie płatków na mleku i wyczekiwanie na sygnał o nocnych bandziorach. Zadzwoiłem do mamy i zapowiedziałem się na obiad. Potem zadzwoniłem do Magdy,

która ucieszyła się z mojego telefonu, ale dała też do zrozumienia, że siedzę na bombie. Wynikało z tego, że ona, czyli bomba, w każdej chwili mogła wybuchnąć. W tej rozmowie też nie wspomniałem o napadzie. Obiecałem tylko wieczorne najście w celu zbliżenia stanowisk. Przyszła pora na zwierzenia. Potem zadzwoniłem do detektywa Malickiego. Wydał mi się opoką. Powiedziałem mu o wszystkim, a on uspokoił mnie słowami „będzie dobrze”. Pracował dla mnie, a więc - chwała niech będzie związkom zawodowym za opiekę nad nim - z wdzięczności powinienem całować go po rękach. I broń Boże nie mlaskać przy tym.

Rozdział jedenasty

Przez pięć dni milczałem. Nie zdradziłem mojej kochance, Magdzie, ani słowem, że znalazła się w kręgu podejrzanych. Udawałem ogniwo w przyrodzie, zaspokajając z nią popęd seksualny. Nasze wieczory przypominały lot nad kukulczym gniazdem. Raz gniazdo, raz lot, raz gniazdo, raz lot... Porządek jak w „Porach roku” Vivaldiego. Dziewczyna podjęła właśnie pracę w agencji public relations i chodziła naładowana jak bateria. Czego to ona dokonywała? W jakim to niezwykłym zespole opracowywała strategie i prezentacje dla rynku? Co to za nieziemscy ludzie tam oddychali? Słuchałem jej opowieści i robiłem swoje. Kiedy trzeba mruczałem, kiedy trzeba pytałem, a kiedy trzeba skwapliwie potakiwałem. Tę recepturę przekazała mi mama. Przy okazji dokładniej przejrzałem zdjęcia rodzinne Magdy i pozbyłem się jakichkolwiek złudzeń. Na żadnym z tych zdjęć jej nie było. Mydliła mi oczy staranniej niż plecy, ale źle trafiła. Czekałem na odpowiedni moment, aby zbratać się z nią bardziej niż sobie wyobrażała.

Piątego dnia w samo południe zadzwonił detektyw Malicki i swoim jednojajecznym głosem zaprosił mnie do siebie. Próbowałem coś z niego wyciągnąć przez telefon, ale potraktował mnie jak Juranda ze Spychowa, czyli zepchnął do ciemnicy. Wszystko w swoim czasie - unosił się nad wodami jego głos. Porzuciłem więc dwieście czterdziesty drugi odcinek serialu i zjawiłem się w mieszkaniu detektywa. Oczywiście nie zapomniałem dobrowolnie opodatkować się przed wejściem do jego kamienicy. Pomyślałem sobie nawet, że taki powinien być sposób płacenia podatków w ogóle. Kto chce, to płaci. Jeden z sinych ludzi spod bramy chyba mnie polubił, bo rzucił mi się na szyję i ryknął z płaczem: „Bracie, rodaku!”. Do tej pory nie miałem pojęcia, że scenarzyści byli na Żelaznej aż tak szanowani. Owionął mnie znajomy zapach, po czym znalazłem się w biurze Malickiego.

- Witam szanownego pana - odezwał się detektyw. Tym razem ubrany był w brązowy garnitur, na którym rozłożył się

obozem ogromny kołnierzyk zielonej koszuli. Świeżość detektywa mogła urwać nochal. Pach- nidło, którego użył, starsze panie określały słowem „siekiera”. Skłoniłem się jak najniżej i pomknąłem do jego gabinetu. Czułem, że obserwował mój chód z poczuciem żalu i wyobcowania. W końcu zakolysał się, włożył ręce do kieszeni spodni i zaprezentował „świat według pośladków”. Prawdziwa parada miłości.

- Ma pan coś dla mnie? - zapytałem.

- Pokażę panu na ekranie - odparł cieniutko niczym myszka. - Mój człowiek zmontował materiał z salonu i naprawdę mnie to wzięło... - Nadchodziła burza z piorunami, to pewne. - Dźwięk nie jest zbyt czytelny, dlatego daliśmy napisy...

Cholera, zanosilo się na prawdziwy seans. Jeśli trafiłem na detektywa i filmowca-amatora w jednej osobie, to znaczyło, że miałem przerąbane. Jak w sekcje. A tam, wiadomo, człowiek musi kochać aż do śmierci. Plazma na ścianie gabinetu rozbłysła, żaluzje zasunęły się i zobaczyłem przyczynę mojego opętania. Detektyw się nie odzywał. Zapalił cygaro, żebym przypadkiem nie poczuł zapachu z ekranu. Do salonu weszła kobieta w wieku mniej więcej siedemdziesięciu lat i usiadła na fotelu obok pani Marzeny. W pomieszczeniu nikogo więcej nie było.

- „Jeżeli to naprawdę możliwe, to zapłacę nawet więcej” - odezwała się staruszka. Słyszałem ją, ale napisy rzeczywiście pomagały.

- „Biorę zawsze tyle samo” - wyjaśniła pani Marzena. Wielkoduszna i sprawiedliwa.

- „Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, tak?” - upewniła się babcia. Nie wyglądała nawet na dwadzieścia pięć złotych.

- „Ani mniej, ani więcej, proszę pani”. - Pani Marzena miała wprost anielską cierpliwość. Pieniądze zawinięte w foliowy woreczek znalazły dojskie do jej rąk. Nawet ich nie policzyła. - „Zapraszam na łóżko. Ma pani zastępcze ubranie?”

Staruszka wstała - kamera wyraźnie pokazała jej twarz. Takich zmarszczek nie miał nawet Ocean Spokojny. Kiwnęła głową, że tak, i zapytała:

- „A co z rozmiarem?”

- „Okaze się po zdjęciu guamu” - wyjaśniła pani Marzena. - „Na ogół potrzebny jest większy”.

Pomarszczona babcia weszła do łazienki, a właścicielka salonu zamieszała wielką chochlą w garnku coś, co przypominało kisiel. Na moje oko wiśniowy. Spojrzałem ukradkiem na detektywa, ale nie dał się zaskoczyć.

- Nie, nie. Nie będą tego jadły... - Piszczeniem dodał mi otuchy. - Numer będzie lepszy...

I był. Babcia wyszła w prześcieradle z łazienki

i położyła się na łóżku za parawanem. Na szczęście kamera i tam patrzyła. Prześcieradło zawisło na haczyku i ujrzałem ciało niemalże do zabalsamowania. Co tu dużo mówić, widok uwłaczający godności człowieka. Same tarasy i kaskady, na których nikt niczego nie sadził i po których nic nie płynęło. Krajobraz po tajfunie. „Graj Ennio Morricone, graj”. Wtedy do akcji wkroczyła pani Marzena. Postawiła garnek na stoliku przy łóżku i zaczęła wylewać chochlą kisiel na brzuch staruszki. Detektyw spoglądał na tę scenę z wyraźnym zadowoleniem. Widać to było po cygarze - nie ćmiło się już, lecz prawie płonęło. Potem w roli głównej wystąpił wielki pędzel malarski. Babcia została pokryta kisiel od stóp do głowy. Pani Marzena pomyślała także o opiece medycznej, ponieważ włożyła klientce do ust plastikową rurkę, która przypominała komin „Titanica”.

- „Jak się pani czuje?” - Nie ulega wątpliwości, że w salonie kosmetycznym jest to najważniejsze pytanie. Ciekawe, co robili, kiedy klient nie odpowiadał? Od razu do ziemi? Babcia zamruczała, widać czuła się dobrze.

- „Proszę leżeć spokojnie, nie ruszać się i nie wstawać. Włączyłam »słoneczko«, więc nie będzie pani zimno” - tłumaczyła pani Marzena.

Drzwi otworzyły się i weszła nowa klientka. Tym razem młoda i brzydka, niestety. Po powitaniu domyśliłem się, że spędziła w tym salonie pół życia. Nastąpiła wzruszająca wymiana zdań o narzeczonym i zbliżającym się ślubie. Zanim klientka opadła na stół i na jej twarzy wyładowała gruba cerata,

dowiedziałem się sporo o sukniach ślubnych, teściach panny młodej i hrabiowskim pierścionku po cici z Ameryki. Krótko mówiąc, na wyrku w salonie kosmetycznym polegiwała dziedziczka. Szykował się parszywy mezalians. Bogaty narzeczony był synem właściciela popularnej gazety i nazywał się Orzełpiórski. Prawdziwy Indianin, k... go mać. Po raz kolejny omiotłem zezem detektywa Malickiego. Zrozumiał, bo zaraz się usprawiedliwił:

- Zaraz będzie, co trzeba...

Zaczęło się niewinnie. Nawet nie zauważyłem, kiedy wszystko się zmieniło. Pani Marzena pochyliła się nad staruszką i coś jej szepnęła do ucha. Tamta skinęła głową i ostrożnie wstała z łóżka. Mumia w kolorze czerwonym. Podreptała do łazienki i usłyszeliśmy szum prysznica. Teraz byłem naprawdę poirytowany. Już chciałem dobrać się detektywowi do licencji, kiedy nagle zobaczyłem, co działo się pod prysznicem. Malicki wyszczerzył do mnie zęby, jakby przewidział moją reakcję. Nie ma co, był z niego prawdziwy Alfred Hitchcock znad Wisły. Kisiel spływał z ciała babci, ale po dawnej postaci nie pozostał nawet ślad. Pod prysznicem kąpała się nago piękna, wysoka dziewczyna w wieku mniej więcej dwudziestu pięciu lat. Gdyby w tym momencie pojawił się przy mnie mistrz Yoda, nie byłbym bardziej zszokowany.

- Nie chce mi pan wmówić, że... to ona, prawda? - zająknąłem się chyba po raz pierwszy w życiu.

- Nie muszę panu tego wmawiać. To ona, to nasza babcia - wyjaśnił detektyw i prawie się uśmiechnął. - Tak właśnie działa ten guam... Na początku też mnie zakreśliło...

- Chcę obejrzeć nagranie przed montażem - zdecydowałem, wietrząc kłamstwo. Malicki, jak każdy, mógł przecież prowadzić kreatywną księgowość. Zgodził się bez problemu. Nacisnął guzik i zacząłem oglądać zdjęcia z kamery w salonie. Zmieniała się tylko data i godziny. Bardzo pouczający film. Detektyw po prostu zostawił mnie w gabinecie i wyszedł. Pod koniec dnia wrócił i zapytał, czy mam dość. Miałem. Resztę zostawiłem na kolejne dwa dni. Przyspieszyłem obrazki i wypatrywałem cięć. Nie było żadnego - kamera pracowała bez

przerwy. Zobaczyłem ładny kawałek życia. Czas upłynął mi na wizytach w biurze detektywa, oglądaniu filmu i wieczorach z Magdą. Nie napisałem ani słowa scenariusza i odebrałem tylko dwa telefony od mamy. Z policji zadzwonili, że ślad się urwał i nikogo nie złapali. Było pewne, że potrzebowali stopy na piasku, najlepiej Piętaszka. Mogłem sobie pogratulować strachu. Nie omijał mnie, chociaż bardzo się starałem. O torturowanym chłopaku dowiedziałem się niewiele - czuł się lepiej, ale drażnił go zwrot „spacer po mieście”. Tak pewnie będzie z nim do końca życia. W końcu musiałem pogodzić się z własnym niedowiarstwem i wziąć się za panią Marzenę ostrzej. Na moich oczach wydarzyło się coś, co nie miało prawa się zdarzyć. Jakkolwiek by to nazwać, zaczynałem podejrzewać, że mam „piękny umysł”.

- Pan w to wierzy? - zapytał detektyw po zakończeniu maratonu filmowego. Dochodziła dwudziesta pierwsza i garnitur Malickiego zamienił się na miejsce ze szlafrokiem. Też eleganckim, bo z futerkiem wszytym w kołnierz. Detektyw rozsiadł się za biurkiem i pokiwał teatralnie głową. Sięgnął do szuflady i popsikał sobie ręce perfumami.

- I tak, i nie - zapisał. - Raczej nie... - poprawił się, widząc w moich oczach egzekutora.

- No właśnie - podsumowałem bez przekonania. - Obaj wiemy, że cudów nie ma... Coś z kamerą? Kto to montował?

- Mój człowiek - odparł Malicki. - Nawet nie wiedział, co dokładnie montuje... O wszystkim wiemy tylko my dwaj.

- Czy można to jakoś inaczej sprawdzić? - Chciałem wiedzieć i to trzymało mnie przy życiu.

- Można czekać i nagrywać dalej. - Detektyw zbudował zdanie, co do którego miałem poważne wątpliwości. - A może... - zawahał się. - Ja bym sprawdził, czy nie ma tam jakiegoś innego wyjścia. Z tyłu, pod podłogą, na suficie... Chyba że jest to salon jakiegoś Copperfielda - zażartował, ale nie byłem tego pewien.

- Mamy tam wejść jeszcze raz? - Czulem, że staję się rasowym przestępcą. Jednak musieliśmy poznać prawdę.

- Wejdziemy tam i sprawdzimy każdą cegłę, panie Arturze.

- No, no, no, najwyraźniej stałem się dla niego kimś ważnym. „Panie Arturze”... W ciągu jednej sekundy podmiot gospodarczy prawie na mnie wślął.

„Hola, hola, kolego, to co będzie dalej? Zaproponujesz mi wspólne przysiady, czy od razu pokażesz obrożę?”

- Dzisiaj? - Moje usta nie oddały w pełni zniecierpliwienia. - Chcę wiedzieć, czy mam temat, czy tracę czas. Jeżeli właścicielka tego salonu rzeczywiście robi to, co widziałem na filmie, to nie dziwię się, że nie chce rozgłosu. Ktoś jednak tym interesem steruje. Ciekawe, skąd bierze się klientela, co z dokumentami, rodzinami, dziećmi... Z tego cholernego salonu wychodzą przecież zupełnie inni ludzie - rozkręcałem się jak młynek do kawy. - To nie może być prawda... - dokończyłem i pokazałem na zegarek.

Detektyw Malicki podniósł słuchawkę i wydał polecenie swojemu człowiekowi. O pierwszej w nocy mieliśmy udać się na spacer po salonie pani Marzeny. Przypomniałem sobie torturowanego chłopaka, ale nie zwątpilem. W porównaniu z historycznym odkryciem polskiej kosmetologii, tortury wydały mi się wizytą u fryzjera.

Pożegnałem detektywa i wyszedłem na ulicę. Warszawa dopominała się o swoje - ludzie na każdym kroku przekazywali sobie sygnały. Zanim doszedłem do samochodu zupełnie bezinteresownie poproszono mnie aż trzy razy o pieniądze. Rozumiałem chęć posiadania, ale nie spodziewałem się, że na tym kapitalizm się zatrzyma. Byłem skołowany jak Barysznikow. Nie mogłem uwierzyć, że istnieje guam, który całkowicie zmienia wygląd ludzi. W dodatku odmładza o kilkadziesiąt lat i dorzuca jako premię urodę gwiazd. Mój trzeźwy umysł został spoliczkowany i - co zasługiwało na bolesny zastrzyk - chciał, żeby go prać po gębie jeszcze bardziej. Chora sytuacja. Pojechałem do domu, unikając spotkania z Magdą. Wobec takiego odkrycia nawet moje libido musiało przejść na dietę. Wyobraziłem sobie, jak wyglądała moja kochanka przed położeniem guamu i wtedy zajrzał mi w oczy „ten drugi” - Pan Wielki Kac.

Rozdział dwunasty

Wyobraźcie sobie, że wchodzić do domu, macie grubo po trzydziestce, mieszkacie sami, a jednak zastajecie w środku swoją mamusię. W takich chwilach stan kawalerski uwiera jak cięża mnoga, a posiadanie żony wydaje się niekończącym się deserem. Mama stała w kuchni i po prostu podgrzewała jedzenie. Jak przed dziesięcioma, dwudziestoma i więcej laty. Domyśliłem się, że zauważyła mnie z okna. Nucila pod nosem jakąś ładną piosenkę i najwyraźniej dobrze się czuła w fartuchu, który sama mi kiedyś kupiła. Motywem przewodnim fartucha Były krasnoludki.

- Wszystko dobrze, synu? - Nie czekała na moją odpowiedź i kontynuowała: - Źle wyglądasz... Dobrze się czujesz?

- Dobrze, mamo - odpowiedziałem, opadając ciężko na fotel. - Mam dużo pracy.

- Gdybyś chciał się zbadać, to doktor Szczerba...

- Wiem, mamo - przerwałem, bo znałem doktora Szczerbę od dzieciństwa. Czasami myślałem, że bez jego opieki nie umiałbym się ubrać. Facet pojawiał się w naszym domu ilekroć zmieniała się pogoda. Badał z szybkością karabinu maszynowego i wypisywał lekarstwa. Jego recepty były dłuższe od Amazonki. Mama podała mi talerz i dopiero wtedy zrozumiałem, że niepotrzebnie się zdenerwowałem. Zapach gorącego bigosu mógł postawić na nogi nawet umarłego. Opatrzność w osobie mamy dotknęła przy okazji mojego czoła i zajrzała w jedno oko. Anemię gotowa była wytropić pomiędzy jedną łyżką bigosu a drugą.

- Wszystko w porządku. Czuję się dobrze - relacjonowałem z pełnymi ustami. Nie miałem wątpliwości, że wszystkie rządy świata powinny na obiad dostawać bigos. Przelknąłem ostatni kęs jakbym zdobywał złoty medal na olimpiadzie.

- Zmierzę ci ciśnienie - zdecydowała nagle mama i po chwili wróciła ze słynną na cały świat aparaturą. Nie miałem wyjścia, wyciągnąłem lewą rękę i czekałem na wyrok. Mama przyniosła ze sobą nawet słuchawki. Zanim się zorientowałem,

byłem przebadany, zmierzony i opukany. Brakowało tylko kategorii i natychmiastowego powołania do wojska.

- Nie jest źle, ale musisz więcej spać. - Mama załatwiała sprawy krótko: trzy lewe proste i na koniec prawy sierpowy. - Ciśnienie masz trochę za wysokie...

- Bigos mnie wyleczy. - Uśmiechnąłem się do niej oczami. - Teraz muszę się przespać. Mam zamiar popracować w nocy. - Nikt nie pozbywał się własnej matki bardziej elegancko. Pocałowała mnie w głowę jak dwulatka, pomachała ręką i bez słowa wyszła. Idealna - nigdy nie zapominała zamknąć drzwi na klucz.

Zanim zasnąłem, wpadłem na jeszcze jeden błyskotliwy pomysł. Postanowiłem skonsultować moje odkrycie z kilkoma znanymi profesorami. Wiedziałem, że profesorowie odegrają w moim życiu bardzo poważną rolę, jeżeli nocna wizyta w salonie niczego nie wyjaśni. Może nawet uchronią mnie przed wydepilowaniem klatki piersiowej, tatuażem i brylantem w pępku. Sen dopadł mnie w fotelu z pustym talerzem na kolanach. I tak to trwało przez trzy godziny aż mój kręgosłup warknął, że ma dość. Zaraz potem pojawiła się pani Ryfka. Ubrana, że hej, w grube pończochy, barchanową spódnicę i kokardę we włosach. Sędzia - wypisz wymaluj. Otworzyła sobie sama i od razu ruszyła do komputera.

- Długo to ty, synaczk, nie pociągniesz - spoufa- liła się ze mną jak najbardziej. - Musi pan pić jogurty, jeść biały ser, pomidory i selery. Najlepiej naciowy... Co w naszej sprawie?

- Jestem prawie w domu - odpowiedziałem, zastanawiając się, co w jej ustach oznaczała „nasza sprawa”. - Jutro powinienem wiedzieć, na czym stoję.

Pani Ryfka włączyła komputer i zaczęła surfować. Doszedłem do wniosku, że tak już chyba zostanie. Starzy ludzie lubili przyzwyczajać się do miejsca. Zanim zasnąłem, zadzwoniłem do pewnej rezolutnej aktoreczki z ustami po operacji plastycznej. Ostatnio przeczytałem, że odkształciła sobie również nos. Było to dziewczę płocze do tego stopnia, że wystąpiło w reklamie batonów czekoladowych, które wciskała jeden po drugim w te swoje usta, wyglądające jak ślimaki.

Jednak niektórym policjantom podobała się.

- To ty? - zapytała nie od rzeczy.

- Ano ja - odparłem jeszcze trafniej. - Masz fana, który chce postawić ci obiad...

- Żartujesz, prawda? - No i wyszło sztydło w worka. Gwiazda popołudnia zaświeciła pełnym blaskiem.

- Nie żartuję - uspokoiłem łabędzicę. - Chodzi o mojego znajomego policjanta z Komendy Głównej... Ma takie hobby... No wiesz, lubi zapraszać na obiad sławnych ludzi.

- Ręczysz za niego? - Pytanie za dolara.

- Przecież to policjant - uspokoiłem ją, bo gotowa była zadenuncjować mnie u dzielnicowego. - Gość jest wysoko postawiony i nie ma w tym żadnych podtekstów... Zjecie razem obiad, pogadacie i każde pójdzie swoją drogą. Zgoda?

- A co ja z tego będę miała? - Jej niepokój uświadomił mi, że dla aktorów byłem Panem Czarodziejską Różdżką. Na samo określenie: „wzięty scenarzysta”, reagowali ocieraniem się o meble i innych bliźnich. Wszedłem do sypialni i jedną ręką zacząłem się rozbierać. Chciało mi się spać i poza tym ośmiornice mnie nie podniecały.

- Serial potrwa jeszcze dwa lata - poinformowałem zgodnie z prawdą. Zrozumiała, bo nagle zrobiła się cholernie głodna. Nie miałem wątpliwości, że podinspektor Wrona będzie musiał sprzedać roczny przydział mydła i podkoszulków, żeby zapłacić za obiad w towarzystwie tej pani. Cóż, odłożyłem słuchawkę, upadłem bez życia na łóżko i zasnąłem w samych bokserkach. W ostatnim przeblysku świadomości postanowiłem, że w następnych odcinkach „panna Medycyna Estetyczna” zajdzie w ciążę i na potęgę zacznie wciągać batony. Na zbliżeniach, żeby widzowie zrozumieli, skąd czerpałem inspirację.

Obudził mnie telefon. Dzwonił detektyw Malicki. Cekał ze swoimi ludźmi przed salonem i najwyraźniej nie chciał zaczynać beze mnie. Dochodziła północ. W szybkości ubierania się na pewno przekroczyłem normy wojskowe. Po pięciu minutach zacisnąłem pod szyją krawat i wybiegłem z mieszkania. Zdążyłem zauważyć, że pani Ryfki już nie było. Ruszyłem sprzed bloku niezupełnie z zasadami feng shui, czyli

dałem po garach jak jakieś niewychowane bydlę. Nakręcała mnie myśl, że za chwilę będę wiedział, co takiego ukrywa pani Marzena. Na Marszałkowskiej przekroczyłem prędkość o osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i zyskałem towarzystwo. Na początku zawyła syrena, zatańczył kogut na dachu i akcja rozwinęła się. Ścigała mnie drogówka. Już miałem zwolnić i złożyć stosowne wyjaśnienie, kiedy pościg zamarł. Policjanci nagle zahamowali i odjechali w przeciwnym kierunku. Wyglądało na to, że tej nocy kto inny zostanie zesłany na galery.

Detektyw Malicki spacerował po chodniku wzdłuż salonu i najwyraźniej się niecierpliwił. Jego palce splecione za plecami grały forte. Beżowy płaszcz z postawionym kołnierzem zwracał uwagę niezwykłym dopasowaniem do ciała. Postument w rozmiarze europejskim, jeśli ktoś kuma.

- Chłopaki są w środku - pisnął detektyw i wkroczyliśmy na miejsce przestępstwa. - Ma pan temat. Z salonu nie ma innego wyjścia. Sprawdziłem osobiście.

- Muszę to zobaczyć. - Wołałem się upewnić. Dzięki takiemu podejściu Stalin wygrał wojnę. Ludzie Malickiego zapalili światło i w milczeniu obserwowali moje poczynania. Opukałem, co trzeba, zajrzałem, gdzie mogłem, i stwierdziłem, że salon jest szczelny jak słoik do ogórków. No, kochana, teraz mi się nie wywiniesz, pomyślałem z satysfakcją o właścicielce salonu. Mój film nabierał kolorów. Wyobraziłem sobie, co będzie się działo, kiedy zostanie wyemitowany w czasie największej oglądalności. Świat Darwina ruszy z miejsca i wypięknieje. Znikną paszporty i wkroczymy w epokę prywatności, po której publiczne będzie już tylko strzyżenie.

Sprawdzanie ścian dobiegło końca. Zajrzałem jeszcze do szafek i dałem znak, że możemy wychodzić. Jeden z ludzi Malickiego został i sprawdził kamerę. Włączała się automatycznie w godzinach pracy w salonie. Wiedziałem, że jeżeli szczęście mi dopisze, szybko zarejestrujemy kolejne przemienienia. Malicki wsiadł do mojego samochodu i obserwował swoich ludzi. Nieufny był. Spojrzał na mnie dopiero wtedy, gdy tamci odjechali.

- Pracujemy po staremu? - upewnił się. Ślepią świeciły mu się jak psu po deszczu. Widać było, że coś tam sobie w tym swoim łbie roił.

- Po staremu - przytaknąłem. - I całkowita dyskrecja... Mam szansę zrobić najlepszy dokument świata i nie chciałbym tego zepsuć. Jeżeli ktoś zacznie gadać, to resztę życia poświęcę, żeby go udupić.

Detektyw chyba się nie przestraszył, bo zapiał:

- Osobiście panu w tym pomogę.

- Jeżeli natraficie na kolejną klientkę, to od razu dajcie mi znać - rozgrzałem Malickiego bez dotykania. Zamrugał bardziej niżbym chciał. Za godzinę facet otworzy się przed całym miastem, to pewne. Wysiadł z samochodu i pomachał mi przez szybę. Widziałem go w tylnym lusterku jak wijącym się krokiem sunął do swojego wozu. Pośladek tu, pośladek tam, i wita nas Amsterdam.

Kiedy po pół godzinie trafiłem do mieszkania, rzuciłem się do komputera i w pośpiechu zacząłem tworzyć scenariusz filmu o salonie pani Marzeny. Przegrałem na dysk film pokazujący niezwykłą przemianę i uznałem, że jestem wystarczająco wielki, aby przestać się bać. Miałem dowody i żaden bandzior nie mógł mnie powstrzymać. Dla dobra ludzkości gotów byłem skubać zębami kaczki w chińskich restauracjach albo golić się heblem pod pachami. Miałem wrażenie, że dotknąłem niemalże tajemnicy stworzenia. Wypiłem piwo, posłuchałem muzyki, obejrzałem kawałek filmu o seryjnych mordercach i poszedłem spać. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zasnąłem i spałem spokojnie.

Aż trudno uwierzyć, że w ogóle się obudziłem.

Rozdział trzynasty

Profesora Jana Chibę dopadłem w drodze na lotnisko. Biolog wybierał się na konferencję do Madrytu. Dobry wybór, zważywszy na hiszpańską kuchnię. Czekał w kolejce do odprawy i miał jeszcze dwie godziny do odlotu. Nawet się nie zdziwił, kiedy przez telefon powiedziałem, że chciałbym błyskawicznie skonsultować z nim pewien problem. Mały człowieczek w grubych okularach i z długimi siwymi włosami przypominał Einsteina po tuningu. Przywitał się ze mną wylewnie, czyli po słowiańsku. Cmok, cmok, rąsia, plery, uha, hu, ha i mogliśmy nazywać się braćmi. A widziałem człowieka dwa razy w życiu. W kolejce do odprawy ludzie czaili się jak na Służewcu. Bomba ciągle była w górze, psia ich mać.

- Zdziwił mnie pana telefon, redaktorze - zaczął profesor. Zauważyłem, że niektórzy inteligentni ludzie lubili słowo „redaktor”. Coś w tym było.

- Mamy mało czasu, dlatego zapytam wprost - zacząłem z bigłem. Na podwójne salto przyjdzie jeszcze pora. - Panie profesorze, czy możliwa jest zmiana wyglądu człowieka pod wpływem jakiegoś preparatu kosmetycznego? Chodzi o zmianę wieku i wyglądu. Załóżmy, że kładzie się pan profesor w gabinecie kosmetycznym, okładają pana jakąś substancją i po półgodzinie z łóżka wstaje zupełnie nowy człowiek. Piękny, przystojny, młody... Oczywiście tożsamości pan nie traci, tylko wygląd...

Profesor Chiba zakołysał się jakby zobaczył w ringu bestię, obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem, przez sekundę najwyraźniej zgłupiał, po czym wymownie odzyskał na moich oczach profesurę.

- Pan żartuje, prawda? - Tylko tyle i aż tyle. Za chwilę stanę się najślawniejszym wariatem w świecie nauki. Ba, może nawet profesor zapakuje mnie „na bagaż” i odleczę jako eksponat do Madrytu. Odwdzięczyłem się profesorowi poważnym spojrzeniem w stylu „tak, tak, mamy problem”. To go trochę uspokoiło, chociaż nadal miał mnie za figlarza.

- Mówię poważnie - szepnąłem. - Pytam o możliwość takiej przemiany z punktu widzenia biologii. Pracuję nad filmem, w którym...

- Domyśliłem się - przerwał mi profesor i wyraźnie odetchnął. Kiedy ludzie słyszeli, że ktoś pracuje nad filmem, wybaczały takiemu komuś nawet chrapanie i sprężyny w łóżku. Sztuka automatycznie podnosiła żółte papiery do rangi *chargé d'affaires*. W taki właśnie sprytny sposób nobilitowano od lat pracę urzędników, projekty ustaw, zwykłe zakładki do książek lub gruszki do irygacji.

- Pana opinia jest dla mnie bardzo ważna i prawdopodobnie będę chciał ją nagrać - dodałem z naciskiem na ostatnie słowo. W kolejce zrobiło się ciszej niż powinno. Wpadliśmy w stado ścierwników, co było zrozumiałe. Za moment spodziewałem się pytań z sali. Profesor wyczuł podniosły nastrój, bo pochylił się w stronę mojego ucha i szepnął:

- Teoretycznie jest to niemożliwe. Biologia to biologia. Załóżmy jednak, że oddziałujemy na żywą istotę w sposób sztuczny. Nikt nie wie na pewno, do czego takie eksperymenty mogą doprowadzić. Chciałbym, żeby pan mnie dobrze zrozumiał... Osobiście uważam istnienie substancji, o jakiej pan mówił, za niemożliwe. Nie wykluczam jednak, że moja wiedza może być w pewnych okolicznościach niewystarczająca. Jeżeli powie mi pan, kto wykonał taki eksperyment na człowieku, to gotów jestem problem zbadać...

Domyśliłem się, że profesor wielkodusznie pomyślał o Komitecie Noblowskim. Musiałem rzecz natychmiast zbagatelizować, aby w drodze do Madrytu naukowiec zostawił współpasażerów w spokoju.

- Pracuję nad scenariuszem i zastanawiam się, czy taka przemiana w ogóle jest możliwa - wyjaśniłem. „Fikcja, profesorze, fikcja - wołałem całym sobą. - Schładzamy reaktor”. Mój rozmówca posmutniał. Przez kilkanaście sekund miał nadzieję, że zawiążemy sitwę redaktorsko-profesorską i wydamy na świat potomstwo. - Wie pan, z jednej strony nauka, opinia naukowca, a z drugiej fantazja... Ale wypowiedź do

kamery nagramy... - dopowiedziałem, czując rozczarowanie kolejkowej „spółdzielni ucho”. Kiedy pożegnałem się i odchodziłem w stronę parkingu, obywatele naszego pięknego kraju brali właśnie w obroty profesora. Biedak mógł się tylko modlić, żeby dwie korpulentne panie i łysy pan w sandałach nie lecieli do Madrytu. Widać było, że regularnie czytali prasę i swoją wiedzą gotowi byli dzielić się z bliźnimi dniami i nocami.

W drodze z lotniska zadzwoniłem jeszcze do dwóch znanych z telewizji profesorów medycyny - genetyka i internisty. Obaj zareagowali podobnie. Żaden nie wykluczał, że kiedyś tak radykalna przemiana człowieka będzie możliwa, ale teraz raczej wkładali to między bajki. Oczywiście obaj zgodzili się wystąpić przed kamerą. A zatem trzech muszkieterów już miałem, czwartym miała być pani Marzena. Wymarzony kontrast dla autora filmu. Z jednej strony autorytet nauki i sceptycyzm, z drugiej zwyczajny salon kosmetyczny, jego tajemnicza właścicielka i nieprawdopodobne odkrycie.

Włoska restauracja na Chmielnej nadawała się na przełamywanie lodów. Zaprosiłem tam panią Marzenę i oczekiwałem uległości. Postanowiłem ją wy- batożyć bez żadnej litości. Zbyt długo mnie oszukiwała, abym nie poczuł do niej śmiertelnej urazy. Przeszło mi jednak, kiedy ją zobaczyłem. W obcisłych dżinsach i za krótkiej koszulce, spod której wyglądał pępek, przypominała kogoś więcej niż tylko przeterminowany towar. Cokolwiek by o tej kobiecie powiedzieć, dawała człowiekowi kopa. I ten chód - sprężysty jak defilada na Kremlu. Do ostatniej chwili udawała, że mnie nie widzi. Musiała wiedzieć, że drzemała we mnie heteroseksualna siła królika. W końcu usiadła naprzeciwko mnie i spojrzała zbyt otwarcie w moje oczy. Dla takiego kiczu ludzie wieszali się po oborach lub strzelali sobie w naperfumowane skronie. Gdyby nie scenariusz filmu o cudownych przemienieniach, już stałbym na moście Poniatowskiego i szukał największego wiru.

- Pan naprawdę oszalał - stwierdziła pani Marzena i skinęła na kelnerkę. - Zje pan coś? - Przejęła inicjatywę, mimo że to ja ją zaprosiłem. Emancypacja, ot co.

- Ja stawiam - odparłem z pewnością siebie księgowego

mafii. - Proszę wybierać, bo jest z czego... - dodałem z polotem. Poznała się, bo przytaknęła. Kelnerka z piegowaną cerą w mig zrozumiała, że napięcie przy stoliku numer siedem sięga zenitu i chyba dlatego tak otwarcie pokazała nam swoje ogryzione paznokcie. Zamówiłem spaghetti, a pani Marzena lasagne. Do tego po lampce czerwonego wina, jak na kierowcę mini przystało. Ubrałem się w szare spodnie, granatową klubową marynarkę ze złotymi guzikami, białą koszulę i kolorowy fular. Do tego nałożyłem lekkie włoskie mokasyny. Nie zapomniałem o zapachu za co najmniej trzy stowy. Waliło ode mnie jak z piwnicy.

- Powiedział pan, że chce mi coś pokazać - zaczęła filuternie pani Marzena. Ładnie, ale do czasu.

- Nigdy jeszcze nie chciałem komuś tak bardzo czegoś pokazać. - Wyjąłem kamerę i położyłem na stoliku. Westchnęła i przy okazji jej biust dotknął mi prawie do nosa. Rozsądne posunięcie, bo przestałem się rozglądać.

- Proszę wziąć kamerę i nacisnąć ten guzik - pokazałem palcem.

- Może najpierw zjedzmy - zaproponowała bardzo przytomnie. Jak umierać to z pełnym żołądkiem. Wypiliśmy więc wino i zjedliśmy w milczeniu włoskie potrawy. Od czasu do czasu łapaliśmy się na wzajemnym podpatrywaniu. Ja na nią, ona na mnie, a pod stołem różnica płci, z której nic nie wynika. Zimna wojna. W czasach walki o ogień już dawno odwróciłbym się plecami do ogniska. W końcu sięgnęła po kamerę i obrzuciła mnie sceptycznym spojrzeniem. Mówiło ono: „Co ty mi możesz pokazać, gryzaczku dla niemowląt, co?”. „Dawaj, mała, napieraj, nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa”. Przemiana, jaka zachodziła w twarzy i zachowaniu pani Marzeny, przypominała różnicę między zmywaniem garów rękami lub w automacie. To pierwsze na pewno było dobrze widać. Najpierw przemówiły wybałuchy, czyli oczy. Potem twarz pani Marzeny zrobiła się nabrzmiąta jak termofor. Na końcu miałem przed sobą kobietę, która ze strachu gotowa była jeść mi z ręki. Powiało wielkim strachem.

- Naraża pan tych ludzi na cierpienie - wydusiła z siebie

właścicielka salonu. Jeżeli mi jeszcze powie, że przeczytała wszystkie encykliki papieża, to na miejsce wiecznego spoczynku wybiorę jakiś bazar. - Dlaczego pan to robi? Dla pieniędzy?

- A pani? - odbiłem pytanie.

- Tak. - Ta odpowiedź nieźle mnie przeczłogała. Kobitka nie znała słowa „nie”. Należało jej się wyrównanie za ubiegłe lata.

- Chcę zrobić o pani film - powiedziałem to tak, jakbym ją prosił o rękę. - Dokument, który obejrzy cały świat...

- Nie mogę się zgodzić - zaproponowała gwałtownie. - Nie ma pan pojęcia, co by to dało...

- Rozmawiamy prywatnie, proszę mnie oświecić. - O tak, potrafiłem być drapieźny.

- Mam nadzieję, że nie nagrywa pan - zaniepokoiła się jeszcze bardziej pani Marzena.

- Nagrywam - odparłem. Dyktafon tkwił w kieszeni mojej marynarki i rozdziawiał dziób. - Nic nie zatrzyma tej produkcji. Możemy to zrobić razem, z pani pomocą i ewentualnymi sugestiami, i mogę to zrobić sam, po mojemu i być może z błędami... Proszę wybierać.

Jej oczy się zaszkliły. Jeżeli wybuchnie płaczem, będę skończony. Kiedy miałem mokre nogi, łatwo się przeziębiałem. Przegięła się nieco zbyt lubieżnie do tyłu i przez kilka sekund wzbierała w niej fala powodziowa. W końcu worki z piaskiem nie wytrzymały i zaczęła mówić:

- Dobrze, powiem panu wszystko, ale nie dzisiaj. Teraz chciałabym wiedzieć, czego pan ode mnie oczekuje.

- Opowie mi pani, jak to się zaczęło, kto z tego korzysta, ile to kosztuje - wyterkotałem. - Potrzebuję też wypowiedzi kobiet, które przez to przeszły. Pięć wystarczy. To, co pani robi, wydaje się niemożliwe. Wygląda to na jakąś sztuczkę... Gdybym nie widział filmu i tych kobiet, pomyślałbym, że mi odbiło. A może naprawdę zwariowałem i o tym nie wiem. Muszę mieć pewność. Pani Marzeno... - zawahałem się. Istny Cycero. - Ja nigdy nie wierzyłem w cuda...

- Chce pan pokazać nasze twarze, podać nazwiska i adres salonu? - No pewnie, że chciałem. Gdybym mógł,

pokazywałbym te przemienione panienki przez całą dobę w CNN albo BBC.

- To zależy - odpowiedziałem dyplomatycznie. - Nie chodzi o to, żeby kogoś krzywdzić - uzupełniłem swoją wypowiedź. Czy widział ktoś kiedyś program, który nikogo nie krzywdził? Ostatni raz obejrzałem coś takiego w dzieciństwie. Była to plansza z napisem: „Za chwilę dalszy ciąg programu”. A i wtedy nie byłem pewien, czy ktoś nie poczuł się skrzywdzony.

- A co z kamerami w moim gabinecie? - zapytała rozsądnie.

- Kamery zostają - podtrzymałem ją na duchu. - Nie możemy ich tak po prostu wyłączyć. Proszę o nich nie myśleć...

- Mówi pan poważnie?

- Sztuka filmowa, proszę pani, wymaga poświęceń - stwierdziłem z namysłem.

- A jeżeli każe je zdemontować? - To był ładny lewy prosty, ale w powietrze. Odpowiedziałem ogniem z najcięższego działła.

- Wtedy zostanie pani czarnym charakterem. Do końca życia - postraszyłem ją. - To, co mam, wystarczy. - Odpowiedziała mi spojrzeniem za parę dolców. Równie dobrze mogło to oznaczać, że sprzęt detektywa Malickiego jeszcze tej nocy przejdzie do historii.

Kawa, herbata, deser i dalsze ciągnięcie za język. Tak minęła mi ostatnia godzina. W sumie mogło być gorzej. W każdym razie miałem obiecaną rozmowę i otwarte drzwi do międzynarodowej sławy. O forsie nie wspominając. Nie widziałem powodu, dla którego byle silikonowa lala lub gacek wytatuowany aż po wstydy zarabiali parę milionów dolców więcej ode mnie. O nie, żadne chirurgiczne bara-bara nie usprawiedliwiło mojego poniżenia. Żądałem sprawiedliwości. Tej elementarnej, mojej własnej. Wtedy dopiero porozmawiamy.

Z panią Marzeną rozstaliśmy się w miarę kulturalnie. To znaczy ona nie lubiła mnie, a ja udawałem, że nie widzę jej kształtnych cycuszków. Oj, przyzwyczajałem się do niej, przyzwyczajałem, a żniwa nadchodziły szybkimi krokami.

Rozdział czternasty

Spotykały mnie już złe rzeczy, ale ta przeszła samą siebie. Wyobraźcie sobie, że po udanym dniu kładziecie się spać o zupełnie przyzwoitej porze, czyli po dwudziestej trzeciej, i budzicie się w celi trzy na trzy. Ja nie musiałem sobie tego wyobrażać. Naprawdę obudziłem się z jakiejś ciemnej norze bez okien. Najpierw nie skumałem, że w ogóle coś się zmieniło. Wstałem do łazienki i na pamięć ruszyłem przed siebie. Gwałtowne „bum” obudziło mnie do reszty. Wyrznięm głową w ścianę i zorientowałem się, że wokoło panowały ciemności, a moje ręce nie mogą znaleźć włącznika światła. Kiedy go znalazłem i nacisnąłem, zapaliła się żarówka nie więcej niż jednowatowa. Ledwo mogłem zobaczyć własne kolana. W takich chwilach mózg wykonuje operacje przypominające pościg za pijanym panem młodym. Początkowo myślałem, że nadal śpię i rano wszystko się skończy. Rozbita głowa pozbawiła mnie tej wiary. Zrozumiałem, że stało się coś poza moją wolą i wiedzą. Podszedłem do drzwi i zacząłem w nie uderzać pięściami. Nadawały się do tego doskonale: od środka zostały wygłuszone tapicerką, a obramowanie zrobiono z kilkumilimetrowej blachy. Innymi słowy - mogłem sobie popukać. Pomieszczenie znajdowało się prawdopodobnie w piwnicy. Na niepomalowanych ścianach widać było zacieki, wokoło stały zakurzone półki z pustymi słoikami, a na honorowym miejscu rozwaliło się wyro z poprutym materacem. Kurz, pajęczyny, mysie odchody, wilgoć i atmosfera lochów, o jakiej marzył każdy scenograf filmu historycznego. Człowiek, który zafundował mi takie wakacje musiał kochać aktywny wypoczynek, to pewne.

Za drzwiami usłyszałem kroki. Zerwałem się i znów zacząłem boks z tapicerką. Dźwięk odsuwanej sztaby zrosił mi kark potem. Przed moim nosem uchyliły się niewielkie drzwiczki i ktoś wsunął, w nie opakowanie z pizzą. Do tego miłościwie dodał sok marchewkowy.

- Hej, człowieku, co ja tu robię? - krzyknąłem w ciemny

otwór. Zanim jednak zdołałem cokolwiek zobaczyć, drzwiczki zamknęły się, a sztaba wydała znajomy odgłos. - Słyszysz mnie? Co ja tu robię?

Mogłem sobie pogadać. Gość z obsługi nawet nie zakasał. Na pewno był na tę okoliczność starannie przebadany. W jednej chwili przypomniały mi się filmy z osobnikami, którzy w taki sposób spędzili swoje życie. W tym momencie moją jedyną nadzieją stał się hrabia Monte Christo. Więzień zwiął z ciemnicy i potem całkiem nieźle sobie pożył. Rura mi zmiękała, kiedy przypominałem sobie, ile lat przesiedział. Chcąc nie chcąc zabrałem się za pizzę i sok. Po jedzeniu postanowiłem starannie przemyśleć swoją sytuację. Przede wszystkim obejrzałem dokładnie pomieszczenie, w którym mnie zamknęto. Opukałem mury, ale szybko przekonałem się, że nie było to bu-ćroWnictwo wielkopłytowe. Ściany miały pewnie z pół metra grubości. Z satysfakcją zauważyłem, że w rogu znajdowało się wiadro przykryte pokrywką. Z wdzięczności dla mojego prześladowcy gotów byłem tytułować go „mój panie”. Ktoś zadbał nawet o to, żeby nie kasało mnie zimno. Na materacu leżał gruby koc i mój ulubiony dres. Dopiero wtedy zorientowałem się, że wciąż byłem ubrany w piżamę. Uświadomiłem sobie, że bez komputera, telefonu, radia, telewizora i książek szybko zamienię się w warzywo. Postanowiłem nie dać się zgnoić. No i przestrzegać pór dnia i nocy, aby nie zwariować. Co prawda nie miałem zegarka, ale założyłem, że jest na przykład dziewiąta. Na ścianie wydrapałem gwoździem datę uwięzienia. Zawodowe podejście do wyroku. Po kilku latach będę przynajmniej wiedział, co i jak. Poza tym każdy więzień w tym kraju uzna mnie za starego herbatnika, a to nie było już byle co. Człowiek zaczynał liczyć się w hierarchii.

Zanim zdążyłem strawić pizzę, drzwiczki w drzwiach znów się otworzyły i do środka wjechała torba wypełniona hamburgerami. Nie ma to jak zdrowe żarcie, mawiała czasami pani Ryfka. Dostałem też dwie butelki wody i zastrzegam, że nie była to kranówka. Widać było, że miałem przed sobą przyszłość. Ciekawe, co wymyślą na kolację. Kebab, kurze udka

czy chińszczyznę? Jak tak dalej pójdzie, to umrę, nie trzymając wagi.

Według moich obliczeń przesiedziałem już co najmniej tydzień. Dzień i noc były podobnie do siebie. Odżywiano mnie regularnie, ale z moim strażnikiem tośmy sobie nie pogadali. Zacząłem wierzyć, że wybrali głuchego. Jego twarzy też nie zobaczyłem, ponieważ nosił kominiarkę. Jedzenie podawał mi zawsze w skórzanych rękawiczkach, jakby obawiał się, że mu powrózę. Drugiego dnia postanowiłem zabić nudę pisaniem wspomnień na murze. Wyzaczyłem sobie odpowiedni odcinek ściany, wybrałem najdłuższy gwóźdź i dawaj drapać tynk. Już widziałem wycieczki, które po stu latach ze łzami w oczach będą to odczytywać. Może nawet ktoś położy kwiaty i zanuci melodię. Co trzy dni drzwi piwnicy otwierały się i mój głuchy strażnik wynosił wiadro z fekaliami. Za każdym razem pojawiał się w towarzystwie wielkiego rewolweru, strzelał w sufit dla postrachu i pokazywał mi lufą, że mam się położyć na podłodze pod ścianą. Kładłem się i to chętnie. Huk wystrzału zamieniał mnie w lakier podłogowy. Facet był wielki jak łożko po dziadkach, więc leżałem dopóki nie wyszedł. Wracał po dziesięciu minutach i cała sytuacja powtarzała się. Widać było, że miał dużo nabojów. Codziennie myłem się w obitej umywalce. Woda, która leciała z zardzewiałego kranu była zimna, a zatem zdrowa. Zadbano też o szczoteczkę do zębów, pastę, kubek, szampon i nitki dentystyczne. Woskowane - ktoś najwyraźniej robił sobie jaja.

Po mniej więcej czternastu dniach doszedłem do wniosku, że muszę coś zrobić, bo mnie wykończą. Jadałem dobrze, nie mogę powiedzieć, ale na pewno nie prowadziłem higienicznego trybu życia. Raz nawet przyszedł do mnie lekarz i dokładnie mnie zbadał. Był w masce, Zorro zasrany. Nawet krew pobrał, jakby w obawie, że zarazę strażnika, mojego jedyne go żywiciela. Domyślałem się, że mają związane ze mną plany i dlatego jeszcze żyłem. Im bardziej się załamywałem, tym chętniej oczekiwałem na nowe propozycje. Kruszałem, nie było wątpliwości. Wizyta lekarza nie wzmocniła we mnie ducha, o nie. Przyszedł w białym kitlu i najwyraźniej bał się strażnika,

który stanął obok nas z rewolwerem w dłoni i wycelował mi w stopę.

- Jak się pan czuje? - zapytał doktor zgodnie ze zwyczajem.

- Kapitalnie - odparłem, mając nadzieję, że to go trochę uczuli na mój los.

- To dobrze - stwierdził z wyraźnym zadowoleniem. Był tak poważny, że zaczynałem podejrzewać, iż wpadł do mnie prosto z pogrzebu. - Nie kaszle pan?

- Nie, ale dokucza mi samotność - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- To normalne w tych warunkach - podsumował logicznie. - Gorączka, biegunki, wysypka...

- Niestety, jeszcze nie miałem - odparłem. - Czy może pan powiedzieć temu, co mnie tu trzyma, że chcę porozmawiać?

Lufa rewolweru oparła się o mój nos. Strażnik zdradzał w ten sposób pierwsze objawy rozstroju nerwowego. I na pewno nie był głuchy.

- Nie możemy o tym mówić - powiedział doktor, opukując mi palcami plecy. - Mam pana tylko zbadać... Owoce i jarzyny dostaje pan regularnie?

- Na kuchnię nie narzekam, ale jeszcze trochę i tu zwariuję - szarpnąłem się ostatkiem sił ku światłu. - Chcę wiedzieć, po co tu siedzę? Ktoś mnie sprzedał na części? Jakiś eksperyment?

Huknął strzał aż posypał się tynk z sufitu. Strażnik poinformował mnie, że moja ciekawość działała mu na nerwy. Bydłę było wrażliwsze od targetu dobranocki. Wstyd powiedzieć, ale z moimi majtkami chyba nie wszystko było w porządku. Doktor fachowo drżał. Też miał na ten wieczór inne plany.

- Nie mogę panu pomóc. - Głos lekarza stał się dramatyczny. - Mam rodzinę i nie wiem, kim są ci porywacze...

Strażnik cmoknął kilka razy jakby chciał buzi. Doktor natychmiast umilkł.

- Przyjdzie pan jeszcze? - zapytałem, żeby sobie pogadać. Chociaż tyle dobrego. Poza tym, gdybym zapomniał języka w gębie, straciłbym prawo wykonywania zawodu. Zacząłem się powoli buntować. Kiedy strażnik i lekarz wyszli, poczułem, że

duch w narodzie nie umarł. Zrozumiałem, że trzeba walczyć. Był jednak pewien problem - ja sam.

Po trzech tygodniach byłem już dostatecznie zderwowany, żeby kogoś powiesić. Nigdy nie przypuszczałem, że brak zajęcia może mnie tak rozwścieczyć. Poza prowadzeniem na ścianie pamiętnika ćwiczyłem fizycznie. Pompki, przysiady, podciągnięcia na rurze kanalizacyjnej, skłony, wymachy i mostki cofnęły mnie do szkoły podstawowej. Zacząłem nawet boksować. Stawiałem przy ścianie materac i dopadałem go szybciej niż kasjer pieniędzy. Kto by przypuszczał, że ja, scenarzysta i reporter, tak zatęsknię za salą gimnastyczną? Zarosłem przez ten czas, bo nie dostałem ani brzytwy, ani maszynki, ani elektrycznej golarki. Zrozumiałem przy okazji, że nie należę do ludzi, którzy cenią sobie spokój. Wbrew moim oczekiwaniom nie zamieniłem się ze strachu w mebel, lecz zacząłem kombinować, jak z tego wyjść. Coraz częściej myślałem o wysmukłych pniach drzew. Wspominałem świętej pamięci Azję Tuhajbejowicza, którego organiczny związek ze sztuką ciesielską rozślawiła literatura. Było to bardzo budujące. Z godziny na godzinę stawałem się ogromnym miłośnikiem lasu.

W końcu doszło do najgorszego. Zostałem kolejnym numerem Batmana. Mój strażnik pojawił się, żeby wynieść wiadro z fekaliami i jak zwykle wygarnął z rewolweru w sufit. Tym razem jednak miał do czynienia z twardzielem wyćwiczonym na rurze kanalizacyjnej. Nie przypuszczał nawet, że podczas jego poprzednich wizyt dokładnie obliczyłem, ile czasu ten spacer zajmuje. Wiedziałem o drzwiach. Otwierały się na zewnątrz i były uzbrojone w wielką zasuwę. Strażnik zwykle chował rewolwer do kabury pod marynarką i dopiero wtedy podnosił wiadro. Czasami musiał poprawiać pokrywkę, co najwyraźniej miało wpływ na sposób jego ubierania. Pod tym względem „ja dawny” mogłem być dla niego wzorem. Przez kolejne dwa tygodnie ćwiczyłem padnij - powstań oraz sprint. Nie spodziewałem się, że mama urodziła aż takiego sportowca. Kiedy byłem gotowy, wszystko odbyło się jeszcze szybciej niż myślałem. Strażnik schował broń, a ja po prostu

wystartowałem ku wolności. Zanim dotknął pokrywki, byłem na progu, zanim odwrócił głowę, zatrzasnąłem drzwi, zanim wygarnął do mnie dwa razy, zasuwa znajdowała się w pozycji „lokal pod ochroną”. Byłem wolny, a mój strażnik miotał się w piwnicy jakby chciał powiedzieć mi coś ważnego. „Był czas...”, jak śpiewał pewien pan.

Wszedłem po schodach na górę, oczekując spotkania z jakimś innym królem sterydów. Na szczęście ani w salonie, ani w kuchni nikogo nie znalazłem. Mój strażnik poświęcał się dla mnie samotnie. Przyzwyczailem oczy do światła, przytulając do nich dłonie. Potem znalazłem na kominku ciemne okulary. Obejrzałem dom i stwierdziłem, że został gustownie urządzone. Stary Mokotów, jeśli chodzi o ścisłość, z ogródkiem i ptakiem, który śpiewa o poranku. Wnętrze tradycyjne, z antykami przykrytymi prześcieradłami. Ktoś wynajął dom tylko po to, żebym nikomu nie przeszkadzał. Ktoś bardzo bogaty. Telefon, niestety, nie działał. Musiałem wziąć sprawy w swoje ręce, czyli zwiewać jak najszybciej. Wymknąłem się na ulicę i odnalazłem marzenie każdego porwanego: postój taksówek. Kiedy poprosiłem o podwiezienie na policję, taksówkarz przyjrzał mi się wzrokiem doświadczonej sekretarki prezesa. Czego tam nie było? Ciekawość, obrzydzenie, przymilność, jad kobry i głód podwyżki. Wspaniały komitet powitalny.

- Jakieś kłopoty? - Kierowca chciał po prostu wiedzieć wszystko. Rozpoznałem podwarszawski akcent garażowy.

- Brak łazienki - uspokoilem go na dwie sekundy.

- Tylko mi pan nie zapaskudź siedzenia - zawołał. Ostrzeżenie godne francuskiego polityka.

- Żartowałem tylko - uspokoilem śledzia. Niedomyty, zalatujący potem, ostrzyżony w stylu „jestem, bo jestem”, i z brudnymi paznokciami, reprezentował . demokrację aż po pachy.

Łypnął w lusterko i docisnął gaz. Po kilku minutach byliśmy na komendzie. Nie zapłaciłem i wybiegłem z taksówki. Pogonił za mną, ogar pieprzony. Za dwanaście złotych gotów był reprezentować „Wieczór zbrodni” w Discovery. Kiedy wyłoniłem się przed grubym sierżantem i zacząłem mówić o

porwaniu, kierowca dopadł mnie. Dziesięć minut zajęło mi tłumaczenie dziadowi, że forszę mu zwrócę, a świadkiem jest policjant. Poszedł, ale czułem, że zawładnąłem jego wyobraźnią. Wreszcie mogłem wyjaśnić dokładnie, co mnie sprowadziło w te niebieskie progi. Owszem, policjanci zareagowali na dziennikarza tak, jak należy. Wysłali do willi na Mokotowie radiowóz, a mnie posadzili przy biurku i kazali opowiadać o szczegółach porwania. Sierżant pisał, ja powtarzałem, a czas płynął. W końcu odezwali się ci z radiowozu. W domu mieszkała rodzina z trojgiem dzieci, a w piwnicy nikogo nie było. Ludzie ci pierwszy raz słyszeli o porwaniu i poprosili policjantów o wyjaśnienia. Właściciel domu był prawnikiem i wyraźnie to okazał. Zadzwoiłem do podinspektora Wrony i poprosiłem o spotkanie. Oczywiście zgodził się natychmiast. Udało mi się namówić go na przyjazd pod dom, w którym spędziłem kilka ostatnich tygodni. Osobiście postanowiłem poznać jego właścicieli i obejrzeć piwnicę. Podinspektor zgodził się zabrać mnie z posterunku.

- To ten? - Wrona lubił pytać, to było jasne. Willa wręcz omdlewała od spokoju. Na podwórku bawiły się dzieci, okno było otwarte, a ze środka dolatywały do nas dźwięki muzyki poważnej. Kultura wstawała z martwych.

- Ten - potwierdziłem, ale zaczynałem mieć wątpliwości. W końcu po dłuższym siedzeniu w ciemnicy człowiek może uwierzyć, że wszystkie domy są jednakowe. Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do furtki. Chyba na nas czekano, ponieważ w drzwiach pojawił się młody mężczyzna w nienagannym garniturze. Podeszedł do furtki z ręką w kieszeni i wydał z siebie trel.

- Jeżeli są panowie z policji, to proszę o nakaz. - Prośba odpowiadająca jałtańskiej sprawiedliwości.

- Ja jestem... - wyjaśnił podinspektor Wrona i pokazał legitymację. - Ten pan twierdzi, że był w tym domu więziony w piwnicy. Czy możemy wejść?

Prawnik przyglądał się legitymacji jakby chciał zapytać: „Co z tą Polską?”. Potem westchnął i otworzył furtkę. Bez słowa pokazał nam, że mamy za nim pójść. Moje wątpliwości zdobyły

kolejne punkty. Gospodarz najpierw pokazał nam cały dom, potem żonę, która akurat przygotowywała makaron, a na końcu matkę staruszkę, oglądającą telewizję i psa podobnego do szaszłyka.

- Coś jeszcze? - Na taką kulturę nie byliśmy obaj przygotowani. Nie zdziwiłbym się, gdyby w grę wchodziło nawet prawo pierwszej nocy.

- A piwnica? - odważyłem się przełamać lody. - Tam mnie trzymali...

- Proszę...

W piwnicy nic nie wyglądało po mojemu. Żadnych drzwi z zasuwą, za to wszędzie wokoło półki z winami. Prawdziwy magazyn pasożyta społecznego. Nigdy wcześniej nie patrzyłem uważniej na cokolwiek z wyjątkiem płci pięknej. Za to ostatnie, parszywemu seksiście, należała mi się chłosta. Podejrzenia i dowody przestępstwa nie istniały. Zacząłem podejrzewać, że pomyliłem domy. Kiedy zegnaliśmy się z właścicielem willi, podinspektor objął mnie ramieniem jakby chciał powiedzieć, że oto coś się kończy i zaczyna. Był tak dobry, że zawiózł mnie i odprowadził do mojego mieszkania. Po drodze wygłosił wykład na temat słabego stanu zdrowia psychicznego polskiego społeczeństwa, w tym policji i dziennikarzy. Poradził nie przejmować się i wyjechać na urlop. Żadnych scenariuszy, żadnych filmów, żadnych gwałtownych ruchów. Spokój, bracie, spokój - ten ulubieniec młodych matek i starych ludzi, może cię uratować.

Nalałem sobie wody do wanny i zanurzyłem obolałe ciało. Słuchałem w radiu wiadomości i zastanawiałem się, co w mojej historii mogło podbudować psychicznie polską psychiatrię. Doktor Joachim Linde jeszcze nie wiedział, że czeka go psychoterapia w westernowym stylu. Wygarniemy do siebie na środku pokoju i pokażą się napisy końcowe. Na rano, stary, rano możesz szykować dwa złote kolty. Kapałem się, bawiłem mydłem, polewalem szamponem i gwizdałem. Robiłem wszystko, czego po ocaleniu nie powinien robić porwany i przetrzymywany. Nie zadzwoniłem do mamy, nie odezwałem się do telewizji i nie zameldowałem pani Ryfce, że „tatuś

wrócił”. Nawet nie włączyłem automatycznej sekretarki, na której chyba nagrało się pół miasta. Zbliżała się pora nałożenia szlafroka, kiedy z radia popłynął miodowy głos prezenterki. Dowiedziałem się od niej, że zostałem odnaleziony i jestem zdrowy jak koń. Miłośnicy mojego talentu znów mogli mieć nadzieję, że jako scenarzysta dam z siebie wszystko.

Rozdział piętnasty

Przebudzenie może być czasami straszne. Otwieramy oczy, a oni stoją... Ze mną było podobnie. Przekręciłem się na prawy bok i zdecydowałem się popatrzeć na świat. Najpierw wyłoniła się twarz pani Ryfki, potem mamy, a na końcu mojej dawnej narzeczonej, Ani. Istny komplet łyżeczek do herbaty. Poderwałem się, jakby mi obiecano sandały po Marlonie Brando.

- Co wy tu robicie? - zapytałem.

- Jak to co? - odparowała mama. - Najpierw dajesz się porwać i o mało nie doprowadzasz matki do zawału, a potem, kiedy wracasz, nawet nie zadzwonisz. Policja w całym województwie szukała cię dzień i noc.

- Przepraszam, ale widocznie byłem jeszcze w szoku - wyjaśniłem, wyobrażając sobie, jakie to nieznośne cierpienia przeżywała z mojego powodu policja. - A obie panie?

- Pani Ryfka zawiadomiła mnie, że wróciłeś i przyjechałam. A Ania akurat była u mnie. - Mama potrafiła posmarować chleb masłem nawet przez ceratę. - Umyj się, ubierz, a ja przygotuję śniadanie...

Dopadły mnie, nie ma co. Wołałem nie dyskutować po próżnicy i posłuchałem mamy. Wziąłem prysznic i starannie się ubrałem. Boże, jaka to była przyjemność. Aż strach pomyśleć, co to będzie po śmierci: bez krawatów, skarpetek i majtek. Ogolony i pachnący pojawiłem się przy stole. Wszystkie panie oczywiście już na mnie czekały. Jajecznica na szynce, pomidory z cebulką i kawa... Uśmiechnąłem się i zacząłem jeść. Panie patrzyły na mnie i najwyraźniej oczekiwały na coś więcej niż mlaskanie.

- Doskonale - zachwyciłem się z pełnymi ustami. - Najlepsza jajecznica na świecie... - Byłbym zapomniiał

o pomidorach, ale w porę uchwyciłem napięcie w oczach pani Ryfki. - No i pomidory... Do tego bułka z masłem... - zakończyłem z godnością. Tak jak należy. Mama kiwnęła głową, milcząco stwierdzając, że słusznie zrobiła, nie oddając

mnie do domu dziecka.

- Policja mówi, że nic nie znaleźli - odezwała się pani Ryfka. Sędzia zawsze znajdzie sobie temat do rozmowy. - Sprawdziłam moimi kanałami, co wiedzą,

o czarno to widzę. Ktoś dobrze to wymyślił...

„Dobrze to wymyślił” - ładnie powiedziane. Wyglądało na to, że wróciłem z urlopu na Hawajach. Kto by to pomyślał, że piwnica bez okien awansuje do rangi pięciogwiazdkowego hotelu, a moja ucieczka zostanie uznana za sukces w szkole przetrwania?

- Masz jakieś dowody, domysły? - Pani Ryfka nie rezygnowała. Wierzyła, biedactwo, w sprawiedliwość.

- Nie mam - odparłem. - Wszystko, co wiem, powiedziałem policji. Pokazałem im miejsce, gdzie mnie przetrzymywali, ale okazało się, że nie trafiłem... Nikt nic nie wie, nikt niczego nie widział... Zaczynam wierzyć, że cała historia rozegrała się w mojej głowie.

- A twój film? - zapytała mama. Wiedziała, że w ten sposób zawsze można mi podreperować zdrowie.

- Zrobię go. Nie zastraszą mnie - wyrwało mi się chyba zbyt pochopnie.

- A więc chodzi o zastraszenie? - Poczuję się tak, jakby pani Ryfka wsunęła mi jedną nogę pod kołdrę. Nie miałem zamiaru opowiadać im o szczegółach. Wiedziałem, że nie odpuszczę i docisnę panią Marzenę jeszcze bardziej. Byłem ciekawy, jak zareaguje, kiedy mnie zobaczy. Żywego i ładnie ubranego. Uklęknie czy nie, przewrotna jędza?

- Nie brakuje ci czegoś? - No, no, no, Ania najwyraźniej proponowała mi udział w zyskach. Owszem, brakowało mi tego i owego, ale nie zamierzałem po raz drugi wchodzić do tej samej rzeki. Dlatego nie odezwałem się i skupiłem na kawie.

- Oni najwyraźniej nie chcą cię zabić - stwierdziła optymistycznie pani Ryfka. - Nie chcą smrodu... Jesteś zbyt znany. - Opoka sprawiedliwości wiedziała, co mówi. Byłem tak znany, że każdy wielbiciel mógł u mnie zamieszkać.

Trzeba było działać. Zadzwoiłem do detektywa Malickiego, który jak zwykle od razu zaczął się do mnie łączyć. Kobiety w

moim towarzystwie uznały, że dalsza rozmowa ze mną nie ma sensu i odpłynęły do kuchni. Co za ulga! Porwanie i uwięzienie mnie w ogóle Malickiego nie ruszyły; najpierw zapytał o forszę, a potem powiedział coś z sensem. Okazało się, że w salonie pani Marzeny zmieniły wygląd jeszcze dwie kobiety, a ukryte kamery wszystko zarejestrowały. Przepiękstwo popłacało, a pani Marzena chyba polubiła ukrytą kamerę.

- Jadę do pana - rzuciłem do słuchawki i mało mnie obchodziło, czy Malicki się ze mną zgadzał.

Tym razem siniaki pod domem detektywa nie miały ze mnie pożytku. Prawie biegiem wdarłem się do biura Malickiego. Obcisłe spodnie „jaggerówki” i lniana koszula informowały, że detektyw relaksuje się po robocie. Odpalił komputer i przyglądał mi się z satysfakcją.

- Nie wymknie się teraz - wyszeptał tym swoim cienkim gardłem. - Nie ma żadnych wątpliwości, że ta pani robi coś nielegalnego - „Ta pani”, „coś nielegalnego”... Język misia przytulanki. Detektyw wybierał się prawdopodobnie na pokaz mody.

- Bez cięć? - upewniłem się niezbyt kulturalnie.

- Panie Arturze. - To się nazywało „wyrzut”. - Pana wyjazd w niczym nie zepsuł mojego zlecenia. Pana reportaż może być numerem jeden na świecie.

Tryper pogrzany, nawet nie wiedział jak mnie dopieścił. Byłem pewien, że przemienienia powalą wszystkich na kolana. Lekarze przestaną leczyć, księża porzucą kościoły, a policja rozrośnie się do normalnych rozmiarów, czyli wszyscy obywatele zostaną policjantami. Okaze się, że biologia i chemia bez przerwy kombinują, co by tu jeszcze Panu Bogu zwędzić. Oto pierwsze na świecie dyscypliny naukowe, które można oskarżyć o kradzież. I obie wsadzić od razu do pierdła. Koniec z pisaniem scenariuszy, koniec z wyścigiem szczurów, koniec z myśleniem o rachunkach i corocznych PIT-ach. Film o pani Marzenie teleportuje mnie wprost do Nieba. Dość! Musiałem przestać się nakręcać, bo przestałem widzieć ekran komputera.

Po godzinie wstałem i zadzwoniłem do pani Marzeny.

- Jutro przyjeżdżam do pani z ekipą - ciachną- łem bez

znieczulenia. - Współpracujemy? - Musiało być naprawdę głęboko, bo po drugiej stronie słuchawki usłyszałem westchnienie. Co tam się do cholery działo? - Współpracujemy? - powtórzyłem.

- Żartuje pan? - Ta kobieta najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z mojej wiedzy i determinacji.

- Nie żartuję - warknąłem. - Jutro o ósmej jestem u pani z ekipą i kręcimy...

- Otwieram o dziewiątej - przerwała mi pani Marzena. Zdenerwowana, a więc moja.

- Zrobię to po swojemu lub z panią - powtórzyłem oklepany schemat. Biedactwo, nie przypuszczała nawet, że lada chwila ludzie będą mogli suszyć onuce na jej plecach. Sława zawsze była związana z niespodziankami. Czekałem na odpowiedź prawie minutę, co trochę kosztowało. W końcu zrozumiała.

- Niech pan przyjedzie, porozmawiamy - usłyszałem.

- No! - „Oj, panie Dyżma, zarazasz pan chamstwem, nie ma co”.

Detektyw spoglądał na mnie z podziwem. Zastraszenie, porwanie i uwięzienie dobrze mi zrobiły. Dopiero teraz stałem się pełnowartościowym reporterem

i wyłazło ze mnie prawdziwe telewizyjne zwierzę.

- Będzie dobrze. - Malicki pokiwał głową, ale nie wiedział jeszcze, że za chwilę zamierzałem w tym kraju posprzątać. Razem z nim.

- Chciałbym dzisiaj przenocować u pana... - Powiedziałem to, naprawdę powiedziałem to. - Mogą mnie znów chcieć uciszyć.

- No tak... - Detektyw rozsmarował na podniebieniu kształt tej propozycji. Oczywiście wyszczerzył zęby. Teraz wypadało, żeby oddał mi swoje łóżko. - Niech pan zostanie.

No i zostałem. Na materacu w gabinecie Malickiego. Z laską po jęgo dziadku pod ręką. Klient płaci - klient ma.

Rozdział szesnasty

Pani Marzena nadchodziła. Z daleka widziałem, że idzie na współpracę, informatorka moja ukochana. Ubrana w zwiewną sukienkę z dekoltem powiadała wszystkim media świata, że jest do wzięcia. Kiedy kilka minut przed ósmą pojawiła się przy drzwiach salonu, pobiegłem z ekipą w jej kierunku i zaczęło się. Przed kilkoma minutami nagrałem krwisty wstęp, a teraz proponowałem widzom tatara w czystej postaci.

- W jaki sposób odmładza pani ludzi nawet o pięćdziesiąt lat? - uderzyłem w struny. Pani Marzena właśnie otwierała drzwi do salonu, uśmiechała się nieszczerze i oswajała z mową własnego ciała. Moja reporterska gitara grała solówkę. W końcu kobieta podjęła wyzwanie i rzekła:

- To przypadek... Po prostu udało mi się zrobić guam, który tak działa...

- Jak działa? - Byliśmy w środku. Pyk światło, szur torebka, myk rączką po włosach i pac na krzeselko. Cudowna gwiazda mojego filmu.

- Nie mam pojęcia - wyznała z rozbajającym uśmiechem. - Kiedy na to wpadłam, zapamiętałam tylko proporcje składników. I tak to idzie...

- Jakie to składniki? - szepnąłem, zachodząc ją od tyłu i wdzięcznie pochylając głowę. Kamera w lekkim ruchu, omiata mnie, omiata moją bohaterkę - stygnie na jej twarzy, wyławia każdy grymas.

- Tego nie mogę powiedzieć - pada odpowiedź, która nakręca mnie jeszcze bardziej.

- Dlaczego? Boi się pani konkurencji? - zadałem idiotyczne pytanie, aby nawet najgłupszy z widzów mnie zrozumiał. Pani Marzena aż obejrzała się w moją stronę i w ten sposób nasze twarze zagrały w „Przeminęło z wiatrem”. Potrzyj noskiem o mój nochal, kochanie, potrzyj, będzie kapitalne ujęcie. Nie potarła, lecz odpowiedziała:

- Doskonale pan wie, że moje odkrycie wydaje się niemożliwe. Co ja mówię? To, co robię, jest niemożliwe...

Żadne prawa fizyki czy jakiejś chemii tego nie znają... Guam działa tak, jakby sam Pan Bóg go wymyślił... - wydusiła z siebie pani Marzena. O to chodziło! Tam, gdzie jest Bóg, tam człowiek odczuwa swoją marność. A ja miałem tu i jedno, i drugie.

- Więc twierdzi pani, że to Bóg pozwolił pani odkryć recepturę guamu i stoi za tym? - Wypowiedziałem się w sposób tak beznadziejny, że aż oparłem się pośladkami o łóżko.

- Nie wiem. - Kobieta spoważniała. - Coś się zwyczajnie stało i od tamtej pory mogę przemieniać ludzi...

Milczałem, czałem się, wywoływałem wilka z lasu, czekałem na ciąg dalszy.

- Ci, którzy mają dojsście i wiedzą, przychodzą do mnie i biorą guam...

- Od kiedy? Długo to trwa? - wrzuciłem do naszego ogródka mały granat.

- Trzy lata - odparła. I znów wygięło mnie w jej stronę.

- Przyznam, że na ulicach tego nie widać... - W tym momencie zwróciłem twarz do kamery i prawie zarżałem: - Bo muszę państwu powiedzieć, że każde przemienienie kończy się niezwykle pięknym wyglądem. Przemienione stare kobiety stają się wyjątkowo atrakcyjnymi młodymi dziewczynami... - I znów buźka do kamery i oko na panią Marzenę. Mój operator z przydziału, pan Krzysiek, z zachwytu o mało nie sprofanował salonu. Wcześniej nie wtajemniczyłem go w szczegóły - zarysowałem tylko temat. Teraz jego racjonalny umysł przedzierał się przez krzaczory reportażu i wył z radości.

- Do tej pory przemieniłam czterdzieści siedem kobiet i trzech mężczyzn - wyznała właścicielka salonu. Zdziwiłem się, ale na szczęście nie byłem w tym osamotniony. Wszyscy wiemy, że Henryk VIII dziwił się aż sześć razy.

- Dziwne, że tak mało mężczyzn chciało się przemienić - wyraziłem otwarcie swój pogląd.

- Z tym jest kłopot - pokiwała głową pani Marzena. - To znaczy z działaniem guamu jest kłopot... Mężczyźni zmieniają się, ale inaczej...

„Mów, kochana, mów, bo dostanę szału” - zagrało mi w duszy.

- Jeden wyszedł nieźle, ale dwóch zachorowało na raka skóry - padły smutne słowa.

- A ten jeden? - Czytałem w myślach widzów.

- Teraz wygląda na trzydzieści lat, ale nie podoba się sobie.

- Takie wyjaśnienie mogło człowieka w stu procentach zdezynfekować. - Jest przystojny, wręcz ładny, ale coś sobie ubzdurał i nie chce w to uwierzyć. Może guam działa na wasz mózg? - zapytała pani Marzena i wymownie zaczęła mi się przyglądać. Domyśliłem się, że chętnie nakręciłaby „Życzenie śmierci ileś tam” z moim udziałem.

Potem nastąpiła dokładna analiza zabiegu. W sam raz pod obrazki z ukrytej kamery. Dochodziła dziewiąta i w każdej chwili mogły pojawić się pierwsze klientki. Musiałem się spieszyć.

- Skąd pani bierze te kobiety? - uządliłem ją w czułe miejsce.

- Współpracuję z pewnymi ludźmi - odparła ostrożnie pani Marzena. - Oni załatwiają te sprawy...

- Ile kosztuje guam?

- Pięćdziesiąt tysięcy złotych. Z kompletem nowych dokumentów...

- Z PESEL-em, z NIP-em? - naparłem z całej siły.

- Tak - przyznała moja rozmówczyni. Teraz mówiła prawie obojętnie i wydawało się, że jej seksapil utonął w barchanowych gaciach. - Ci ludzie mają dojścia i dlatego to tyle kosztuje...

- Są niebezpieczni? - zapytałem ze zgrozą w głosie. Dobrze pamiętałem kilkutygodniowe Szaolin, jakie mi zafundowali.

- Nie wiem. - Kobieta wymigała się od odpowiedzi. Zaczynała mataczyć i zasługiwała na odosobnienie.

- Boi się ich pani? - nie ustępowałem. Nastroszyłem gąsiora i porozumiewawczo łypnąłem w obiektyw kamery. Niech ludzie wiedzą, że czuwam i chcę dla nich dobrze. Najlepiej za gotówkę i od ręki.

- Dzielimy się pieniędzmi po połowie.

- Po dwadzieścia pięć tysięcy złotych? - uściśliłem.

- Tak. To sprawiedliwy podział, jeśli o to panu chodzi...

- To boi się pani, czy nie? - przerwałem.
- A pan by się nie bał? - Odwróciła rolę.
- Bałbym się...
- No właśnie... Gdybym się nie bała, nie byłoby tej rozmowy - stwierdziła cicho. To nic, głos wyciągnie się na montażu, pomyślałem. Musi zabrzmieć jak dzwon Zygmunta. - To przestępcy, ale tylko z nimi mogę prowadzić taki interes. Zgadza się pan ze mną? - Zaskoczyła mnie, a kamera wszystko nagrywała, że tak powiem.

- Legalnie to niemożliwe? - Udałem osła.

- Jak? Wyobraża pan sobie tysiące starych i brzydkich kobiet, które zamieniają się w piękne dziewczyny? Po przemienieniu brakuje jakiegokolwiek podobieństwa... - Pani Marzena zaczynała się rozkręcać. Brakowało tylko rury. Na szczęście klienci w salonie jeszcze nie obrodzili. - Kto by to kontrolował? A co z mężczyznami? Świat pełen samych piękności to jakiś horror... Nie, panie redaktorze, taki numer legalnie nie przejdzie... A wyobraża pan sobie, ile banków by zbankrutowało?

Nie, tego sobie nie mogłem wyobrazić.

- Co pani przez to rozumie?

- Pan jest trochę jak dziecko - zaśmiała mi się w twarz. - Przecież wszystkie kobiety na świecie wzięłyby kredyty i nigdy ich nie spłaciły. Po przemienieniu nikt by ich nie znalazł - wyjaśniła i po raz pierwszy w życiu zobaczyłem węża walutowego. - W tym interesie trzeba mieć wyobraźnię - zakończyła. Niedobrze, akcja filmu siadała. Znów musiałem przejąć inicjatywę.

- Pięćdziesiąt tysięcy to dla pani dużo? - upewniłem się.

- Mało. To bardzo mało - usłyszałem tuż przy uchu. Pani Marzena pochyliła się. Powracała jej kokieteria, a nóżki w pantofelkach robiły fiku-miku. Też uważałem, że to mało, ale musiałem udawać zwykłego obywatela.

- Zarobiła pani do tej pory milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy, tak? Bez podatku, prawda? - Powiedzmy, że wyliczyłem sobie to wszystko z czystej zawiści.

- Bez - odpowiedziała z uśmiechem pani Marzena. - Co do

pieniędzy, to trzymam je na hasło w dwóch zagranicznych bankach - dopowiedziała. -

I łamię prawo... - przerwała, po czym bardzo efektownie spuentowała: - Bo mam je gdzieś, panie redaktorze. Podatki płacę z mojej normalnej działalności. Co do grosza. Guam to zupełnie co innego... - podsumowała beczelnie.

Drzwi otworzyły się i pojawiła się pierwsza klientka. Nawet ładna, chociaż źle ubrana. Typ sportsmenki o wdzięku buraka cukrowego. Prawdziwa kobieta sukcesu. Zawahała się, Handzia zimna, po czym podjęła decyzję za nas wszystkich:

- Oj, widzę, pani Marzeno, że dzisiaj nic z mojej maseczki...

Kamera udaje, że dryfuje. Czekamy.

- Nie, nie, pani Nino, panowie już skończyli, prawda? - To było do mnie. Kamera ruszyła na wszelki wypadek. Pan Krzysio znał swój fach.

- Tak, na dzisiaj wystarczy. - Uznałem, że miły nastrój prysł i nigdy już nie powróci. - Czy pani współnik zgodzi się na nagranie? - zapytałem oględnie, mając na myśli przystojnego bandziora, który w ciągu ostatnich kilku miesięcy straszyl mnie, kiedy chciał.

- Niestety, ale nie zgodził się. - Pani Marzena odpowiadała półgębkiem i układała klientkę na łóżku. - Wie, że ja udzielam wywiadu - dodała z efektowną artykulacją na „ostatni rząd”. Wiadomo, klientka na łóżku usłyszy i doceni. Podała mi kopertę, którą wyjęła z torebki. - To adresy i telefony do tych pięciu kobiet... Trzy pan już zna, pozostałe dwie zgodziły się...

- Skąd ta nagła zmiana? Nie chciały, a teraz chcą? - Poruszyłem nogami jakbym szukał pod stołem jej łydki.

- Ma im to pomóc w znalezieniu pracy - wyjaśniła pani Marzena. Tak, to był argument, który prezydenta Waszyngtona zamienił w banknot. Nasze wyjście z salonu zajęło tylko chwilę. Znow byliśmy czwartą władzą - matką głupich.

Rozdział siedemnasty

Nadwiślański brzeg sprawił, że nagranie przebiegało w rodzinnej atmosferze. Joanna Lizucka odsłaniała swoje tajemnice z dokładnością księgowego. Siedzieliśmy na ławce, szliśmy wzdłuż Wisły, zatrzymywaliśmy się koło krzaków i drzew. Rozmaitość ujęć kamery mogła przyprawić o zawrót głowy. Operator, pan Krzysio, filmował tradycyjnie, czyli bez przysiadów, pompek, szpagatów i burzy na morzu. Było nas widać, co na kursach kamerzystów uznawano za garnitur szyty na miarę. Moja rozmówczyni wyglądała zbyt pięknie, żeby zwykły człowiek utrzymał zęza na wodzy. Jej biała bluzka raz po raz odchylała się i ukazywała przyczynę wszelkiego grzechu. Nogom na wysokim obcasie brakowało tylko adnotacji: „lepiej już było”. I te włosy... W czasie nagrania kiziały mi twarz, pachniały i wykręcały ręce jak reumatyzm. Do tego dochodziły oczy, policzki i usta - kopalnia tematów w kolumbijskich serialach. Działanie guamu przypominało w tym momencie obietnicę szatana. Przeraziłem się, że jeżeli wszystkie rozmowy z przemienionymi kobietami będą tak ciężkie, to zacznę rozmawiać w przepasce na oczach, a mój film rozślawi się tytułem „Chuć”. A nie z tym chciałem wyjść do ludzi.

- Miałam czterech mężów i pięcioro dzieci - dopaliła na wstępie Joanna Lizucka. Tyson nie mógł lepiej trafić. - Za każdym razem odchodziłam nagle, ale dziećmi się interesowałam...

- Odwiedzała je pani? - zapytałem, mrużąc oczy aż do utraty widzenia.

- Odwiedzam je anonimowo - wyjaśniła Joanna Lizucka i zapaliła papierosa. - Czasami podchodzę, rozmawiam, daję jakiś drobiazg... Wie pan, kobiecie trudno rozstać się z własnymi dziećmi...

- Kto je utrzymywał? - Temat dostatku musi się pojawić w każdym dobrym reportażu.

- Mężowie - odparła cicho. - Trzech ostatnich to bardzo bogaci ludzie. Pierwszy był raczej biedny...

Ładnie powiedziane, kochanie - „raczej biedny”. Czy to znaczy, że wcinał obierki, czy już był przy lizakach?

Ruszyliśmy przed siebie. Ona kołysała bioderkami, potrząsała wielogrzywiem, a ja zadawałem kolejne pytania. Pan Krzysio jechał na wózku, który ciągnął kierowca, pan Mirek. O dźwięk miałem się nie martwić, ale się martwiłem.

-1 co się stało z tym biednym mężem i z dzieckiem? - zagailem miło. Jeżeli powie, że mąż skończył w przytułku, a pierworodny w domu dziecka, będzie jak trzeba. Jury oszaleje z zachwyty.

- Zaraz po przemienieniu zatrudniłam się w banku - wyjaśniła pani Joanna. Chyba nie zrozumiała pytania. - I ukradłam sto tysięcy dolarów.

- Tak zwyczajnie?

- Z tamtą pierwszą urodą nie miałam przeszkód. Prezes od razu mianował mnie kierowniczką działu.

Wie pan, chciał czegoś więcej, a ja mu to obiecałam... - Opowieść zaczynała się ślicznie układać. Świat uzależniony był od urody, że tak powiem. - Kiedy zabrałam pieniądze, wkradłam się do mieszkania, napisałam list i zostawiłam im pięćdziesiąt tysięcy na życie. Trochę musiałam pokombinować... List niby był w szufladzie z prezerwatywami, a dolary w butach zimowych. Wiedziałam, że mąż w końcu przyprowadzi jakąś kobietę

i otworzy tę szufladę...

- Otworzył? - zapiałem.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się do mnie, ale nie było mi do śmiechu. - Po pół roku zobaczyłam, że kupił samochód i zmienił mieszkanie. Nie jestem taka zła. O, a tak wyglądałam przed pierwszym przemienieniem...

Pokazała mi zdjęcie mniej więcej trzydziestopięcioletniej kobiety z wyraźnie udupionym wzrostem i rysami kołchoźnicy. Pod prawie ludową sukienką widać było potężne wzdęcie brzucha, wiszące do pasa cycuchy i siedzenie, którego nie powstydzilby się zawodnik sumo. Równie dobrze można było ożenić się z beczką po kapuście.

- A skąd pieniądze na guam? - wycodziłem z odzieniem

niechęci. Piękno Joanny Lizuckiej prawie przestało mnie boleć. W oczach miałem prototyp.

- Też ukradłam. - Odpowiedź wydawała się naturalna. - Pracowałam dość długo, żeby dochrapać się zaufania... Poza tym sprzątałam u takiej jednej bogaczki i zabrałam jej trochę biżuterii. Nie wszystko, tylko tyle, ile potrzebowałam na guam.

Potem obejrzałem jeszcze trzy kolejne wersje po przemienieniach, podziwiałem dzieci i mężów, dowiadywałem się o kolejnych kradzieżach. Joanna Lizucka opowiadała mi to z pasją i bez poczucia winy. Cóż, fajna laska nie biegnie przez życie na golaska. Nie muszę mówić, że każde przemienienie było inne, ale uroda pozostawała. Powiedziałbym, że dojrzewała. Wersja „Joanna Lizucka” była chyba najlepsza, ale przestała na mnie działać.

Kiedy skończyliśmy nagranie, moja bohaterka spojrzała mi w twarz zimnym wzrokiem i szepnęła:

- Jest pan złym człowiekiem. Nie pozwala pan ludziom żyć po swojemu i wyciąga brudy. Nie obchodzą pana moje dzieci, moi mężowie, ich żony i inne dzieci... Ślinił się pan do mnie, ale ja nie mogę na pana patrzeć. Gdyby nie sytuacja i moje nowe plany, nie zgodziłabym się na to...

- Jakie plany? - mruknąłem z irytacją. Poza kamerą jeszcze bardziej mnie brzydziła, fałszywka jedna.

- Chcę zostać sławną na świecie modelką - odparła całkiem skromnie. Mimo wieku miała szansę. Ba, była pewniakiem. Sprawdziłem, że siłą przyciągania mogła konkurować z jądrem Ziemi.

Cztery godziny później w restauracji „Chianti” nagrałem rozmowę z Barbarą Szopą, którą zapamiętałem jako skrzyżowanie harpii ze szkołą biznesu. Znów to porażające piękno i na dodatek polarne serce. Usiedliśmy niby sami, przyzwyczailiśmy się do intymności światła, siorbnęliśmy po drinku i przystąpiliśmy do rzeczy. Świece, włoskie jedzenie i przyciszona muzyczka w tle rodziły nastrój w sam raz dla pracowni badań opinii publicznej. Pan Krzysio umieścił kamerę na statywie i najzwyczajniej w świecie panoramował: raz ja, raz ona, raz ja, raz ona... Coś niesamowitego. No i

współczesny aktyw w pobliżu - niby żują te swoje makarony, a ślepiami myk, myk na nas. W takiej sytuacji, oczywiście, komórkę miałem wyłączone.

- Ile pani miała lat, kiedy zdecydowała się na guam? - zacząłem konkretnie, bo inaczej Barbara Szopa mogłaby chcieć przeprowadzić wywiad sama ze sobą.

- Siedemdziesiąt dwa - odpowiedziała, a ja poczułem, że nigdy już nie będę tak twardy jak klamka. Mało tego, ta cholerna babcia pokazała mi zdjęcie. Czego można oczekiwać od staruszki w chustce łowickiej na głowie i w gumowcach? Tacy goście jak ja, wychuchani przez mamusie i teletubisie, źle znosili depresje.

- Chce mi pani powiedzieć, że ma pani przeszło siedemdziesiąt lat? - wzmocniłem retorycznie efekt szoku. Widz miał prawo opuścić koparę aż do podłogi.

- No właśnie. - Zaśmiała się wrednie, co nie oznaczało, że przestała być seksiarą. Jej zgrabne paluszki wykonywały kabaretowy taniec na kieliszku z winem. Palce babci na zdjęciu przypominały fragmenty podkowy. Zwyczajne spracowane ręce wiejskiej kobiety. Kontrast nie do zniesienia. - Dzisiaj mam osiemdziesiąt trzy lata, jeśli chodzi o ścisłość... - zaorała mnie do końca. W tym momencie zareagowałem przytomnie; zatelefonowałem do pani Marzeny. Mój dźwiękowiec, pan Henio, był na to przygotowany. Aż mu grzdyl chodził z radości.

- Oszukała mnie pani - zacząłem ostro. - Nie kładzie pani guamu od co najmniej dziesięciu lat... Joanna Lizucka miała czterech mężów, pięcioro dzieci...

- Ciekawa byłam, czy pan na to wpadnie - odpowiedziała z rozbijającą szczerością pani Marzena. - Nie ma to jak małe kłamstewko... A co u pana? Jak film? - wyłamała się z konwencji klótni.

- Dlaczego pani kłamała? - Za wszelką cenę musiałem podtrzymać tę ciężę.

- Bo chciałam - odpowiedziała bezczelnie. Prawdziwa bomba atomowa. Odłożyła słuchawkę, a ja odwróciłem się po amerykańsku do kamery.

-I w ten oto sposób na państwa oczach wyjaśniamy

największą tajemnicę współczesnej nauki, tajemnicę guamu i jego cudownego oddziaływania. Kim są przemienione kobiety, kim jest siedząca teraz ze mną Barbara Szopa...

- Prowadzę firmę meblarską - wtrąciła ni z gruchy, ni z pietruchy moja bohaterka. Co było robić? Wróciłem do niej.

- Produkuje pani meble? - upewniłem się, ale świtało mi w głowie, że na montażu to nudziarstwo wyrzucę. Meble, to dopiero akt erekcyjny!

- Oczywiście i to te najlepsze. - Pani Szopa ćwiczyła chyba przed lustrem. - Czy ja przypadkiem nie siedzę krzywo? Może by pan postawił tę kamerę trochę z boku... Mój lewy profil jest o wiele ciekawszy... - O tak, ta cholerna strzyga musiała być co najmniej po trzech castingach.

Nie zareagowałem, ale pan Krzysio prawie podrapał się po pośladkach. Chamstwo za chamstwo, mówiło jego spojrzenie. Pan Henio ze słuchawkami na uszach rzucił w moim kierunku spojrzenie w typie „wolę brzydkie, a ludzkie”.

- Ma pani dzieci? - zapytałem niewinnie.

- Dwoje. I czworo wnucząt. - Jej uszminkowane „bardotki” powiedziały to bez żadnego uczucia. Nie dziwiłem się. Sam chciałem zapomnieć, że idą młodzi. - Nie kontaktujemy się, oczywiście, ale wiem, co u nich słyhać - dodała. - Widzi pan, ja odeszłam jako prosta kobieta, a teraz jestem po studiach, pracuję i zamierzam osiągnąć coś więcej...

- Żadnych uczuć? - rzuciłem pytanie w stylu: „A co państwo myślą o kotletach mielonych?”. - A wyrzuty sumienia? Wobec męża, dzieci... Nie tęskni pani za rodziną?

- Czasami o nich myślę, ale otrzymałam swoją szansę i nie mam zamiaru rezygnować. Czy pan myśli, że każda kobieta wyżywa się przy garach i w pieluchach? Mój mąż był tyranem i o wszystkim chciał decydować... Nadarzyła się okazja i zrobiłam to. Dawał sobie świetnie radę beze mnie - zakończyła radosnym „pa”. To miłe, kiedy ktoś tak ładnie się wysławia.

- A skąd wzięła pani pieniądze na guam?

- Po ojcu. Mama sprzedała ziemię na działki i dała mi moją część - wyjaśniła. - Dlatego niektórzy do dzisiaj myślą, że zostałam zamordowana dla pieniędzy. Jestem w spisie

zaginionych...

- Najważniejsze marzenie? - podrzuciłem kolejne wywoławcze pytanie. „Pewnie łysy pies w wiklinowym koszyku i facet w formie kaptura przy łóżku” - pomyślałem złośliwie.

- Sukces jako modelka - wykrzyczała mi to w twarz. - Ze wszystkimi przyjemnościami, jakie tylko są na tym świecie. Niech pan przesunie tę lampę, bo makijaż mi się rozplynie - poleciła nagle panu Krzysiowi. Mój kamerzysta wykonał polecenie prawie odruchowo. Uosobienie spokoju. Mógłby spowiadać. - Czy to wszystko?

- Nie boi się pani śmierci? Tego, kim będzie potem? - Wzbiłem się w powietrze. Tak wyglądały wyżyny głębokiego dziennikarstwa.

- Nie jestem wierząca - skwitowała moje starania czymś w rodzaju piątki z wufu. - I muszę już iść. Poza tym nie lubię pana i udzielam wywiadu, bo mam w tym interes - wygarnęła w końcu prawdę. „A więc żegnaj, lalczko, i nie zapominaj o chorobach wenerycznych”. Koniec nagrania.

Rozdział osiemnasty

Są dni, kiedy człowieka wożą i nie musi za to płacić. Dla mnie nadeszły. Jechałem telewizyjnym busem nakręcić kolejne zdjęcia. Morda mi się ślinała z zadowolenia, jak psu. Byłem pewien, że mój reportaż stanie się największym odkryciem człowieka w XXI wieku. Już wkrótce hasło „Artur Brandt” zaludni wszystkie encyklopedie świata. Powiedziałem ekipie, co mam zamiar nakręcić, i nasiąkałem gazetami. Moja wiara w ludzi krzepła, kiedy czytałem, że jakaś wybranka redakcji „chce być uczciwa”, a para zagranicznych aktorów „wie- lozerowych” opowiadała każdemu o swojej miłości. To nieprawdopodobnie ciekawe tematy. Omdlewam z rozkoszy. Wynikało z tego, że chcieć być uczciwym w dzisiejszym świecie, to tak, jak polować na lisa pod kołdrą, a publiczne dzielenie się informacjami o własnej miłości staje się dzięki ruchowi bioder Dekalogiem. Natrafiam na moje ukochane telewizyjne danie-, „ulubieniec lub ulubienica widzów”. Tym razem chodzi o prezytera. Dowiedziałem się, że tak ich lubię, iż ledwie dycham.

Niestety, nie mogę dalej rosnąć w tej prawdzie, bo dojeżdżamy do salonu pani Marzeny. Małe przemebrowanie i po chwili znów jadę, nie płacąc za to ani centa. Kieruje pani Marzena, kamerzysta siedzi obok niej, a ja z dźwiękowcem z tyłu. Samochód, aby zachować realizm, należy do naszej bohaterki. Ona, jak zwykle, przypomina Kleopatę, chociaż wszyscy wiemy, że mogłoby być lepiej. I to właśnie chcę porużyć. Wprost, bez litości, z poczuciem misji i gmera- niem w cierpieniu.

- Czy pani także korzystała z guamu? - wyprowadzam cios.

- Oczywiście, ale w moim przypadku zmieniałam proporcje - zaczęła zupełnie przyzwoicie pani Marzena. Fajnie wyglądała, kiedy tak kręciła kierownicą. - Nie chciałam tracić rodziny i przyjaciół. Już pan wie, panie redaktorze, że większość przemienionych kobiet całkowicie odcina się od przeszłości. Ja kocham męża, moje dzieci... - zaśpiewała zgodnie z oczekiwaniami milionów uczciwych ludzi. Robiło się gorąco. -

Musi pan wiedzieć, że rozrzedzony, lekki guam koryguje wiek, ale nie traci pan całkowicie swojego naturalnego wyglądu...

- To znaczy, że ja też mogę sobie zrobić ten, jak pani powiedziała, lekki guam? - przerwałem naprawdę brutalnie. Parafrazując wypowiedź pewnego bogatego pana z zagranicy, zachowałem się tak, jakbym „tęsknił za schabowym”. Pani Marzena obejrzała się, czym wprowadziła do filmu wyszukany efekt artystyczny. Oceniała, zgaga, moją twarz i dawaj jechać po całości.

- Mówiłam już panu, że moglibyśmy zregenerować trochę skórę na twarzy. - Cofnęła się w czasie do naszego pierwszego spotkania. - Nie chcę pana czarować, ale guam by panu bardzo pomógł. Miałby pan nową, młodszą twarz. Można powiedzieć, że byłby pan ten sam i zarazem nie ten sam... - podkreśliła, patrząc na mnie w lusterku. Oczywiście dałem się zaszczepić.

Miała mnie, chwyciła z siłą strongmana i nie mogłem się wyrwać. Chciałem być piękny. Chciałem tego całą moją brzydką gębą. Mimo powodzenia u kobiet i spełnienia oczekiwań mamusi, chciałem tego. Mój cynizm odbierał właśnie depezę o podłożeniu ładunku nuklearnego. Za blisko, żeby wiać. Pani Marzena wiedziała, co się święci.

- Mówiła pani, że na mężczyzn guam źle działa - zauważyłem resztkami rozsądku. Dostrzegłem też, że pan Krzysio usprawnił teorię Darwina - jedno oko patrzyło w wizjer kamery, drugie w dół, na kolana pani Marzeny. Była w szortach, które wcale nie kojarzyły mi się z kortami i wakacjami.

- Guam lekki nie szkodzi nikomu - padła odpowiedź, za którą większość intelektualistów dałaby sobie obciąć baki.

- A co ze śmiercią? - Zepsułem dobry nastrój i wyszczerzyłem zęby.

- Nie rozumiem pytania - odpowiedziała, robiąc już trzecią rundkę wokół centrum. Musiała - ten film miał się oglądać.

- Chodzi o to, czy przemienieni ludzie umierają zgodnie ze swoim biologicznym wiekiem, czy też guam przywraca im młodość? - Za takie pytania ojcowie Kościoła głaskali kiedyś po głowie.

- Nie wiem.

„No to mam cię, stara! Okazało się, że guam żył jednak własnym życiem”.

- Nikt jeszcze nie umarł, a kiedyś przyszła nawet klientka w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Pamiętam, że ledwo się wtoczyła do zakładu... Myślałam, że przyszła do mnie umrzeć. Według mnie guam odmładza stare komórki i regeneruje organizm. Gdyby pan zobaczył tę staruszkę po przemienieniu, od razu by się pan zakochał... - Pani Marzena nadepnęła mi na poczucie winy. Świat miał starych kawalerów za nic.

- I ufa pani swoim klientkom?

- Nie mam wyjścia. One zresztą też nie mają. - Rezolutność mojej rozmówczyni radowała mi serce. Mogła przecież nic nie mówić. - Wiedzą, że muszą zachować tajemnicę, bo grozi im kara więzienia albo coś gorszego. Ze strachu lepiej myślą. Zanim kogoś polecą, długo sprawdzają... Wie pan, panie redaktorze, podstawową sprawą są pieniądze...

- Sama pani mówiła, że można wziąć kredyt - wtrąciłem.

- Mówiłam też, że trzeba uważać, bo łatwo rozwalić system - odparła. - Co za dużo, to niezdrowo... - Powiedzmy, że tym pouczeniem włożyła mi do tyłka pogrzbacz, za przeproszeniem. Matka chrzestna systemu bankowego, psia ją mać.

Zakręt, skrzyżowanie, światła, rzut oka na forda obok i volvo z przodu, smykem po lusterkach i jazda, nóżka w dół, nóżka w górę. A nam robota pali się w rękach. Puściłem oko do dźwiękowca, pana Henia, żeby nie czuł się osamotniony. Dobry szef dba o ludzi i zawsze daje im znaki, że jest z nimi. To właśnie był jeden z takich znaków.

- A skąd w tym wszystkim ten bandyta?

- Jaki bandyta? - W ten sposób reaguje ktoś, komu nie wypłacono pensji.

- Ten, który mnie straszył - odparłem. - Ten, który pani pilnuje i ma wszystko na oku... Załatwia dokumenty, sprawdza i czasami poleca klientki...

- Mówiłam już, że mogę ufać tylko pewnym ludziom...

- Bandytom - wtrąciłem, żeby widział, gdzie jest

dobro, a gdzie zło.

- To tylko słowo, panie redaktorze - uspokoiła mnie pani Marzena. - Gdyby na bandytę ludzie mówili chomik, to nie lubiłby pan chomików - wycedziła z błyskiem w oczach. Tej babie Arystoteles mógłby napuszczać wodę do wanny, taki miała łeb.

Zadzwoił telefon. Odebrała, pokiwała głową, mruknęła coś i przyspieszyła. To był sygnał, że kartofle się dogotowały, a telewizja to same łachudry. Po chwili byliśmy przed drzwiami salonu. Bye, bye, i tyle ją widziałem. Dobrze, że zdążyliśmy wysiąść. Nie wiem dlaczego, ale przypomniła mi się kobieta z niebieskiego subaru. Tajemnicza nieznajoma. Nagle poczułem dreszcz, którym rozpoczynały się wszystkie wesela świata. Mogłem mieć tylko nadzieję, że jej subaru nigdy się nie zepsuje i będzie szczęśliwa. Usłyszałem własne westchnienie, co oznaczało, że mam zadatki na psa łańcuchowego.

Czekał na mnie jeszcze jeden miły temat - Magda Kaszubska, moja kochanka. Miałem się dowiedzieć, czy garnek, w którym kilka razy gotowałem, nie był przypadkiem zabytkowy. Z całym szacunkiem, ale trudno się przyzwyczaić do spania z cmentarzem. Wiadomo jednak, że oczy widzą jedno, głowa myśli drugie, a Pan Hydraulik i tak robi swoje.

Odczekaliśmy do pierwszej gwiazdki i ognia. W tym przypadku postanowiłem zagrać symbolami i nagrywaliśmy na starym przedwojennym podwórku. Syf - to naprawdę nie było odpowiednie słowo, żeby w pełni oddać charakter tej scenografii. Takiego słowa jeszcze nie wymyślono. Wokoło widać było tylko popękane cegły, dziurawe ściany, zardzewiałe żelastwo, błoto aż po pachy i trzepak. Oto królestwo denaturatu i osób nieustosunkowanych. Tam właśnie ustawiliśmy się z kamerą. W oknach i w pobliżu z szacunkiem ukazało się kilkanaście głów. „EEG przybywaj i badaj tych świadków, badaj”. Magda Kaszubska ustawiła się na tle drzwi do klatki schodowej i napisu na murze: „Praga Pany”. Niech tak zostanie. Światło, ekran, próba mikrofonu i startujemy. Na początek z okrzykiem jakiegoś anatoma:

- Ch... se nakręćcie!

Nie nakręcamy, ale wiemy o co chodzi. Magda nawet w długim płaszczu wywołuje w tej dzielnicy romantyczne skojarzenia. Powiedziałbym, że leczy swoim widokiem utrapienia. Niektóre kobiety w oknach wydają się dzięki temu świadomym elektoratem wyborczym. Zadaję pytania zza kamery, każę zacieśnić plan, wydobywam z mojej bohaterki prawie namacalną cielesność. To zakamuflowana odpowiedź na pytanie: dlaczego się przemieniają? Magda obserwuje mnie uważnie i wiem, o czym myśli. Boję się oddychać, bo uzna, że powiedziałem „tak”. Nie daję jej czasu na dwa tysiące trzecie uszminkowanie i zaczynam nagranie.

- Kim pani była przed położeniem guamu? - Jestem oficjalny i życzliwy.

- prostytutką - odpowiada, a mnie natychmiast chce się poprosić miejscowych o kopniaka w organ. - Pracowałam na ulicy.

- Dlaczego? - Muszę się uspokoić, odsunąć pewność, że kształty tej kobiety są mi znane równie dobrze jak moje własne. Całe szczęście, że kamera mnie nie widzi.

- Byłam brzydka, po pięćdziesiątce, mąż mnie rzucił dla innej, dzieci wylądowały w domu dziecka. - To nie była wypowiedź, to był rasowy hip-hop. Kazałem jej pamiętać o zdjęciach, no i udało się. Wyjęła je z torebki i podsunęła pod obiektyw kamery. O to też wcześniej prosiłem.

- Czy długo pani uprawiała swój zawód? - zapytałem, z nadzieją chwytając się brzytwy.

- Od piętnastego roku życia. Zaczęłam jeszcze w szkole - wyjaśniła Magda. - W szatni za plastikową bransoletkę z namalowanymi biedronkami... On nazywał się Feliks - domknęła przepustnicę i mój motorek stanął. Patrzyłem na nią i nie mogłem uwierzyć, że jest tak nieprawdopodobnie ładna. Ze zdjęcia patrzyła na mnie blada wywłoka w szpilkach, z krzywym nosem i ustami wąskimi jak okładka książki. Dziewczyna Feliksa.

- Co się stało z pani nosem?

- Klient mi przywalił i tak już zostało - skostatowała jakby to była bajka. Zaśmiałem się, żeby program miał jaja i

ciągnąłem dalej.

- Ile razy się pani przemieniała?

- Raz, tylko raz - wyznała. „Cholera jasna - chciało mi się krzyżeć z wściekłości. - Doktora!” Od przeszłości dzielił mnie tylko jeden guam, o jeden guam za blisko. Pani Wenera kłaniała mi się w pas i nie było przebaczenia. I te oczy... Widać było, że od zakochania dzieli ją tylko jeden krok, a ja byłem najbliżej.

- A dlaczego zgodziła się pani na to nagranie? - zacytowałem sam siebie.

- Sława - odparła z figlarnym błyskiem w oczach. - Chcę być sławna i znaleźć bogatego męża... - Ulżyło mi. A zatem zostałem przez nią użyty i - jak mówią Rosjanie - chwattit.

- Po co pani bogaty mąż? - Pytanie godne poety.

- Chcę sobie wygodnie pożyć - roześmiała mi się w twarz. - Myślę, że każdy mnie dobrze rozumie.

- A miłość, uczucie?

- Byłam już zakochana w swoim życiu i wiem, jak to jest - wyjaśniła. - Miłość jest towarem jednorazowego użytku... I krótko trwa. Może się powtarzać, ale bez forszy bardziej człowieka uwiera niż cieszy - dokończyła, a ja pomyślałem, że chyba skłamała.

- Nie brzydziłaby się pani jakiegoś starucha? - wywołałem słowo, które w domach przyzwoitych ludzi dawno umarło.

- Znam różne sztuczki i na pewno byłoby nam dobrze - ucieła. - Mam cel, mam wszystko, a potem dziedzicę... Życie jest za krótkie, żeby zakochiwać się w jakimś golasie. Co, będziemy zbierać na mieszkanie, pralkę, telewizor albo wózek dla dziecka? Rzygać mi się chce, kiedy to sobie wyobrażę... - I tak oto kawałek prawdy o kobiecej duszy znalazł się w filmie. Co za podwórko! Naprawdę dowala do pieca.

Po zdjęciach oddaliliśmy się w grupie do samochodów. Ekipa do telewizyjnego busa, Magda do swojej dekawki. Już myślałem, że uda mi się zapomnieć o nagraniu, kiedy poczułem, że ktoś bierze mnie pod rękę i ciągnik w bok. Nadszedł czas prawdy.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - Głos Magdy zdradzał położenie miodu. „Nie dzisiaj, błagam, nie dzisiaj”.

- A co chciałybyś usłyszeć? - uśmiechnąłem się, ale tylko na niby.

- Myślałam, że coś nas łączy - szepnęła „rozważnie i romantycznie”. - Było przyjemnie... Nagle przestałeś przyjeżdżać... Nie wiem, co się stało.

- Praca - odparłem. - Muszę zrobić ten film. Sama wiesz, że to najlepszy temat na świecie. Od tego wszystko zależy...

- My też? - posłała mi lekko podkreśloną piłkę. Taką, żeby nie uszkodzić zgryzu. „Jakie my?” Poczuliśmy się osaczony jak angielski lis.

- Nie ma nas, Magda - uciałem. - Jesteśmy dorośli i dobrze wiemy, kiedy coś się zaczyna i kiedy kończy. I nie jest to kwestia uczuć... To... - zawahałem się, bo nic mądrego nie miałem do powiedzenia, a coś trzeba było powiedzieć. - Chodzi o priorytety - walnąłem z irytacją. - Dla mnie najważniejsza jest moja praca. Żadna kobieta, nawet moja mama, nie wygrała z moimi zainteresowaniami... Tak już mam.

Staliśmy koło jej samochodu. Mrok, latarnia, miejscowi snuje i nasze smętne miłosne rozliczenie. Typowy przeterminowany bobofrut. Zamiast do zlewu, lał się nam w gardziele. Magda zrobiła te swoje wielkie oczy, poprawiła bluzkę, żeby przypadkiem nie zapomniał, co tam miała i zarzuciła hak. Gdyby nie jej zdjęcie sprzed przemienienia, orzeł pewnie by wylądował. Mój kierowca mrugnął światłami, że zbliża się pora dobranocki.

- O, muszę iść - uciałem i pobiegłem w stronę busa. - Dzięki za nagranie... - Udało się. Została na miejscu. Sto lat samotności przede mną.

Rozdział dziewiętnasty

Telefony załatwiłem w nocy. Odsluchiwałem pocztę przez dobre pół godziny. Producenci, Czomski, podinspektor Wrona, kilka aktorek, dwóch aktorów, trzech reżyserów, kierownik redakcji teatralnej, sekretarka prezesa i oczywiście mama. Potrzebowałem tej transfuzji.

I oto otwieram oczy, nie słyszę budzika, po czym zastanawiam się, kogo widzę. Mama. Stoi sobie nade mną i czeka. Wybudzam się natychmiast, siadam na łóżku i mam nadzieję, że w końcu zlikwidowano podatki. Jest jeszcze lepiej. Mama trzyma w rękach tacę z kawą i francuskimi rogalikami. Uśmiecha się jakbym miał urodziny. „Za dużo tego dobrego” - błąk przelatuje mi przez głowę.

- Jak się czujesz? - Mama wymyśla takie pytania na poczekaniu.

- Dobrze, ale co ty tutaj robisz? - Przemówiła moja polska gościnność. - Zaraz jadę na zdjęcia...

- Nie na zdjęcia, tylko na badania - poprawia mnie mama. - Zapomniałeś, co mi obiecałeś? - dorzuca. O nie, nigdy tego nie zapomnę. Raz w roku miałem sobie robić wszystkie badania. Od dobrych paru lat czułem się tak zbadany, że miałem wyrzuty sumienia wobec niezbadanych. Fakt, że badałem się za własne pieniądze. Społeczną służbę zdrowia zostawiałem sobie na grubsze krojenie.

- To dzisiaj - stwierdziłem odpowiedzialnie. W minutę połknąłem na siedząco rogalik i wypilem kawę ze śmietanką. Potem wstałem do łazienki. - A zdjęcia? - spróbowałem szarpnąć cugle, ale nie tędy droga.

- O trzynastej - poinformowała mnie mama. Usiadła w fotelu, sięgnęła po filiżankę z kawą i cieszyła się moim widokiem. Wszyscy nasi sąsiedzi od urodzenia wiedzieli, że jestem „udany”. Cokolwiek by to miało znaczyć. Inne dzieci nie były tak udane, to jasne.

- Jest dziesiąta, więc pospiesz się. Pojadę z tobą.

- Dam sobie radę, mamó. - Jeden wysiłek więcej i może się

uda. Żyły wychodzą mi na szyi.

- Od razu będę wiedziała, czy mam zacząć odkładać na lekarstwa - zażartowała mama. - Ania cię pozdrawia... - „Świetnie - myślę sobie - ludzie powinni o tym pamiętać”.

Badania wypadły rewelacyjnie. Jak na mój wiek, dodała mama. Ledwo zdążyłem na zdjęcia. Pan Krzysio skinął dłonią na powitanie, a pozostali leniwie poruszyli brodami. I co ta wódka robiła z ludźmi? Do biegu, gotowi, start! „Z drogi, ludzie, bo film dla was robimy. Szykujcie łby, bo trzeba będzie pomyśleć”. Byłem w wyjątkowo dobrym nastroju, a w Polsce prawie się to nie zdarzało. Na początek miałem nagrać rozmowę z Hanną Rucką, czwartą przemienioną, a na koniec pięć krótkich wypowiedzi profesorów genetyki, biologii, chemii, teologii i etyki. Chłopaki z tytułami mieli na zbliżeniach pokazać swoje wory pod oczami i skórę na policzkach w randze szeregowego. Każdy z nich gotował się do mówienia i o to chodziło. Skrytykują, zbesztają, ośmieszają, naplują, a ja pokażę, że dopadła ich jesień. Potem, po emisji filmu, w studiu, zajrzę im w oczy. Ja, Artur Brandt - kobra mocnego reportażu. Satysfakcja dla wszystkich korasów świata. „Hej, wy, matoly, od dziś możecie mówić wszystko. Nauka umarła, rechu, rechu... Cesarz Fuck You mianuje nowego ministra wojny”.

No i miałem problem. Panna Hania Rucka zaprosiła nas na stadion, gdzie miała zwyczaj biegać. Gorzej, że chciała ze mną rozmawiać właśnie w biegu. Że to niby tak sobie gadamy, a mocne łydki nas niosą. Założyła obcisłe szorty i jeszcze bardziej obcisłą koszulkę, której nie wystarczyło do pępka. O staniku nie było co marzyć, mimo widoczności „the best”. Hania, jak wszystkie przemienione kobiety, przypominała idealną matrycę Pana Boga. Szkoda tylko, że model nie wszedł do produkcji masowej. Podarowała mi szorty, koszulkę i adidas, po czym zaczęła się rozciągać. Moja ekipa odżyła - wpływ kultury fizycznej był namacalny. Przebrałem się, pokicałem trochę w miejscu, pozwoliłem się Hani obejrzeć i... hajda do roboty. Samochód jechał alejką blisko stadionu, a my biegliśmy ramię w ramię. Teleporty trzepały nam się przy gaciach, ale dźwięk nie wymagał korekty. Musiałem się sprężyć, dopóki mój oddech

nie denerwował dźwiękowca.

- Liczba pani przemienień? - zacząłem.

- Dwa - odparła panna Hania.

- W jakim wieku pierwsze?

- Osiemdziesięciu jeden lat.

- Mąż, rodzina, dzieci? - nalegałem. I wtedy mnie przeorała.

- Jaka rodzina? Jestem lesbijką - zaśmiało się moje szczęście. Temat niepewny, ale przyszłościowy, jak mawiał woźny w mojej podstawówce.

- To po co te zmiany, skoro nie uciekała pani przed mężem i dziećmi? - zapytałem, świadomie się deklasując.

- A przed partnerką nie można uciekać? - zaśmiała się panna Hania i przyspieszyła. Samochód też, a ja zostałem trochę z tyłu. Dech mi się kończył. Ciekawy egzemplarz, pomyślałem z satysfakcją. Korzyść dla filmu. Pojawienie się tego motywu sprawi, że nagrody z Brukseli i Nowego Jorku będą w zasięgu ręki.

- Ma pani swoje dawne zdjęcia?

- Dobiegniemy do szatni i pokażę panu - zawołała, odwracając głowę. I stało się. Pokazała. Ta pierwsza, babunia przed przemienieniem, jak zwykle wołała o zapomogę. Druga była doskonała. Z łatwością mogła leczyć zbyt niskie ciśnienie. Trzecią miałem przed sobą. Opierałem się rękami o kolana i czekałem na swój pierwszy zawał. Kto by pomyślał, że mniejszość seksualna tak mnie upodli? Powiedzmy otwarcie - nie był to partner, z którym chciałem się nagadać. Do filmu: tak, poza filmem: nie. Dlatego po nakręceniu fotografii panny Hanki, uznałem, że pora do ludzi. Chciałem do profesorów, którzy pisali trudne książki.

Nagrania odbyły się w mieszkaniach. Podjeżdżaliśmy, wchodziliśmy i odpalaliśmy kamerę. Zgodnie ze standardami programów kulturalnych, czyli chwytając rozmówcę w sidła: w podkoszulku, bez grzebienia i ze smalcem na twarzy. Kiedy światło z sangana zalewało takiemu skórę, pojawiała się lśnienie - przypominał o sobie Pan Tłuszcz. Tym razem nakręciliśmy zdjęcia z premedytacją. Kontrast z

przemienionymi kobietami rozkwitał dzięki błędom w sztuce.

Kiedy wydawało się, że zdjęcia dobiegły końca, zdarzyło się coś, o czym ofiary rozboju zwykle nie chcą mówić. Po powrocie do domu zamierzałem włączyć telewizor i z przyjemnością popatrzeć na własny serial. Zapaliłem światło i od razu zorientowałem się, że struktury świata przestępczego wydały na mnie wyrok. Mój ulubiony bandzior, Pan Elegant, siedział w fotelu i bawił się laską wartą co najmniej pół segmentu. Jego ochroniarz objął mnie przyjaźnie zaraz za drzwiami i prawie wniósł do salonu.

- Myślałem, że wszystko zostało uzgodnione - warknąłem, a przynajmniej tak mi się wydawało. Ochroniarz Pan Wielki popchnął mnie na fotel i zawisł nade mną jak dźwieg. „Byle tylko zachował klasę” - prosiłem wzrokiem.

- Panta rei - odparł gangster, przeginając się w typowy dla arystokratów sposób, czyli w bok. - Rozwalasz mi pan interes, narażasz ludzi na niewiadomą...

- Wszyscy będą sławni... - wtrąciłem i pożałowałem, bo ręka wielkości chochli pogłaskała mnie po głowie. Gość musiał mieć w rodzinie Indianina, bo prawie mnie oskalpował. „Idź, zapoluj lepiej na bizona, chamie” - wymyślałem mu, ale bardzo, bardzo cicho.

- Chcę zobaczyć film po montażu - stwierdził gangster. - Jak mi się nie spodoba, to będziesz pan miał „półkownika”. Czy to jasne? - zapytał, a ja wiedziałem już, że siedzi przede mną kameleon. Raz był taki, raz owaki, jak to u kameleonów.

- To niemożliwe - odważyłem się położyć tamę występki. - Produkcja jest na ukończeniu, materiały gotowe, czas montażu zamówiony... Kierownik produkcji zamówił też wstępny termin kolaudacji. Ten film nie należy tylko do mnie - jęknąłem. Wtedy zaśmiał się. Tak zwyczajnie i to mi się nie spodobało. Trzydzieści sekund później byłem związany. Nogi razem, ręce osobno. Ochroniarz ukrzyżował mnie na podłodze. Ręce przywiązał mi dwiema linkami do klamki i do okna. Nogi do kanapy, na której siedział jego szef. Miałem zamiar się bronić, ale rozdeptał mnie olbrzymią stopą. Takiego wielkiego byka nie spotkałem nigdy wcześniej. Dobrze, że mnie nie zjadł,

steryd parszywy. To nie był koniec. Zauważyli, że zbieram się do arii Jontka, więc chwilowo zakneblowali mnie kuchenną ściereczką. Znow miałem poczucie letargu. Takie rzeczy przecież się nie zdarzały. No, może w filmach, ale nie w rzeczywistości. Mój mafioso przerósł jednak sam siebie, bo wstał, rozerwał mi końcem laski koszulę na piersiach, po czym wyciągnął rękę w stronę ochroniarza. Tamten sięgnął pod marynarkę i wyjął... No właśnie, to mi się nie spodobało. Wyjął osikowy kołek. Na wampiry. Robili sobie ze mnie jaja.

- Odbiło wam? - zasyczałem.

- Nie wierzysz, że to zrobię, prawda? - pochylił się nade mną gangster. - Młotek, please... - To było do ochroniarza. A jakże, był pod ręką, pieprzony „mały majsterkowicz”. Czubek kołka oparł się o moją pierś, a młotek zadyndał w górze.

- Przywałę i po sprawie - stwierdził gangster. Wiedziałem, że nie kłamie. Jaja jajami, ale nie z takimi matołami.

- Widzisz, koleś, mogę z tobą rozmawiać kulturalnie, ale jak się zdenerwuję to mogę... Znam dużo bardzo brzydkich słów - podsumował. Tak wyglądał Wersal. - No i mam papiery, panie redaktorze. Napisali tam, że jestem chory psychicznie. - Pan Elegant pozbawił mnie nadziei do końca. A ja właśnie na nią byłem w tym momencie najarany jak sztygar na węgiel. W dodatku nie powiedział: świr czy jeszcze gorzej, ale tak po prostu - „chory psychicznie”. Nawet w parlamencie tak nie mówili. I to dało mi do wiwatu.

- Chciałby pan przejechać się ze mną beemką i zobaczyć kawałek życia? - zmienił nagle temat. - Wybierze pan na ulicy gościa, a ja mu wbiję ten kołek, zgoda?

- Dobrze, panu pierwszemu pokażę ten film - zgodziłem się, jak każdy człowiek bez nitrogliceryny.

- Umowa stoi. - Dał znak goryłowi i po chwili byłem wolny.

- Nie wywiązujesz się - gleba. Jakby co, to kołek czeka...

Wyszli, zatraskując drzwi wejściowe. A ja łaps za telefon i na policję. Ręce miałem tak spocone, jakbym przejechał się metrem. Zanim wykręciłem numer, usłyszałem pukanie. Czyżby kolejny łowca wampirów?

- Kto tam? - krzyknąłem, nie chcąc podchodzić do drzwi.

- Policja.

No, no, no, poczułem, że wzrosła mi odporność organizmu. Weszli. Brygada antyterrorystyczna. Zimowe czarne czapki, kombinezony, pistolety i pełna anonimowość. Jeden z nich, Mściwój jakiś, od razu przeszedł do rzeczy:

- Mamy ich. Plus nagranie z pana mieszkania i siedzą.

- Jak to nagranie z mojego mieszkania? - zatkało mnie.

- Nie mogliśmy ryzykować, że pana zabiją - wyjaśnił. Dwóch za nim patrzyło ponuro. Widziałem tylko ich oczy.

- Dlaczego o tym nie wiedziałem?

- Taka decyzja. Mógłby pan zachowywać się nienaturalnie i załatwiliby pana gdzie indziej - odparł. Nie ulegało wątpliwości, że był po studiach. Może nawet w mieście, gdzie dochodził prąd. - I tak miał pan cholernie dużo szczęścia. Sam nie wiem, dlaczego jeszcze nie gryzie pan ziemi? - pocieszał mnie jak mógł. Konkretny.

- Co z nimi? - zapytałem. Wypadalo się odwzięczyć.

- Zabieramy ich do aresztu. Rozmontujemy kamery u pana w mieszkaniu i znikamy. Można? - zapytał, a ja odniosłem wrażenie, że ziomek studiuje krasomówstwo.

Przez okno popatrzyłem sobie na moich prześladowców w kajdankach. Gorzej, że odwzięczyli się obaj spojrzeniem w moje okno. „Spokojnie, chłopaki, zerwijmy tę znajomość póki pora” - chciało mi się krzyknąć. Policjanci rozmontowywali ukryte kamery i podsłuch, a ja umawiałem ekipę na wieczór. Głos dwóch bandziorów nadawał filmowi generalską rangę. Teraz musiałem zdobyć pozwolenie na nagranie. Roman Czomski ucieszył się, kiedy zadzwoniłem, i obiecał pomóc. Zaklepane. To tak, jakbym już był po zdjęciach w areszcie.

Rozdział dwudziesty

- Jak zdobywaliście klientki?

- Wywiad środowiskowy, bracie - odparł Tadeusz Piniorek vel bandzior - porywacz - szantażysta. Mimo zmiany ubrania na skromniejsze, bandyta zachowywał się w pełni arystokratycznie. W Polsce takie zachowanie rozpoznawane jest natychmiast. - Jaka babka nie chce być młoda i ładna?

- A jak poznaliście się z panią Marzeną? - drążyłem temat. Wokoło kraty, głuchy pogłos, czasami szczęk kluczy i stłumione głosy policjantów zza ściany. Mogliby zawarczeć, brytany niebieskie, ale nie wyczuli fazy. Na takim warczeniu niejeden spłacił kredyt. I było bezpiecznie. Mój strach przypominał co najwyżej godziny pracy dużej instytucji finansowej. Niby jej nie ma, a jest. Przeszło mi. Obejdzie się bez ryglowania drzwi w każdym pomieszczeniu.

- Pierwsza klientka przez przypadek miała za długi jęzor. - Gangster Piniorek rozgadał się. Lubił mówić do kamery, samorodek. - Po przemienieniu zaczęła szukać roboty, trafiła do naszego lokalu, wypiła z załogą i jednemu koledze zwierzyła się ze swojego nieszczęścia...

- Nieszczęścia? - wtrąciłem.

- Tak tylko mówię - obruszył się Piniorek.

- Rozumiem - uspokoilem go.

- Powiedziała i tyle jej było - kontynuował gangster. - Dopiero potem interes zakwitł - dodał, a ja pokiwałem głową.

- Dużo było tych przemienień?

- Nie liczyłem - zaśmiał się. Przypominał piranię z własnego akwarium. - Większe interesy robimy z facetami... - rzucił od niechcienia. „No, mów, kochany, mów, bo pokażę ci muzeum ruchu ludowego”. - Wiesz pan, że kobitki lepiej się przemieniają niż my? U nas nie trzeba zmieniać tożsamości. Gęba się wygładza i zmarszczki znikają. Wystarczy. Po takim guamie niejeden znalazł żonę...

- To znaczy?

- Jak na sławnego dziennikarza jesteś, bracie, naiwny jak

bezinteresowna pomoc - ocenił mnie, nie powiem, w pytę. I to jego „bracie”. Tfu! - Pani Marzena przyjeżdża do gościa na zagrodę, kładzie mu te kisiele, gdzie trzeba, i po pół godzinie mamy świeży egzemplarz. Sam sobie to zrobiłem i nie narzekam. - Poprawił włosy i spojrzał na mnie odpowiednio. - Tobie też by się przydało...

- Nie kłóciliście się o pieniądze? - zamknąłem mu paszczę tematem do płaczu.

- Nigdy - powiedział powoli. Pan Krzysio za kamerą aż otworzył zewnętrzne oko. - Pani Marzena połowę, my połowę, i sytuacja jest czysta. My dajemy papiery, ona usługę... Nikt nie miał prawa jej przeszkadzać. Przychodziłem z moim człowiekiem, dawaliśmy lekcję dobrego wychowania i po wszystkim.

Oto miałem piękny przykład współpracy gospodarczej. Ludzie dzielili się sprawiedliwie.

- A klienci zagraniczni? - Widz też by o to zapytał. Może nawet konkretniej - co z Niemcami, Anglikami czy Hiszpanami? Co z dzielnym narodem japońskim? A afrykańskie plemię Bambara? Płacili i odmładzali się?

- Wszyscy zdrowi - stwierdził gangster Piniorek i musiałem uznać to za odpowiedź. Potem już nic nie chciał powiedzieć. Zaciął się. Odniosłem wrażenie, że znudziłem mu się i chciał wracać do celi. Arystokrata. Tacy ludzie cenili sobie ciszę i spokój.

Pędziliśmy ulicą Marszałkowską w poczuciu zwycięstwa. Cała ekipa podzielała mój filmowy entuzjizm. Ba, cała ekipa gotowa była błagać panią Marzenę o guam. Ten lekki, oczywiście. Większych bohaterów wśród nas nie było. Telewizyjny kierowca rozkręcił radio, jakby stracił na wojnie słuch, a dźwiękowiec, pan Henio, przezornie nałożył sobie na uszy słuchawki. Ja, ich nadzieja na lepsze życie, nuciłem pod nosem dokuczliwy szlagier razem z wokalistą. Kamerzysta tylko udawał, że śpi, bo giczoły coś mu za mocno dygały.

Jechaliśmy na ostatnie nagranie. Tym razem w agencji fotograficznej. Tam miała na nas czekać piąta z przemienionych kobiet. Rasowa modelka, jak wyraziła to pani

Marzena. Skojarzyło mi się to z koniem, ale tylko pozytywnie. Prawdę mówiąc, miałem już dość materiału. Kolejna kobieta i jej przemienienia nie robiły już na mnie wrażenia. Nie miałem wówczas pojęcia, że właśnie ta ostatnia może mi pasować do dowodu. Kiedy weszliśmy do atelier, przywitał nas odchudzony do kości fotograf o ruchach węża, pan Patryk. Pokazał na migi, że możemy się rozłożyć obozem na podłodze, a on za chwilę skończy, co zaczął. Przyzwyczyłem się, że każdy artysta lubił bliski kontakt z podłogą.

Modelki najpierw nie zauważyłem. Usiadłem na wysokim krześle przy czymś w rodzaju barku, nalałem sobie wody mineralnej i rozglądałem się po olbrzymiej hali. Surowo tam było jak w hucie. Z wodą też nie mieli kłopotu, ponieważ kapłała regularnie. Popatrzyłem na chudego fotografa i zachwyciłem się jego komendami: wyżej, jesteś boska, kocham cię, teraz go nie lubisz, czujesz to, czujesz, pędzisz, chcesz go mieć, marzysz

o wielkiej miłości... Fajne to było. Wtedy bez przygotowania podniosłem wzrok na modelkę i od tamtej pory zgodziłbym się pracować w telewizji za darmo. Sonia Riter, piąta przemieniona, nie była ani mniej, ani bardziej piękna od poprzednich kobiet. A mimo to zaczarowała mnie - wiedźma ani chybi. Blondynka, a jakże, wysoka umiarkowanie, zgrabna i ładna, doskonałe portfolio na dzień i noc. Krótko mówiąc, zakochałem się i nie bardzo mi to poszerzało horyzonty.

Było jeszcze coś. Pamiętałem ją. To właśnie był mój typ - dziewczyna z niebieskiego subaru. Płasała mi w głowie od chwili, gdy ją pierwszy raz zobaczyłem. Rano, w południe i wieczorem; a czasami też w nocy. A teraz, żeby nie było za słodko, za sekundę powie mi, że przed przemienieniem miała sto albo tysiąc lat. Absolutny rekord. Dzięki Ci, Boże.

Fotograf wyszedł, gnąc się ze zwykłego szacunku ku panu Krzysiovi. Podeszedłem do dziewczyny, przedstawiłem się i udawałem, że nie jestem zainteresowany patrzeniem na nią. Zauważyła to, bo wzięła mnie za rękę i z jubilerską dokładnością zaczęła oglądać moje linie życia. Miała ładne, równo obcięte paznokcie.

- Będzie pan szczęśliwym człowiekiem - powiedziała niskim

głosem. W sekundę skamieniałem i zmieniłem nazwisko na Artur Stalaktyt. - Widzę długie życie i troje dzieci... Ma pan kogoś, kto pana kocha, ale mimo to czuje się pan samotny... - dokończyła i puściła moją dłoń. Bystra babka, od razu wywęszyła mamę.

W innej sytuacji powiedziałbym, że panienska za długo siedziała w solarium. Tym razem stałem po prostu z rozdziawioną paszczą i gotów byłem powtarzać sobie ten krzepiący tekst co pięć minut. Jak tak dalej pójdzie, to ze szczęścia zacznę się kłaniać obcym. Moi ludzie byli gotowi. Panna Sonia założyła szlafrok i najzwyczajniej w świecie podryfowała na środek hali. A ja za nią, bardzo zainteresowany. Moja cierpliwość została wystawiona na jeszcze większą próbę, kiedy poczułem jej zapach. Tak niby przypadkiem chwycił mnie za nochal, wsunął się głęboko i zasygnalizował, że chałupę już znalazł. Brakowało tylko ognia w kominku.

- Jestem gotowa - ocuciła mnie panna Sonia.

- Dlaczego zdecydowała się pani na przemienienie? - zacząłem łagodnie. „Jestem tu, kochanie - ja, kot prawdziwy, sierściuch wygięty w pałak do głaskania”.

- Chciałam być piękna i młoda - odpowiedziała bez rewelacji, a mimo to o mało nie pocałowałem jej w rękę.

- Ile pani miała wtedy lat? - ciągnąłem.

- Sześćdziesiąt siedem. Trochę dużo, prawda? - Panna Sonia żartowała sobie ze mnie. To „dużo” w jej przypadku nie miało żadnego znaczenia. Widok szpadla zniknął. Jako reporter zamieniałem się w słodkiego bobasa.

- Ile razy doszło do przemienienia?

- Siedem - wyszeptwała dziewczyna, a ja o mało nie odrąbałem sobie ręki. W końcu podrapałem się w czoło. Na wizji będzie to ładnie wyglądać.

- Tak często? - skonstatowałem z drzeniem w głosie.

- Jak mi się nudził mój wygląd, to szłam do pani Marzeny i kładłam sobie guam... Jestem modelką i za każdym razem jest tylko lepiej - dodała, przygryzając usta. „Co to za znak, Zygmuncie Freudzie? Dlaczego ona gryzie się na moich oczach?”

- Mąż?
- Nie mam i nigdy nie miałam.
- Dzieci?
- Też nie.

- Żyje pani tylko dla siebie, prawda? - To pytanie trafi do podręczników dziennikarstwa, to pewne. Nie obraziła się, zaśmiała i dotknęła palcem mojego policzka. Kamera dla niej nie istniała.

- Miał pan kawałek ciastka...

- Skąd brała pani pieniądze na tak częste zmiany wyglądu? - zapytałem, żeby odwrócić jej uwagę od mojego policzka. Wcale nie było mi lekko. Chciałem wiedzieć o niej wszystko. Zazdrość, ta oto nędzna mamoneta, brała mnie w posiadanie.

- Zarabiałam. Mam kontakty na całym świecie...

- Nie rozumiem - zaciąłem się. - Przecież za każdym razem była pani nową dziewczyną.

- Tak, ale równie atrakcyjną dla fotografów i znającą swój zawód. Poza tym zawsze powoływałam się na tę, którą wcześniej znali - wyjaśniła zbyt logicznie, żebym nie pomyślał o zabezpieczeniu mojego majątku. - Nie muszę chyba dodawać, że zarabiałam w obcych walutach... - Nie musiała. Moja inteligencja szybko nadrabiała braki. Wyszczrzyłem zęby, co miało oznaczać, że ogólnie jest miło. Przyglądała mi się uważniej niż wcześniej. Świdrowała oczkami i badała na wykrywaczu kłamstw. Dałem sygnał ekipie, że nagranie skończone i mogą się zwijać. Zrobili to i pan Henio przyszedł się pożegnać. To znaczy pomachał mi ręką w drzwiach, odczekał aż odmacham i poszedł sobie. A ja zostałem i towarzyszyłem pannie Soni. Najpierw poszliśmy do garderoby. Ona do środka, a ja pod drzwi. Zdrowy układ. Przebierała się dłużej niż powinna, ale wytrzymałem. Wyszła po półgodzinie i dogotowała mnie całkowicie. Sukienka mini, wysokie szpile i nogi pod niebiosa. Kicz, który zamienił się w marzenie. Sonia Riter dawała mi popalić. Postawiła mnie na baczność i lekce to sobie ważyła. Chciałem zamówić taksówkę, ale pokazała mi palcem niebieskie subaru. Nie byłem pewien, czy zwraca mi uwagę na kolor, czy zaprasza do środka. Na wszelki wypadek

wparowałem do bryki i morda w kubel. Czekam, co moja darling wystruga. I owszem, zajęła miejsce, i naprzód. Zrosiła mnie jak trawnik, guamówka jedna. Nigdy jeszcze nie jechałem tak szybko samochodem. Przed taką jazdą nawet kierowcy rajdowi wykupują polisę na życie. A my nic - na krzywy ryj, tylko z Boską opieką. Wiedziałem, że muszę błysnąć, ale kiedy tak bardzo mi się chciało, w głowie pyrkał mi tylko traktor. Prrryt, prrryt, prrryt...

- Pojedziemy gdzieś? - usłyszałem to, co należało. Ze szczęścia o mało nie wywaliłem się brzuchem do góry i nie jęknąłem: „drap mnie, honey, drap”.

- Na kolację? - zapytałem z nadzieją.

- Czemu nie? - odparła. - Z muzyką... Lubisz muzykę?

- To moja druga matka - zażartowałem, ale wargę uniosłem tylko do połowy. Mogła tego nie kupić.

- „Cynamon”?

I wszystko potoczyło się samo. Mlask, mlask, cha, cha, cha, mrrrr, mrrrr, oj, oj i dobranoc. Standardy dworu zostały zachowane. Na pierwszej randce mogliśmy sobie co najwyżej wyciągnąć zadrę z palca albo popilnować torby. Kiedy dotarłem nad ranem do domu, mocny byłem i nie do poznania. I ohotny do robót wszelkich. Miłość, tak się nazywał stan, w jakim mnie znaleziono. Pani Ryfka postawiła obok mojego łóżka jagodziankę i kawę ze śmietanką. Miałem szczęście, że nie szturchała mnie łokciem podczas snu.

- Dzwonili z telewizji - odezwała się, obserwując moją sfatygowaną twarz.

- Montaż? - utwierdziłem się w przekonaniu, że wiem.

- Chyba tak. Kazali jak najszybciej zadzwonić i podać godziny - wyjaśniła. - Ma pan dobry nastrój... - Tak zareagowała na moje pogwizdywanie. Motyw z „Ojca chrzestnego” musiał ją wziąć.

Godzinę później jechałem swoim mini Cooperem w kierunku telewizji. I ani na chwilę nie przestawałem nucić. Wysłałem SMS do Soni i wierciłem się z niecierpliwości. Człowiek wiertło, sygnał w kierunku jakiegoś wielkiego reżysera. „Stary, możesz mną przewiercić każdą dechę, Yours

sincerely, Artur”. Wątpię czy w historii telewizji ktokolwiek montował szybciej ode mnie. Oglądałem, porządkowałem, poprawiałem, wstawiałem, udźwiękowałem, przycinałem i sklejałem. Moja montażystka, pani Lodzia, odmłodziła przy mnie o dobre dwie dychy. Wciągnęła się i trzymała buzię na kłódkę. Wcześniej kazałem jej podpisać stosowną umowę. Nie chciałem spalić tematu przed zachodem słońca. Całość miała trzydzieści minut. Akcja rozwijała się dynamicznie, a poszczególne wypowiedzi podkreślały tajemnicę bez litości. Nowe życie, nowa tożsamość, ciągła młodość, anonimowość, niezależność, bezpieczeństwo, satysfakcja, władza, pieniądze w zasięgu ręki, szczęście, dostępność... Takie słowa perliły się w głowie pani Lodzi, a ja znałem nazwę płynu. Kiedy wreszcie skończyliśmy montaż, usłyszałem pytanie za pół miliona dolarów:

- Poda mi pan adres tego salonu?

Podąłem, ale nie omieszkalem wspomnieć, że logo takiego przemienienia warte jest przemyślenia. Kobieta spojrzała na mnie swoimi zmęczonymi oczami, podsuszyła żółte zęby i nie odezwała się. Co ja mogłem wiedzieć o jej marzeniach? Nawet najlepszy stół nie mógł się równać z żarciem, jakie na nim stawiano. Raz jeszcze obrzuciłem wzrokiem panią Lodzię i właściwie zrozumiałem ją. Szara, brzydka, zasuszona, owłosiona, lekko śmierdziawa, „bezfryzjerna” i nijaka - przymiotniki, które zasługiwały na śmierć, w tej jednej chwili zostały ścięte. Lody zostały rzucone. Będzie szczęśliwa.

SMS od Soni zaczynał się od słów: „Drogi Arturze”, a kończył - „Bądź o 20-ej”. Wspaniały przykład wygadania i inteligencji. Może właśnie dlatego postanowiłem uczcić koniec pracy nad filmem podróżą w czasie. Wiedziałem, że od takich pomysłów nawet pot trzymał się z daleka. Zadzwoiłem, zostałem wysłuchany i pomodliłem się. Pani Marzena zaproponowała mi godzinę osiemnastą. Miałem być ostatnim klientem w tym dniu. Guam lekki, tak jej się powiedziało. Muszę dodać, że zanim wyszedłem z domu, napisałem dwa odcinki serialu, które oceniłem wysoko. Rzecz traktowała o miłości, co samo w sobie zasługiwało na sponsora.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Guam lekki przypominał wysięk z rany postrzałowej. Nastrój, jaki mnie dopadł, przypominał zakup roweru górskiego dla dwulatka. Dzieciak i tak nigdy nie dotknie siodełka. Ma ważniejsze sprawy na głowie - rośnie. Leżałem więc w salonie pani Marzeny i wyobrażałem sobie pożegnanie z moją brzydką twarzą. Nic nie widziałem, ponieważ maska, pod którą rozlał się guam, musiała być szczelna. Wyglądało na to, że przy okazji podleczę sobie oczy. Tak na wszelki wypadek. Na uszach miałem słuchawki, aby czas szybciej płynął. Mniej więcej 100 km na godzinę. Upłynęło sporo czasu i nadeszła pora, aby mortadela stała się ulubioną potrawą księcia. Witaj, przystojniaku!

Pani Marzena zdejmuje mi z uszu słuchawki i odzywa się, jak na nasze stosunki, kulturalnie:

- Gotowe. Teraz zdejmę panu maseczkę i pójdzie się pan wymyć. Dopiero potem do lustra...

- Udało się? - pytam, a gable mi drżą jak Cyganowi przy kurniku albo Ruskiemu przy sklepie.

- Zawsze się udaje - uspokaja mnie pani Marzena. - Gdyby to był guam...

- Pamiętam, pamiętam - przerywam, bo a nuż to był guam dla kobiet i zaraz zamienię się w olbrzymią wybroczynę. Kara za szperanie po dziurach. Maska na mojej twarzy porusza się i podnosi. Widzę siebie oczami wyobraźni, widzę się bardziej niż kandydat na prezydenta własny program. Otwieram oczy i dociera do mnie, że wszystko się zmieniło. Cena tej przemiany jest straszna - nie ma mnie! I wtedy dociera do moich uszu okrzyk:

- Mamy cię! Mamy cię! Mamy cię!

Leżę, bo strach się poruszyć, słucham i patrzę. Nade mną komplet do spania: jest mama, pani Ryfka, podinspektor Wrona i Roman Czomski. Jest nawet gorzej, bo widzę fałszywy pysk gangstera, Pana Eleganta, psia go mać, jego ochroniarza w objęciach detektywa Malickiego, moją byłą dziewczynę, Anię,

dwóch kamerzystów, Radka „śmierdziela” i pana Krzysia, ba, zauważam całą ekipę i słyszę rechot, bo chłopaki wszystko kręcą. Jest nawet chłopak, który powinien nie mieć ucha. „Powinien”, bo w rzeczywistości ma uszy w komplecie. Tłoczą się, zamieniają miejscami, chcą, żebym ich wszystkich dokładnie obejrzał. Jest nawet rodzina z dziećmi z Mokotowa, ci, którzy użyczyli mi gościny w piwnicy. Andrzej Rosa, psychiatra Joachim Linde i prawdziwy gwóźdź do trumny - są wszystkie przemienione dziewczyny. Śmieją się, pochylają nade mną, głaszczą nawet po głowie. Nic nie rozumiem. Wiem tylko, że „mnie mają”. Odchodzi heblowanie na całego. Mama trzyma mnie niby ukradkiem za rękę i mierzy puls. Uśmiecha się, ale chyba się trochę denerwuje. Wie, że przeżywam wielkie rozczarowanie. Szok. Wie, że mogę zwariować, ale w to nie wierzy.

Wreszcie chcę się wypowiedzieć, ale nie idzie mi. Za głęboko w to wszystko wdepnąłem. Uwierzyłem i to jest najgorsze. Jak się z tego otrząsnąć? Kiedy dopadają mnie nerwowe drgawki, pojawia się ratunek. Zauważam nad sobą Sonię. Pstrykają flesze, kamery chyba się rozmnażają, ludzie klaszczą, a ja czuję się, jakby nasrał na mnie batalion wojska. Kisiel zasechł na skórze i grozi mi upodobnienie do studenta pierwszego roku medycyny. Nigdy! Już wolę być Johnem Travoltą bez tańca i bez urody.

- Kocham cię - słyszę przy uchu szept. To Sonia. Jeśli nie kłamie, to znaczy, że wyż demograficzny przed nami. - Słyszysz, zakochałam się w tobie od kiedy zaczęłam w tym grać... - To też usłyszałem. Ciekawe, co miała na myśli?

A więc wstaję. Drgawki przechodzą, ale miękki jeszcze jestem. Idę do łazienki obmyć moje marzenia. Jest dziwnie, jest, a jakoby nic nie było... Wszyscy przyglądają mi się z zachwytem. Czomski macha ręką. Wiem, co chce powiedzieć. Gratuluje mi, a ja nie muszę zgadywać, że maczał we wszystkim paluchy. Rozprowadzili mnie, mianowali najlepszym reporterem świata i - za przeproszeniem - fest się wypięli. Telewizja nie dawała się ograniczyć i musiałem to docenić. Wszyscy doskonale wiedzieli, że tylko ktoś taki jak ja nigdy nie

pogniewa się na program. Mama podniosła do góry garnitur, koszulę i krawat. Hołd oddany krawiectwu. Zza drzwi i w szumie prysznicza słyszałem, że fiesta dopiero się zaczyna. Przed salonem grała orkiestra, niechybnie ludzie przypadkowi, jak wszystko przez ostatnie kilkanaście tygodni. „Poczekajcie, bracia, już ja wam pokażę czarne podniebienie! I zęby trzonowe, i siekacze, i całą resztę gotową na przywitanie Pana Implanta. Cokolwiek by powiedzieć, mój film był gotowy”. Tak przynajmniej myślałem pod prysznicem, w miejscu starannie wybranym.

W gabinecie prezesa telewizji wszystkie oczy zamieniają się w cukier. W takim miejscu nawet niemowa może odzyskać głos. Fajny przedział. Siedzę w fotelu, patrzę na ekran, słyszę Czomskiego i obserwuję prezesa, człowieka artezyjskiego, że tak powiem. Obejrzał mój film, spoważniał, pochwalił, zdobył się na refleksję, cofnął do dzieciństwa, poczęstował kawą i ciastkami, złapał się za głowę, że mu ciężko i zrobił to, o co nam chodziło. Nieśmiało zapytał:

- Gdzie jest ten salon?

Wtedy otrzymał uderzenie w podbrzusze, dokładnie takie jak ja przed trzema dniami. Niestety, nie mieliśmy czasu, żeby go męczyć. Zamiast zasadzić mu jeszcze jednego kopa i przywalić ze łba między oczy, gruchnęliśmy na kolana i dawaj przeproszać. „Humbug, prezesuniu, humbug to jest, a nie prawda” - płakaliśmy mu do ucha. Udawał, że mu dobrze, ale znałem leszcza, grał Hamleta nawet na stołówce. W końcu przewiercił się jakoś do ludzi i usiadł za swoim biurkiem. Ale się na nas gapił, jasny gwint! „Żadnego pudru, stary” - chciałem go ostrzec, ale nie było potrzeby. Budżet został zaakceptowany.

- Kiedy chcecie to pokazać? - zapytał przytomnie. Wiedział, że w telewizji tylko o to chodziło.

- Za tydzień - odparł Czomski. - Emitujemy film, lud się gotuje, dzwoni do telewizji, chce guamu, ogłasza koniec świata, a my proponujemy „Wojnę światów”... Odkrywamy prawdę! Ludzie, gospodarze drodzy, uwierzyliście w coś, co nie istnieje. Tak naprawdę nikt sobie ryja nie zmieni i trzeba żyć z nim do

śmierci. Mamy was, frajerzy! - Tutaj niepotrzebnie spojrział w moim kierunku, to fakt. Prezes też się nie powstrzymał. - Zanim towarzystwo pójdzie na nas z siekierami, informujemy, że za trzy godziny robimy dyskusję w studiu i pokazujemy Artura, autora reportażu... Zapowiadamy największą niespodziankę w historii telewizji. Przez trzy godziny ludożerka ma łykać powietrze. A potem w studiu, na żywo, Artur opowiada, co czuł, kiedy robił ten film, a ja przyznaję na końcu, że został wpuszczony w kanał, że żadnego guamu nie ma i nigdy nie było. Ludzie oczywiście dzwonią do upadłego, a my niektóre pytania uwzględniamy. Potem Artur mówi, że wszystkie jego wysiłki w trakcie kręcenia filmu zostały zarejestrowane bez jego wiedzy, ale materiał z tej rejestracji zmontował on sam. Kończymy informacją, że dzięki programowi zakochał się i niedługo ślub, na który każdy może przyjść...

- Tak, najlepiej z materacem, bo nigdy się już nie rozstaniemy - przerwałem mu, bo gotów był prze-handlować moją intymność.

- Zgoda - zdecydował prezes. Prawie zemdlałem, tak mnie ujął.

Przed budynkiem telewizji czekała na mnie Sonia. Prawie naga, a jednak z szacunkiem dla prawa. W rzeczywistości była prawniczką w firmie z kapitałem zagranicznym. Dzięki Bogu, bo inaczej byśmy pogadali. Przy okazji dowiedziałem się, że w produkcję zamieszani byli także psychologowie. To oni potajemnie opisali mnie, wymierzili, zrozumieli i podstawili piorunochron. Szczególnie aktywny był jeden z nich, niejaki

Andrew z Lublina. Stworzył idealny portret psychologiczny reportera i załapałem się. To wszystko na wypadek psychicznego załamania. Sonia też została wymierzona. Kosztowało to trochę zachodu, ale udało się, bo nie siedziałem z rurką w nosie w parku i nie śliniłem liści. Teoretycznie pasowaliśmy do siebie aż po pachy. Pozostałe dziewczyny były aktorkami lub modelkami. Wszystkie zagrały role życia. Na szczęście więcej mnie nie prześladowały. Nawet w serialach nie grały. I niech tak zostanie. Za moją krzywdę, że tak powiem.

Poprawiłem spodnie w pasie, oblizalem się w sposób psi, wsiadłem do subaru Soni i zgrabnym ruchem dłoni pokazałem ulicę. Niech wie, że znam życie. Wtedy ona też mi coś pokazała. Poza jakąkolwiek polityczną poprawnością, oczywiście. Mogę zeznać pod przysięgą, że samochód w tym czasie stał i oboje byliśmy niewyobrażalnie szczęśliwi. Potem rozejrzałem się ukradkiem po wnętrzu pojazdu i okolicznych domach. Doskonały kamuflaż. „Chłopaki, jestem z was dumny, chociaż wiem, że nigdy was nie zobaczę. Spędzimy ze sobą resztę życia”. Sonia przyglądała mi się z naiwnym uśmiechem. Zapytałem ją więc, jak człowiek całkowicie zdrowy na umyśle:

- Jak myślisz, gdzie pochowali kamery?

EPILOG

Mężczyzna otworzył oczy, przekręcił głowę na bok i ostrożnie rozejrzał się wokoło. Siedział w dużym fotelu i wyglądał tak, jakby leciał w kosmos: kombinezon z niezliczoną liczbą rurek i kolorowych kabeleków, rękawice, buty i hełm z panoramiczną szybą na oczy. W rzeczywistości znajdował się w przestronnej sali wyposażonej w dziesiątki monitorów, stojaki z kroplówkami, stanowiska komputerowe i szafki z lekarstwami. Przyciemniane szyby wpuszczały do środka akurat tyle światła, ile było potrzeba, żeby nie wybić sobie zębów. Mężczyzna skupił wzrok na otaczających go ludziach. Jeden z nich stał tuż nad nim, pozostali wpatrywali się w ekrany monitorów i śledzili wykresy.

- Macie tu kury? - odezwał się z nadzieją w głosie. Wszystkie głowy automatycznie odwróciły się w jego stronę.

- Po co panu kury? - W głosie człowieka w niebieskim fartuchu ze stetoskopem w kieszeni można było wyczuć strach i rozczarowanie.

- Jest pan kurą? - nalegał mężczyzna w fotelu.

- Jak pan się nazywa?

- Kogut. - Na ustach mężczyzny w hełmie pojawił się przebiegły uśmiech.

- Głupie żarty... - odetchnął człowiek ze stetoskopem. Pozostali znów patrzyli w komputery. - No to jak się pan nazywa? Musimy trzymać się procedur.

- Profesorze Ginter, nazywam się Artur Brandt i jestem lekarzem psychiatrą. Pracuję w Centrum Medycznym i na ochotnika biorę udział w teście nowego urządzenia do leczenia depresji. Tak naprawdę pracujemy przy okazji dla telewizji. Tworzymy projekt wprowadzania ludzi w przyjemny trans, w nowe życie, w niewyobrażalne możliwości działania... Nad takim urządzeniem pracujemy.

- Co to za urządzenie? - Profesor Ginter najwyraźniej nie miał zamiaru rezygnować z dokładnie zaplanowanego wywiadu.

- Jest to projektor biochemiczny sprzężony ze specjalnie opracowanym programem komputerowym - kontynuował lekko rozweselonym głosem doktor Brandt. - Pacjent otrzymuje opracowaną przez nas tabletkę, a komputer poprzez stymulację wyzwała w mózgu jej kolejne składniki. Program przewiduje rozmaite scenariusze wyjściowe. Reszta rozwija się niezależnie w transie pacjenta... Jednak komputer stale kontroluje pozytywny przebieg transu, a zakończenie projekcji zawsze jest pozytywne. Chemia, stymulacja, scenariusz... Po prostu dobra zabawa dla każdego. Medycyna, a na dodatek wielkie pieniądze i rozrywka. Zgadza się? Możecie mi zdjąć hełm? - zakończył relację doktor.

- Zgadza się - odetchnął profesor. Dwaj asystenci podnieśli się z krzeseł i podeszli do fotela. Zdjęty hełm odsłonił twarz doktora Brandta. Wyglądała zdrowo, a jej wyraz był optymistyczny.

- Możesz wymienić członków swojej rodziny?

- Mam żonę, Marysię, dziesięcioletnią córkę, Dominikę, rodziców na emeryturze...

- Gdzie mieszkasz?

- W domu w Konstancinie... 254 metry, dwa garaże... Działka ma 1700 metrów... Wystarczy już? - Przypominało to melorecytację. Doktor wstał z fotela i rozprostował kości.

- Wystarczy. - Profesor skinął głową. - Sam wiesz, że poprzednie próby skończyły się źle... Mam ci przypomnieć, gdzie teraz znajdują się nasi czterej ochotnicy?

- Pamiętam - odparł doktor Brandt. Zaczął zdejmować z siebie kombinezon. - Leczymy ich w naszej klinice. Mieszają im się rzeczywistości. Nie mogą całkowicie oderwać się od symulacji. Błagam, dajcie mi zadzwonić i umówić się z rodziną na obiad...

- Jak było? - zapytał rudy i barczysty mężczyzna kontrolujący w czasie transu wykres akcji serca doktora.

- Było niesamowicie... Każdy powinien to przeżyć. Teraz musimy tylko zadbać o bazę wyjściowych scenariuszy. Reszta rozegra się tutaj... - Doktor puścił oko do rudego i popukał się w głowę.

Profesor uznał eksperyment za zakończony. Podeszedł do Brandta, uściśnął go i przyjaznym gestem poklepał po plecach. Widać było, że kamień spadł mu z serca. Doktor uparł się na tę próbę, podpisał wszystkie papiery i zaryzykował. Na szczęście wszystko poszło dobrze. Jego poprzednicy, mimo intensywnego leczenia, musieli pozostawać nadal pod opieką lekarzy. Najstraszliwsze było to, że każdy z nich uważał się za zdrowego, a mieszanie rzeczywistości wirtualnej i realnej w ogóle im nie przeszkadzało. Profesor odwrócił się i skierował do jednego z komputerów. Cały zespół musiał teraz przeanalizować trans doktora, musiał porównać go z poprzednimi przypadkami i raz na zawsze wyeliminować zagrożenie. Telewizja dawała na ten projekt zbyt duże pieniądze, aby mogli się pomylić. Okrągła suma plus procent od zysków. W ten sposób Centrum Medyczne miało zapewnioną przyszłość do końca świata.

Doktor Artur Brandt wziął prysznic i założył ubranie, które nosił na co dzień. Sztruksowy garnitur w kolorze brązowym, stonowaną zieloną koszulę i krawat ze stylowym monogramem. Wszedł do swojego gabinetu, zapalił papierosa i usiadł przy biurku. Za oknem świeciło piękne słońce, wiał lekki wiatr, a po niebie przesuwały się rzadkie chmury. Świat był naprawdę wspaniały. Trans się udał, a wielkie pieniądze z telewizji czały się za progiem. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Odebrała jego żona.

- Cześć, to ja - uspokoił ją już na wstępie. - Wszystko poszło dobrze. Będziemy bogaci...

- Boże, myślałam, że zwariuję - wyszeptała kobieta. - Dobrze się czujesz?

- Doskonale. Nigdy tak dobrze się nie czułem - potwierdził zgodnie z prawdą. - Zapraszam cię na obiad tylko we dwoje. Dominikę zostaw u pani Ryfki. No i mam dla ciebie niespodziankę... - przerwał, chcąc wywołać lepszy efekt. - Pokażę ci pewien salon kosmetyczny...

- Jaka pani Ryfka? Jaki salon kosmetyczny? Przecież dobrze wiesz, gdzie chodzę. - W głosie żony wyczuł zdziwienie.

- Jak to jaki? Salon pani Marzeny - obruszył się. - To nie

jest jakiś tam zwykły salon. Zobaczysz sama.

- Żartujesz, prawda? - zaśmiała się sztucznie Maria Brandt.

- Wcale nie żartuję - uspokoił ją doktor. - A kiedy zobaczysz działanie guamu, wszystko zrozumiesz. Dobrze to wymyśliłem, prawda? Halo! Jesteś tam, kochanie? - Przez słuchawkę doleciało do niego coś, co mogło być potwierdzeniem. - To do zobaczenia, przyjadę po ciebie za pół godziny...

KONIEC

„Pani Marzeno, znów muszę zniknąć. Trochę mi szkoda, bo teraz wyglądam naprawdę ekstra.” – nie co dzień odsłuchujesz ze swojej automatycznej sekretarki taką wiadomość.

Dla Artura Brandta – znanego scenarzysty i reportera telewizyjnego – taki właśnie pomyłkowy telefon stał się początkiem dziennikarskiego śledztwa. Zaprowadziło go ono do tajemniczego salonu kosmetycznego, w którym mają miejsce przedwznowione zdarzenia. To jednak dopiero początek.

Czy zastraszany i szantażowany Brandt zaprzestanie dziennikarskiego śledztwa? Czy podejmując zagadkowy trop, zrealizuje reportaż swojego życia? A może ślady doprowadzą go tam, gdzie na pewno nie chciałby trafić?




JACEK DĄBAŁA

Ryzykowny pomysł

Przeabawnie napisana historia, pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji. Współczesny kryminał, z wielkomięjskim klimatem w tle. Autor z lekkością i humorem przeprowadza czytelnika przez labirynt zdarzeń. Z rozmysłem buduje napięcie i nie pozwala oderwać się od lektury.

Patroni medialni

 GILDIA.PL

 merlin.pl

 Carpe Noctem
www.carpe-noctem.pl

www.redhorse.pl

Cena: 24,99 zł

Wyłączny
dystrybutor

 firma księgarska
 fk
Jacek Olesiejuk

ISBN 83-60504-07-5
ISBN 978-83-60504-07-9



9 788360 504079 >

Mi-Baba